



ÅSA
LARSSON

AŻ GNIEW
TWÓJ
PRZEMINIE



ÅSA
LARSSON

AŻ GNIEW
TWÓJ
PRZEMINIE

przełożyła
Beata Walczak-Larsson

Wydawnictwo Literackie



Kraków 2013

Tytuł oryginału: TILL DESS DIN VREDE UPPHÖR

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK

Redakcja: ANNA MILEWSKA

Korekta: WERONIKA KOSIŃSKA, ANNA RUDNICKA, HENRYKA SALAWA

Projekt okładki i stron tytułowych: KATARZYNA BORKOWSKA

Fotografia na pierwszej stronie okładki: © JOERG STEFFENS / Corbis / FotoChannels

Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

Redaktor techniczny: BOŻENA KORBUT

© Åsa Larsson, 2008

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

© Copyright for the Polish translation by Beata Walczak-Larsson

© Copyright for Polish edition by Wydawnictwo Literackie, 2012

ISBN 978-83-08-05092-7

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Rozdział 1. *

Rozdział 2. *Czwartek, 16 kwietnia*

Rozdział 3. *Piątek, 17 kwietnia*

Rozdział 4. *Piątek, 24 kwietnia*

Rozdział 5. *Sobota, 25 kwietnia*

Rozdział 6. *Niedziela, 26 kwietnia*

Rozdział 7. *Poniedziałek, 27 kwietnia*

Rozdział 8. *Wtorek, 28 kwietnia*

Rozdział 9. *Środa, 29 kwietnia*

Rozdział 10. *Czwartek, 30 kwietnia*

Rozdział 11. *Niedziela, 3 maja*

Podziękowania Autorki

Przypisy

O, gdybyś w Szeolu mnie schował,
ukrył, aż gniew Twój przeminie,
czas mi postawił, kiedy mnie wspomnisz...
Ale czy zmarły ożyje?
Czekałbym przez wszystkie dni mojej walki,
aż taka chwila nadejdzie.
Ty mówiłbyś, ja bym odpowiadał,
tęskniłbyś do dzieła rąk swoich.
Obliczyłbyś wtedy moje kroki,
zło byś mi puścił w niepamięć,
pod pieczęcią trzymał przestępstwa,
wybielił wszystkie me grzechy.

Góra rozpadnie się w gruzy
i skała zmieni swe miejsce,
woda zniszczy kamienie,
fala podmyje glebę;
i Ty nadzieję niweczysz w człowieku.
Miażdżysz na zawsze i on odchodzi,
pozbawiasz kształtu, odsyłasz.
Czy we czci jego synowie? – On nie wie.
Czy też wzgardzeni? Już o tym nie myśli.
Zadręcza go własne ciało,
odczuwa ból swojej duszy.

Księga Hioba, 14:13–22, Biblia Tysiąclecia

PAMIĘTAM, JAK umarliśmy. Pamiętam i wiem. Niektóre rzeczy teraz wiem, choć przy nich nie byłam. Ale nie wszystkie. Zdecydowanie nie. Nie ma żadnej reguły. Na przykład gdy chodzi o ludzi. Czasami wstępuję w nich jak w otwarte przestrzenie. Czasami są zamknięci. Czas nie istnieje. Został jakby roztrzepany.

Zima nadeszła bez śniegu. Lód ściał wody już we wrześniu, śnieg ciągle jednak się nie pojawiał.

To zdarzyło się dziewiątego października. Powietrze było chłodne. Niebo – intensywnie błękitne. Taki dzień chciałoby się wlać do szklanki i po prostu wypić.

Miałam siedemnaście lat. Gdybym żyła, miałabym teraz osiemnaście. Simon wkrótce miał skończyć dziewiętnaście. Pozwolił mi usiąść za kierownicą, chociaż nie zrobiłam jeszcze prawa jazdy. Leśna droga była pełna wybojów. Bardzo mi się to podobało. Za każdym razem, kiedy trzęsło samochodem, wybuchałam śmiechem. Żwir i kamienie uderzały w podwozie.

– Wybacz, Bettan – mówił Simon, głaszcząc wieko schowka na rękawiczki.

Nie mieliśmy pojęcia, że czeka nas śmierć. Że będę krzyczała ustami pełnymi wody. Że zostało nam zaledwie pięć godzin życia.

Droga skończyła się przy Sevujärvi. Wypakowaliśmy rzeczy z bagażnika. Co chwilę musiałam przerywać, żeby się rozejrzeć dokoła. Było niezmiernie pięknie. Wzniosłam ręce ku niebu, popatrzyłam przymkniętymi oczami w słońce, kulę rozżarzoną do białości, podążyłam spojrzeniem za dryfującymi gdzieś wysoko strzępami chmur. Góry. Oznaczały początek świata i niezmiennność.

– Co robisz? – zapytał Simon.

Nie odrywając wzroku od błękitu, odpowiedziałam:

– Chyba w każdej religii ludzie podnoszą oczy i ręce ku niebu. Teraz rozumiem dlaczego. Człowiekowi aż dusza rośnie. Spróbuj!

Wzięłam głęboki oddech i wydmuchałam powietrze w ogromny biały obłok.

Simon uśmiechnął się i pokręcił głową. Postawił ciężki plecak na kamieniu, żeby zarzucić go na plecy. Spojrzał na mnie.

O, pamiętam, jak spojrzeć! Jak gdyby nie mógł pojąć, że spotkało go takie szczęście. Bo to prawda. Nie byłam tuzinkową dziewczyną.

Badał mnie. Liczył wszystkie pieprzyki. Albo przykładął paznokieć do moich zębów, obnażonych w uśmiechu, i wyliczał szczyty masywu Kebnekaise.

– Sydtoppen, Nordtoppen, Drakryggen, Kebnepakte, Kaskasapakte, Kaskasatjåkko, Tuolpagorni.

– Górna prawa dwójka: stadium początkowe, górna prawa jedyńka: wyraźna próchnica, górna lewa jedyńka: próchnica brzeżna – odpowiadałam.

Plecaki ze sprzętem do nurkowania były ciężkie.

Ruszyliśmy w kierunku jeziora Vittangijärvi. Wędrówka trwała trzy i pół godziny. Mówiliśmy do siebie dziarsko: jak to dobrze, że ziemia zamarzła, bo wtedy o wiele łatwiej się idzie. Spoceni, zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu, żeby napić się wody, a raz zrobiliśmy dłuższy postój; mieliśmy termos z kawą i kanapki.

Pokryte lodem kałuże i ścięte mrozem mchy chrzęściły pod naszymi stopami.

Po lewej stronie wznosiła się góra Alanen Vittangivaara.

– Tam na szczycie jest pradawne miejsce ofiarne Samów – powiedział Simon, wskazując wierzchołek. – Uhrilaki.

Uwielbiałam go za to, że wiedział takie rzeczy.

W końcu doszliśmy do celu. Ostrożnie postawiliśmy plecaki na ziemi i dłuższą chwilę staliśmy bez słowa, przyglądając się tafli jeziora. Lód wyglądał jak grube, czarne szkło. Zamarznięte pęcherzyki powietrza rozsypały się niczym sznur zerwanych pereł; szczeliny przywodziły na myśl marszczoną bibułę.

Mróz zwarzył każde źdźbło trawy, każdą gałązkę. Sprawił, że stały się delikatne i krucho białe. Listki brusznicy oraz niewysokie jałowce obdarzył zimową, przyciemnioną zielenią. Z karłowatych brzoź i krzewinek jagód wycisnął krew i fiolet. A wszystko okryła aksamitna powłoka szronu. Lodowa aura.

Panowała nierzeczywista cisza.

Simon – jak zwykle – zamyślił się i zamknął w sobie. Taki już jest, kiedy mówi, że teraz czas mógłby się zatrzymać. Albo raczej był. Właśnie taki był.

Ja natomiast nigdy nie potrafiłam wytrwać w milczeniu zbyt długo. Musiałam się odezwać. Przecież to całe piękno lada moment mogło we mnie eksplodować.

Wbiegłam na lód. Ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, nabrałam rozpędu i po chwili, na szeroko rozstawionych nogach, sunęłam przed siebie.

– Spróbuj! – zawołałam.

Znów się uśmiechnął i pokręcił głową.

Z pewnością nauczył się tego w rodzinnej wsi. Takiego kręcenia głową. Oni już to potrafią w Piilijärvi.

– Nie, dzięki! – odkrzyknął. – Ktoś musi ci unieruchomić nogi, jak je połamiesz!

– Tchórz! – wypaliłam i rozpędziłam się na nowo.

Później leżałam na plecach i patrzyłam w niebo. Z czułością głaskałam lód.

Tam w dole pode mną spoczywał samolot. I nikt o nim nie wiedział oprócz nas. Tak się nam przynajmniej zdawało.

Podniosłam się, odnalazłam wzrok Simona.

Ty i ja, mówiły jego oczy.

Ty i ja, odpowiedziały moje.

Zebrał trochę suchych gałęzi jałowca i brzozy kory. Postanowiliśmy rozpalić ognisko i posilić się przed nurkowaniem, żeby nie stracić dobrego humoru.

Nadzialiśmy kielbasę na patyki i opiekaliśmy ją nad ogniem. Brakowało mi ciepłości; mój kawałek był przypalony na wierzchu i surowy w środku. Wokół nas w koronach drzew zbierały się głodne sójki syberyjskie.

– Dawniej ludzie je jedli – wskazałam głową ptaki. – Anni mi opowiadała. Razem z kuzynami rozciągali cienką linkę między drzewami i nadziewali na nią pajdki chleba. Sójki się zlatywały, ale nie potrafiły przysiąść na tak cienkim sznurku, więc zwieszały się głowami w dół. A wtedy wystarczyło je pozbierać. Jak owoce. Powinniśmy spróbować. Mamy jakiś sznurek?

– A nie prościej wziąć jeszcze jeden kawałek kielbasy?

Typowy, idiotycznie głupi, cudowny komentarz Simona. I zero uśmiechu zdradzającego, że to tylko żart.

Szturchnęłam go w pierś.

– Palant! Przecież wiesz, że nie mam zamiaru ich jeść. Chciałabym tylko sprawdzić, czy to nie jest jakaś bujda.

– Słuchaj, musimy się zbierać. Ani się obejrzymy, jak zapadnie zmrok.

Momentalnie spowaźniałam.

Simon nazbierał jeszcze więcej chrustu i kory. Znalazł też spróchniały pień brzozy. Takie dobrze się palą. Przysypał żar popiołem, żebyśmy – przy odrobinie szczęścia – mogli go tylko rozdmuchać po nurkowaniu. Kiedy człowiek przemarznie, chciałby jak najszybciej ogrzać się przy ogniu.

Wzięliśmy ze sobą automaty oddechowe, butle, maski, fajki, płetwy i czarne, wojskowe skafandry do nurkowania.

Simon szedł przodem z odbiornikiem GPS.

W sierpniu nieśliśmy kajak; tam gdzie to było możliwe, holowaliśmy go na lince wzdłuż Vittangiälven do Tahkojärvi, by w końcu dopłynąć do celu. Badaliśmy dno Vittangijärvi za pomocą echosondy. Gdy znaleźliśmy nasze miejsce, Simon wprowadził je do GPS-u i nazwał Wilmą.

W czasie wakacji stare gospodarstwo po zachodniej stronie zamieszkiwali letnicy.

– Stoją tam z lornetkami – powiedziałam, patrząc na przeciwległy brzeg. – I zachodzą w głowę, cośmy za jedni. Wystarczy, że teraz zanurkujemy, a wiadomość rozejdzie się po okolicy w mgnieniu oka.

Po skończonych badaniach powiosłowaliśmy więc na zachód, wyciągnęliśmy kajak na brzeg i ruszyliśmy w kierunku gospodarstwa. Daliśmy się zaprosić na kawę. Opowiedziałam bajkę o tym, jak dostaliśmy trochę grosza z SMHI^[1], żeby wysondować dno jeziora. Chodziło o coś, co ponoć miało związek ze zmianami klimatycznymi.

– Jak tylko wyjdą stąd po zakończeniu sezonu – oznajmiłam Simonowi, gdy dźwigaliśmy kajak w drodze powrotnej – będziemy mogli korzystać z ich łodzi.

Ale teraz wodę skuł lód i musieliśmy poczekać, aż stężeje. Trudno było uwierzyć, że pogoda sprzyja nam tak bardzo. Ciągle jeszcze nie spadł śnieg, a to oznaczało widoczność. W każdym razie na jakiś metr. Choć oczywiście mieliśmy nurkować o wiele głębiej.

Simon wypiłował przerębłę. Najpierw wyrąbał niewielki otwór siekierą, lód nie grzeszył grubością. Później użył płatnicy. Piła motorowa nie wchodziła w grę. Była zbyt ciężka, a poza tym robiła potwornie dużo hałasu. Nie chcieliśmy wzbudzać

niczyjego zainteresowania. To, czym się zajmowaliśmy, brzmiało niemal jak tytuł książki: „Wilma, Simon i tajemnica samolotu”.

Podczas gdy Simon piłował, ja zbijałam krzyżak, który mieliśmy później położyć nad przerębłą i do którego miała być przymocowana lina asekuracyjna.

Ściągnęliśmy z siebie wszystko oprócz bielizny termoaktywnej i założyliśmy skafandry.

Teraz siedzieliśmy na krawędzi lodu.

– Zejdź od razu na cztery metry – instruował Simon. – Najgorsze, co tu się może stać, to brak powietrza, kiedy zamarznie ci automat. Największe ryzyko jest tuż pod powierzchnią.

– Okej.

– Chociaż bliżej dna też się to może zdarzyć. Górskie jeziora są zdradliwe. Nagle okazuje się, że gdzieś są jakieś ujścia i prądy, temperatura spada poniżej zera. Ale przy powierzchni ryzyko jest największe. Pamiętaj więc: na dół, bezzwłocznie.

– Okej.

Nie chciałam go słuchać. Chciałam wejść do wody. Teraz, już.

Nie był pletwonurkiem technicznym, ale się dokszałcił. Poczytał w specjalistycznych czasopismach i w sieci. Powtarzał zasady nurkowania, nie dając się wytrącić z równowagi.

– Dwa szarpnięcia liną znaczą: wynurzamy się.

– Okej.

– Może znajdziemy wrak od razu, ale najprawdopodobniej nie. Zejdziemy na dół i zobaczymy, co dalej.

– Okej, okej.

W końcu nurkujemy.

Lodowata woda jest jak uderzenie końskim kopytem w twarz. Simon wchodzi zaraz po mnie. Nad przerębłą zostawia krzyżak z liną asekuracyjną. Zanurzając się, śledzi komputer nurkowy. Dwa metry. Jasno jak w dzień. Lód przepuszcza światło słoneczne niczym okno. Kiedy na nim staliśmy, był czarny. Teraz, od spodu, jest lekko niebieskawy. Dwanaście metrów. Mrok. Znikają wszystkie kolory. Piętnaście metrów.

Ciemność. Simon pewnie się zastanawia, jak się czuję. Choć przecież wie, że nieźła ze mnie twardzielka. Siedemnaście metrów.

Natrafiamy na wrak samolotu. Jesteśmy dokładnie nad nim.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale nie tego. Że to będzie takie proste. Bulgocze we mnie śmiech, który chwilowo nie może znaleźć ujścia. Nie mogę się doczekać wszystkich komentarzy Simona, już później, przy ognisku. Zazwyczaj jest taki małomówny, ale teraz z pewnością zaleje mnie potokiem słów!

Mam wrażenie, że samolot po prostu na nas czekał. Choć oczywiście sondowaliśmy dno. Szukaliśmy. Wiedzieliśmy, że powinien się tu znajdować.

A mimo wszystko, kiedy tak wpatruję się weń w zielonoczarnej ciemności, wydaje mi się nierzeczywisty. I o wiele większy, niż myślałam. Simon oświetla mnie latarką. Rozumiem, że chce zobaczyć moją reakcję. Moją radosną minę. Ale naturalnie nie może jej dojrzeć pod maską.

Daje mi znak, podnosząc i opuszczając wyprostowaną dłoń, co znaczy: tylko spokojnie. Uświadamiam sobie, jak gwałtownie oddycham. Muszę się wyciszyć, w przeciwnym razie zabraknie mi powietrza.

Wystarczy go na jakieś dwadzieścia minut. Wtedy będziemy już też solidnie wyziębieni. Oświetlamy wrak latarkami. Snopy światła ślizgają się po cielsku pokrytym mułem. Próbuję zgadnąć, co to za konstrukcja. Dornier? Przepływamy nad samolotem, odgarniamy szlam rękami. Nie, blacha jest falista. W takim razie junkers.

Płyniemy wzdłuż płatu skrzydła, zbliżamy się do silnika. Wygląda jakoś dziwnie. Coś tutaj jakby... Cofamy się. Płynę zaraz za Simonem, trzymam się liny. Znalazł podwozie. Na górze skrzydła!

Odwraca się do mnie i przekręca dłoń o sto osiemdziesiąt stopni. Rozumiem, co chce powiedzieć. Samolot leży podwoziem do góry. To dlatego tak dziwnie wygląda. Wpadając do wody, musiał przekoziółkować. Zrobił przewrót, uderzył ciężkim dziobem w taflę jeziora i zszedł na dno. Tyle że na plecach.

Jeżeli faktycznie wylądował w ten sposób, prawdopodobnie wszyscy zginęli na miejscu.

Jak się teraz dostać do środka?

Po chwili poszukiwań odnajdujemy boczne drzwi, zaraz za skrzydłem. Ale nie da

się ich otworzyć. Boczne okna zaś są zbyt małe, żeby się przez nie precyzyjnie przesuwać.

Znów płyniemy do przedniej części kadłuba. Kiedyś znajdował się tam motor, teraz go nie ma. Przypuszczalnie było tak, jak myślałam. Dziób uderzył w wodę. Wówczas silnik oderwał się i wszystko zatoniło. Okna w kokpicie są wybite. Ze względu na położenie samolotu trochę trudno do nich dotrzeć, ale to możliwe.

Simon oświetla wnętrze latarką. Gdzieś tam pływają szczątki załogi.

Przygotowuję się na widok tego, co mogło zostać z pilota. Ale nic nie widzimy.

Teraz pewnie Simon żałuje, że nie kupił kołowrotka, chociaż go namawiałam. Musimy dać sobie radę bez poręczówki. Nie ma gdzie przymocować liny asekuracyjnej. Trzymam ją mocno i obydwójce sprawdzamy, czy koniec jest przywiązany do jego pasa balastowego.

Simon oświetla swoją rękę. Wskazuje na mnie. Później na dno. To znaczy: zostań tutaj. Po chwili rozcapierza palce dwa razy. Dziesięć minut.

Oświetlam swoją dłoń i pokazuję mu: OK. Na koniec posyłam całusa.

Simon wkłada obie ręce w otwór po szybie, chwyta oparcie fotela i wślizguje się miękko do środka.

Teraz musi poruszać się bardzo ostrożnie.

Żeby zmącić wodę w tak niewielkim stopniu, jak to tylko możliwe.

Widzę go, jak znika wewnątrz samolotu. Spoglądam na zegarek. Dziesięć minut.

Nachodzą mnie myśli, które stanowczo od siebie odsuwam, gdy próbuję nabrać znaczenia w mojej świadomości. Na przykład myśl o tym, co dzieje się we wraku, który przez sześćdziesiąt lat leżał na dnie jeziora, kiedy nagle ktoś w nim wzburzył wodę. Już sam powiew wydychanego powietrza wystarczy, by coś się oderwało czy obsunęło. Coś może na Simona spaść. Przygnieść go. Coś ciężkiego. A jeżeli to się zdarzy, a ja nie będę w stanie go wyciągnąć? Jeśli zacznie brakować powietrza, czy powinnam wtedy ratować się sama i wypłynąć na powierzchnię? Czy może umrzeć razem z nim tutaj, w ciemności?

Nie, nie. Nie wolno mi tak myśleć! Wszystko pójdzie jak po maśle. Po prostu cholernie dobrze. A następnym razem to ja wpłynę do środka.

Świecę latarką tu i tam. W tym mroku to i tak nie na wiele się zdaje. Teraz, kiedy

podniosły się osady, widoczność jest niemal zerowa. Trudno sobie wyobrazić, że gdzieś tam w górze, nie tak daleko, zaledwie kilka metrów wyżej, przez błyszczący lód wdziera się słońce.

Nagle uświadamiam sobie, że lina asekuracyjna łącząca mnie z krzyżakiem nad przerębłą wiotczeje mi w dłoni.

Szarpię, by ją naprężyć. Ale ona ciągle jest luźna. Ciągnę więc. Metr, dwa metry.

Trzy.

Czyżby zerwała się z krzyżaka? Zrobiliśmy przecież bardzo porządny węzeł.

Przyciągam ją do siebie w coraz szybszym tempie. Teraz trzymam w ręce jej drugi koniec. Patrzę na niego. Wbijam weń oczy.

Boże drogi, muszę ją ponownie przymocować. Kiedy Simon wyjdzie z samolotu, nie będzie czasu na pływanie pod lodem i szukanie przerębli.

Napełniam skafander powietrzem i z wolna unoszę się w górę. Z ciemności, przez mrok, w jasność. Linę trzymam w ręce.

Rozglądam się za wpustem światła, ale nie mogę go znaleźć.

Widzę natomiast cień. Czarny prostokąt.

Coś leży nad przerębłą. Podpływam do niej. Krzyżak gdzieś zniknął. Otwór zaś jest przykryty drzwiami. W zielonym kolorze. Zbitymi z prostych desek, wzmocnionych jedną na skos. To z pewnością drzwi od jakiejś szopy albo stodoły.

Przychodzi mi do głowy, że musiały leżeć gdzieś niedaleko i że przywiał je tu wiatr. Ale zanim zdążę rozwinąć tę myśl, uświadamiam sobie jej niedorzeczność. Na górze jest przecież słoneczny, bezwietrzny dzień. Jeżeli nad przerębłą leżą drzwi, to znaczy, że ktoś je tam położył. Kim jest ów żartowniś?

Próbuję odsunąć przeszkodę obiema rękami. Wypuściłam z dłoni latarkę i linę, spadają niespiesznie na dno. Zielone deski ani drgną. W uszach dudni mi dźwięk gwałtownie wydychanego powietrza, kiedy bezskutecznie walczę z drzwiami. Dociera do mnie, że żartowniś na nich stoi. Ktoś przyciska je ciężarem własnego ciała.

Odpływam kawałek dalej i wyciągam nóż nurkowy. Zaczynam wykłuwać dziurę w lodzie. To nie jest proste. Woda spowalnia ruchy. Odbiera ręce siłę. Wiercę, drążę. W końcu przebijam się na drugą stronę. Teraz idzie mi o wiele lepiej. Kręcę ostrzem,

zeskrobuje lód z krawędzi, powiększam otwór.

Simon porusza się wewnątrz wraku tak ostrożnie, jak tylko potrafi. Opuszcza pomieszczenie radiooperatora za kokpitem i wpływa do kabiny. Nagle czuje lekkie szarpnięcie liny. Czyżby to Wilma? Dwa szarpnięcia znaczą: do góry! Tak przecież ustalili. Może zabrakło jej powietrza? Zaniepokojony, postanawia opuścić samolot. I tak nic nie widać. Ruchy powietrza i jego własne tak podniosły osad, że nie sposób dojrzeć nawet dłoni oświetlonej latarką. Jakby pływał w zielonej zupie. Pora wracać.

Pociąga za linę przywiązaną do pasa balastowego, żeby ją naprężyć i za jej pomocą wypłynąć z wraku. Ale lina się nie napręża. Simon wciąga ją do środka, metr po metrze. Teraz trzyma w ręce jej drugi koniec. Przecież Wilma miała jej pilnować. A koniec był przymocowany do krzyżaka nad przeręblą.

Strach kąsa mu serce niczym żmija. Lina okazuje się nagle zupełnie bezużyteczna. Jak teraz uda mu się znaleźć drogę powrotną? Przecież, kurwa, tu nic nie widać! Jak się stąd wydostać?

Płynie prosto przed siebie, aż uderza o ścianę. Szuka po omacku wyjścia. Rusza w drugą stronę, nie ma pojęcia, gdzie tył, a gdzie przód.

Zawadza o coś ruchomego. Świeci latarką. Nic nie widzi. To „coś” zdążyło zniknąć. Przekonany, że to jakieś ciało, wzdryga się. Ucieka. Byle dalej, prędko! Wkrótce otoczą go pływające wokół członki. Ręce i nogi, które oderwały się od ciała. Musi się uspokoić. Ale gdzie jest? Jak długo przebywa pod wodą? Na ile jeszcze wystarczy mu powietrza?

Choć nie zdaje sobie z tego sprawy, stracił rozeznanie, nie ma pojęcia, gdzie góra, a gdzie dół. Szuka po omacku punktu orientacyjnego, który pozwoli mu trafić do przedniej części kadłuba. Obmacuje jednak sufit i dlatego nic nie znajduje.

Owładnięty strachem, porusza się chaotycznie tam i z powrotem. W górę i w dół. Nic nie widzi. Absolutnie nic. Lina przywiązana do pasa balastowego zahacza o różne przedmioty. O uchwyty podłogowe do mocowania bagażu, o fotel, o zerwany pas bezpieczeństwa. O wszystko. Simon zaczyna wpływać na linę. Zaplątuje się w nią. Jak w pajęczą sieć wewnątrz wraku. Nie odnajduje wyjścia. Umiera w samolocie.

Za pomocą noża nurkowego udało mi się wykuć dziurę w lodzie. Mozolnie ją

powiększam. Uderzam ostrzem, wiercę. Kiedy mieści się w niej moja dłoń, spoglądam na ciśnieniomierz. Zostało dwadzieścia barów.

Nie mogę oddychać tak łąpczywie. Muszę się uspokoić. Ale nie mogę wyjść! Utknęłam pod lodem.

Wyciągam rękę przez otwór. Nie poprzedzam ruchu żadną refleksją. Dłoń wysuwa się jakby automatycznie, w poszukiwaniu pomocy.

Jakiś człowiek tam w górze ujmuje ją mocno. Najpierw zalewa mnie fala ciepła. Ktoś chce mi pomóc. Wydostać mnie z wody. Uratować.

Ale po chwili ten ktoś ciągnie mnie za rękę. Wygina ją to w jedną, to w drugą stronę. Dopiero wtedy dociera do mnie, że naprawdę jestem uwięziona. Nie mogę się ruszyć. Chcę się uwolnić, ale za każdym razem, gdy próbuję przyciągnąć do siebie dłoń, uderzam twarzą w lód. Różowy welon na tle błękitu.

Niespieszna myśl: to moja krew.

Osoba w górze zmienia uchwyt. Ściska mnie teraz tak jak przy powitaniu.

Napieram kolanami na lód. Schwytaną rękę trzymam między nogami. Odpycham się. Udało się! Dłoń wysuwa się z rękawicy. Lodowata woda. Lodowata ręka. Aj!

Odpywam. Jak najdalej. Jak najdalej od tego kogoś.

Znów jestem pod zielonymi drzwiami. Walę w nie. Tłukę. Drapię.

Musi być jakieś inne wyjście. Jakieś miejsce, w którym lód jest bardzo cienki. Gdzie mogę go przebić. Odpywam.

Ale on idzie za mną. Czy to jest on? Widzę sylwetkę przez lód. Niewyraźnie. I od dołu. Cały czas nade mną. Między jednym a drugim oddechem, kiedy nie huczy mi w uszach wydychane powietrze, słyszę kroki na lodzie.

Przez krótką chwilę widzę osobę na górze. Wydychane powietrze nie ma gdzie się podziać. Wciska się pod taflę lodu niczym płaski lustrzany pęcherz. Dostrzegam w nim swoje odbicie. Zniekształcone jak w krzywym zwierciadle w gabinecie śmiechu. Obraz się zmienia. Kiedy robię wdech, widzę sylwetkę na lodzie, przy wydechu – siebie samą.

I wtedy zamarza automat. Powietrze wytryskuje z ustnika. Przestaję pływać, całą uwagę koncentruję na próbach oddychania. Butla opróżnia się w ciągu kilku minut.

Powietrze się kończy. Płuca krzyczą o więcej. Staram się wytrzymać jak najdłużej.

Nie wdycham wody. Eksploduję.

Wymachuję rękami. Na próżno walę w lodowy sufit. Ostatnia rzecz, jaką robię: zrywam z twarzy automat i maskę. Potem umieram. Między mną a błękitem lodu nie ma już żadnego powietrza. Żadnego lustrzanego odbicia. Mam otwarte oczy. Widzę człowieka na górze.

Widzę twarz przyciśniętą do lodu, wpatrzoną we mnie. Nie rozumiem jednak tego obrazu. Moja świadomość cofa się niczym fala odpływu.

CZWARTEK, 16 KWIETNIA

ÖSTEN MARJAVAARA otworzył oczy w swoim domku w Pirttilahti kwadrans po trzeciej. Obudziła go jasność. Pod koniec kwietnia nigdy nie było ciemno dłużej niż jakąś godzinę. Spuszczone żaluzje pomagały tyle co nic. Światło wciskało się między lamele, wpadało cienkimi strugami przez otworki, którymi biegł sznurek, wpływało przez szparę między ostatnią listwą a ramą okienną. Nawet gdyby zabił okna deskami, ba, nawet gdyby spał w pomieszczeniu bez okien, i tak by się obudził. Jasność na zewnątrz nęciła, pociągała. Delikatna i niespokojna jak samotna kobieta. Równie dobrze mógł więc wstać i zaparzyć kawę.

Podniósł się z łóżka, podciągnął żaluzje. Przeszedł bosy po lodowatej podłodze. Termometr za oknem wskazywał minus dwa stopnie. W nocy spadł śnieg. Szreń, która powstała po ubiegłotygodniowej odwilży, stwardniała jeszcze bardziej, mógłby teraz puścić się po niej na nartach, wzdłuż rzeki Torne do Tervaskoski. Tam w bystrzynie z pewnością zebrało się stadko lipieni.

Kiedy ogień zaczął buzować w piecu, mężczyzna wziął z sieni czerwone wiaderko i ruszył ku rzece po wodę. Do brzegu miał zaledwie kilka metrów, szedł jednak ostrożnie; pod świeżym śniegiem wszędzie czaił się zdradliwy lód, nietrudno było o bolesną wywrotkę.

Słońce, ciągle jeszcze za linią horyzontu, malowało złotoczerwone smugi na zimowym niebie. Wkrótce miało się unieść ponad świerkowy las i rozżarzyć brunatną czerwień drewnianej chatki.

Śnieg leżał na rzece niczym szept natury. Tsss... mówił. Nie ruszaj się. Teraz jesteśmy tu tylko ty i ja.

Mężczyzna posłusznie zamarł w bezruchu z wiaderkiem w dłoni i objął wzrokiem rzekę. To prawda. Człowiek nigdy nie jest panem świata tak bardzo jak wtedy, gdy obudzi się pierwszy. Wzdłuż obu brzegów stały niewielkie domki, ale tylko z jego komina unosił się dym. Pozostałe domy były prawdopodobnie puste. Właściciele

siedzieli w mieście, nieszczęśnicy.

Przy samym końcu pomostu znajdowała się przerębla, którą Östen wyciął w lodzie i chronił przed zamrożeniem styropianowym wiekiem. Odsnieżył je teraz i podniósł. Kiedy przyjeżdżała tu z nim Barbro, zawsze brali ze sobą wodę z miasta. Żona za nic nie chciała pić z rzeki.

– Ohyda! – wykrzykiwała, wzdrygając się z obrzydzenia. – Te wszystkie brudy z każdej wioski!

Wieki temu mówiła sporo o szpitalu w Vittangi. Że w każdym razie mają szczęście, iż mieszkają trochę wyżej. Że przecież tam nie ma żadnej oczyszczalni ścieków albo czegoś w tym rodzaju. Na pewno spłukują do rzeki wyrostki robaczkowe i Bóg wie co jeszcze.

– Dyrzymały – odpowiadał, jak setki razy wcześniej. – Babskie gadanie!

Pił tę wodę od dzieciństwa i zdrowie dopisywało mu bardziej niż jego kobiecie.

Przykucnął nad przeręblą. Zazwyczaj zanurzał wiaderko dość głęboko i wyciągał je za pomocą liny przywiązanej do uchwytu.

Ale tym razem wiaderko nie dało się zanurzyć. Coś w tym przeszkadzało, coś, co znajdowało się zaraz pod powierzchnią wody. Coś dużego. Czarnego.

Przegniły pień? – pomyślał.

Rzadko się teraz takie widywało. O wiele częściej dawniej, kiedy był dzieckiem; wtedy ciągle jeszcze spławiano drewno rzeką.

Włożył rękę do przerębli, żeby odsunąć zawalidrogę. Wyglądało na to, że pień utknął pod pomostem. Ale to nie był pień. Raczej coś gumowego.

– No nie... – mruknął i odłożył wiaderko.

Próbował złapać przedmiot obiema rękami, ale zgrabiałe dłonie w lodowatej wodzie nie były szczególnie zręczne. W końcu udało mu się coś uchwycić. Pociągnął.

Ramię, pomyślał ociężale.

Głowa nie chciała zrozumieć.

Ludzkie ramię.

Potem w wodzie ukazała się poraniona twarz dziewczyny.

Östen krzyknął i podniósł się gwałtownie.

Z lasu odpowiedział mu kruk. Gardłowe krakanie przecięło ciszę. Po chwili dołączyły się wrony.

Mężczyzna ruszył biegiem do domu, poślizgnął się, ale nie upadł.

Wystukał jeden, jeden, dwa. I uświadomił sobie, że wczoraj do obiadu wypił trzy szklanki wody. A potem kawę. Wodę przyniósł z rzeki. Z przerębli koło pomostu. Zwłoki na pewno już tam leżały. Zaraz obok. Ta biała pokierszowana twarz. Oderwany nos. Zęby w ustach pozbawionych warg.

Östen usłyszał czyjś głos w słuchawce, ale rozłączył się i zwymiotował na ziemię. Wyrzucił z siebie wszystko. Jeszcze dobrą chwilę jego ciałem wstrząsały torsje, choć już nic w nim nie było.

Później znów wystukał jeden, jeden, dwa.

Nigdy więcej nie napije się wody z rzeki. Miną lata, zanim ponownie do niej wejdzie, by popływać po kąpieli w saunie.

PATRZĘ NA MĘŻCZYZNĘ, który mnie znalazł. Wymiotuje na świeży śnieg. Wystukuje jeden, jeden, dwa i obiecuje sobie, że już nigdy nie napije się wody z rzeki.

Myślę o dniu, w którym umarłam.

Byliśmy martwi, Simon i ja. Stałam na lodzie. Nadchodził wieczór. Słońce chyliło się ku horyzontowi. W przerębli pływały połamane drzwi. Widziałam, że z jednej strony pomalowano je na zielono, a z drugiej – na czarno.

Trochę dalej, na brzegu, stał mężczyzna i przeszukiwał nasze plecaki.

Nadleciał kruk. Wydał charakterystyczny dźwięk, jakby ktoś uderzał pałką o pustą metalową beczkę po ropy. Przysiadł na lodzie, bardzo blisko. Przekręcił głowę i spojrzał na mnie w ptasi sposób, z boku.

Muszę wrócić do Anni, pomyślałam.

I zanim zdążyłam dokończyć myśl, już byłam u niej w domu.

Od takiej szybkiej zmiany miejsca zakręciło mi się w głowie. Jakbym właśnie zeszła z karuzeli.

Teraz już się przyzwyczaiałam.

Anni robiła ciasto naleśnikowe. Siedziała na krześle przy kuchennym stole

i roztrzepywała mąkę w mleku.

Lubię naleśniki.

Nie wiedziała, że nie żyję. Mieszała ciasto trzepaczką i cieszyła się na myśl, że wkrótce usiądę przy stole i zabiorę się żwawo do jej placuszków, podczas gdy ona, ciągle przy piecu, będzie smażyła kolejne. Przykryła miskę talerzem i odstawiła, żeby ciasto napęczniało. Nigdy nie wróciłam do domu. Miska wylądowała w lodówce. U Anni nic się nie może zmarnować, usmażyła więc w końcu naleśniki i włożyła do zamrażarki. Ciągle tam leżą.

Teraz mnie znaleziono. Anni może zacząć płakać.

ŚNIEG, POMYŚLAŁA prokurator Rebeka Martinsson, wysiadając z samochodu na podwórzu w Kurravaarze, i poczuła dreszcz rozkoszy.

Była siódma wieczorem. Śniegowe chmury pograżyły wieś w przyjemnym mroku. Ledwie dało się dostrzec światła u sąsiadów. Bo śnieg nie padał, o, nie. On walił tumanami. Suche, puszyste i zimne płatki sypały się z nieba, jak gdyby ktoś tam w górze zmiatał je w dół, robiąc gruntowne porządki.

Babcia, to jasne, pomyślała Rebeka z lekkim uśmiechem. Z pewnością wciąż na nogach, szoruje teraz na kolanach podłogi Pana. Zamiata i wymiata. A Jego samego zesłała na ganek.

Szary, eternitowy dom babci skrył się w pomroce. Jakby korzystając z okazji, uciął sobie krótką drzemkę. I tylko lampa nad zielonymi schodami zdawała się zapraszać cichutko: witaj w domu, Rebeko!

W kieszeni zadzwięczał jej telefon. SMS od Månsa.

„Cholerny sztokholmski deszcz – przeczytała. – Łóżko puste bez ciebie. Przyjedź! Chcę lizać twoje piersi, objąć cię mocno. Całuję wszystkie twoje piękne miejsca”.

Znów przeszył ją dreszcz.

„Cholerny facet – odpisała. – Dziś wieczór mam robotę, a nie ciebie”.

Uśmiechnęła się. Był cudowny. Tęskniła za nim, cieszyła się nim. Ładnych parę lat temu pracowała u niego w kancelarii adwokackiej Meijer & Ditzinger. Uważał, że powinna tam wrócić.

– Jako adwokatka zarabiałabyś trzy razy więcej niż teraz – mówił.

Spojrzała w kierunku rzeki. W lecie klęczał z nią na pomoście i ryżową szczotką szorował gałgankowe chodniki utkane przez babcię. Zapach szarego mydła. Ostre słońce. Słone strużki potu spływające po plecach i z czoła. Kiedy skończyli szorowanie, wrzucili dywaniki do rzeki, żeby je wypłukać. Potem rozebrali się do naga i pływali wśród nich jak radosne psy.

Próbowała mu wytłumaczyć, że właśnie tak pragnie żyć.

– Chcę stać tutaj na podwórzu i kitować okna, a od czasu do czasu podnieść wzrok i spojrzeć na rzekę. Latem chcę pić poranną kawę na ganku, zanim pojedę do pracy. Zimą odkopywać samochód spod śniegu. A na szybach w kuchni mieć kwiaty malowane mrozem.

– Przecież nie musisz z tego rezygnować – przekonywał. – Możemy jeździć do Kiruny tak często, jak tylko sobie zażyczysz.

Ale to nie byłoby to samo. Doskonale o tym wiedziała. Dom nigdy nie dałby się nabrać. Zresztą rzeka też nie.

Potrzebuję tego wszystkiego, myślała. Jest we mnie tyle uciążliwych osób. Trzyletnia spragniona miłości dziewczynka, wyrachowana prawniczka, samotna wilczyca i ta, która znów chce zwariować, która tęskni za ucieczką w szaleństwo. Potrzebuję uczucia małości wobec fajerwerków zorzy polarnej, wobec potęgi rzeki. Tutaj jest się tak blisko natury i wszechświata. Moje zmartwienia i ułomności jakby się kurczą. Lubię, kiedy niewiele znaczę.

Tutaj jestem papierem, którym są wyłożone półki, pajakami w kącie i miotłą przed domem. Nie chcę być gościem ani kimś obcym. Nigdy więcej.

Z tumanów śniegu, pędząc w szalonym tempie, wynurzyła się wyźlica. Powiewające uszy, pysk rozwarty jakby w radosnym uśmiechu – pełnia szczęścia. Kiedy gwałtownie zawróciła, żeby się przywitać, przejechała łapami po lodzie ukrytym pod śniegiem.

– Serwus, Bella! – wykrzyknęła Rebeka z psem w objęciach. – A gdzie podziałś swojego pana?

Wtedy doszło do niej gniewne wołanie.

– Do nogi, mówię! Do nogi! Nie słyszysz?

– Jest tutaj! – odkrzyknęła Rebeka.

Zza zasłony śniegu wyłonił się Sivving. Stawiał drobne kroki na szeroko rozstawionych nogach, uważając, żeby się nie przewrócić. Powłóczył lekko porażoną niegdyś kończyną, ramię po tej samej stronie zwisało niemal bezwładnie. Białe, wełniste włosy ukryte były pod zielono-białą narciarką, zrobioną na drutach. A na czubku głowy widniała jeszcze jedna, śniegowa czapeczka. Rebeka starała się, jak mogła, powstrzymać uśmiech. Sąsiad wyglądał tak zabawnie! Duży był zawsze, ale teraz miał na sobie puchową czerwoną kurtkę, która czyniła zeń olbrzyma. I ta maciupenka śniegowa mycka!

– Gdzie? – wydyszał.

Ale Bella już zdążyła zniknąć w śniegu.

– E, jak zgłodnieje, to wróci – uśmiechnął się po chwili. – A ty? Nie jesteś głodna? Mam zamiar odsmażyć palt^[2], dla ciebie też starczy.

Bella pojawiła się w momencie, gdy wchodzili do środka, i pierwsza wbiegła do piwnicy. Wiele lat temu Sivving przeprowadził się do domowej kotłowni.

– Człowiek bez trudu znajduje to, czego szuka. Łatwiej też utrzymać porządek – zwykł mówić.

Z pozostałej części domu, starannie wysprzątanej, korzystał tylko wtedy, gdy z wizytą przyjeżdżały do niego dzieci i wnuki.

Kotłownia była skromnie umeblowana.

Ale przytulnie, pomyślała Rebeka, ściągając buty. Usiadła na kuchennej ławie przy stole z laminowanym blatem.

Stół, krzesło, taboret, ława. Po co więcej? W kącie stało zasłane łóżko. Na podłodze leżały gałgankowe dywaniki, izolujące od piwnicznego chłodu.

Sivving stał przy kuchence w fartuchu, który kiedyś należał do jego żony. Wcisnął go za pasek spodni, miał bowiem zbyt wydatny brzuch, żeby zawiązać tasiemki z tyłu.

Bella położyła się koło bojlera, aby wyschnąć. Pachniało mokrym psem, mokrą wełną i wilgotną cementową posadzką.

– Zdrzemnij się chwileczkę – zaproponował Rebecce sąsiad.

Położyła się na drewnianej ławie. Mebel nie był długi, ale kiedy podłożyło się pod

głową dwie poduszki i podciągnęło kolana, robiło się całkiem wygodnie.

Sivving pokroił palt w dość grube plastry. Solidny kawał masła tańczył na rozgrzanej patelni.

Zadzwieczał telefon. Kolejny SMS od Månsa.

„Praca nie zajac. Chcę cię chwycić w pasie i całować. Posadzić na stole w kuchni i podciągnąć ci sukienkę”.

– Aha. To z pracy? – spytał Sivving.

– Nie, od Månsa – odparła lekko. – Zastanawia się, kiedy go odwiedzisz, żeby mu wybudować saunę.

– A to ci dopiero kawał lenia! Powiedz mu, żeby lepiej tu przyjechał, pomógł w odśnieżaniu. Najpierw masa śniegu, a później odwilż. To będzie koszmar. Powiedz mu to.

– Powiem, jasne – odpowiedziała machinalnie i napisała: „Mm, więcej!”.

Pokrojone kluski zaskwierczały na patelni. Bella podniosła łeb i z lubością poruszyła nozdrzami.

– A ja z tą cholerną ręką... Żadnej sauny już nie wybuduję. Nie, człowiek powinien wziąć przykład z Arvida Backlunda.

– A cóż on takiego zrobił? – zapytała Rebeka, nieobecna duchem.

– Jeśli na sekundę oderwiesz oczy od telefonu, to ci opowiem.

Rebeka wyłączyła komórkę. Spędzała ze swoim sąsiadem stanowczo za mało czasu. A skoro już u niego była, faktycznie mogła mu poświęcić całą uwagę.

– Arvid mieszka po drugiej stronie zatoki. Tydzień temu skończył osiemdziesiąt dwa lata. Obliczył, jak dużo drewna na opał zużyje do końca życia...

– A skąd to może wiedzieć? Jak długo będzie żył?

– Wolisz dostać pojemniczek z kolacją i zjeść sama w domu? Człowiek stara się prowadzić konwersację...

– Przepraszam! Proszę, proszę, konwersuj ze mną!

– No więc zamówił furę drewna i kazał wrzucić ładunek przez okno w salonie. I teraz ma blisko. Poradzi sobie z ogrzewaniem przez te parę zim, które mu zostały.

– W salonie?

– Stos wielki jak cholera, na środku parkietu.

– Przypuszczam, że nie ma żony? – zapytała Rebeka ze śmiechem.

Sivving jej zawtórował. Śmiech przyćmił jej wyrzuty sumienia z powodu zbyt rzadkich wizyt u sąsiada. Wiedziała, że wolałby ją widywać częściej. Jego brzuch podskakiwał pod fartuchem. Rebeka zaczęła kaszleć.

Po chwili nastrój Sivvinga raptownie się zmienił; starzec skwaszonym tonem zaczął bronić Arvida Backlunda.

– Bogiem a prawdą, nie widzę w tym nic złego.

Rebeka przestała się śmiać.

– Teraz przynajmniej da sobie radę sam – mówił dalej, poirytowany. – Jasne, że mógłby mieć drewno w drewnitni, jak wszyscy. A pewnego dnia, w drodze po nie, wyrzucił się i złamał nogę. W tym wieku człowiek już nigdy nie wraca ze szpitala. Zostaje tylko przeniesiony na oddział dla przewlekle chorych. Łatwo wam się śmiać, młodym i zdrowym.

Z hukiem postawił na stole żeliwną patelnię z odsmażonymi kluskami.

– Podano do stołu!

Nałożyli na talerze palt, okrasili masłem, przykryli górą brusznicy i smażonym boczkami. Jedli w milczeniu.

Boi się, pomyślała Rebeka.

Chciałaby mu coś powiedzieć. Zapewnić go, że nigdy nie wróci do Sztokholmu. Obiecać, że gdy zajdzie potrzeba – będzie odśnieżać mu podwórko i robić zakupy.

Zaopiekuję się tobą, myślała, patrząc, jak Sivving wychyla szklanekę mleka paroma haustami.

Tak jak ty zaopiekowałeś się babcią, dodała w myśli i przekroiła palt, aż nóż zazgrzytał o talerz. Podczas gdy ja zostawiłam ją tutaj i przeprowadziłam się na południe. Odgarniałaś śnieg i dotrzymywałaś jej towarzystwa. Mimo że pod koniec była zrzędlawa i niespokojna. Mimo że nie szczydziła ci uwag na temat odśnieżania. Chcę być osobą, która się opiekuje. Chcę być tym typem człowieka.

– Co za rozprawę miałam w ubiegły piątek! – przerwała milczenie.

Sivving się nie odzywał. Jadł palt i pił mleko, jakby nie słyszał, ciągle w złym humorze.

– Chodziło o molestowanie seksualne – ciągnęła, nie zrażając się brakiem reakcji. – Pozwany dzwonił do dwóch pracownic w biurze pośrednictwa pracy i onanizował się w trakcie rozmowy. Jedna dama ma pięćdziesiąt lat, druga jest po sześćdziesiątce, obie potwornie bały się konfrontacji z mężczyzną. Były przekonane, że kiedy ten zobaczy, jak wyglądają, zgwałci je przy najbliższej okazji, na przykład gdy spotkają się przypadkowo w sklepie. Wnioskowałam więc o przesłuchanie powódek pod nieobecność pozwanego.

– A co to konkretnie oznacza? – przerwał jej Sivving, rozeźlony, że musi zadać pytanie, lecz zbyt ciekaw, żeby tego nie zrobić.

– Oskarżony znajdował się w sąsiednim pokoju i słuchał, jak kobiety zeznawały, ale ich nie widział. Boże mój jedyny, jakież one były zażenowane, gdy przyszło im relacjonować przebieg zdarzeń. Musiałam je nieźle przycisnąć, żeby wyeksponować czynność seksualną. Między innymi zapytałam, na jakiej podstawie twierdzą, że mężczyzna się onanizował.

Rebeka przerwała opowiadanie i włożyła spory kawałek kluski do ust. Przeżuwała niespiesznie. Czekając na ciąg dalszy, Sivving w ogóle zrezygnował z jedzenia.

– No i? – wyrzucił z siebie w końcu ze zniecierpliwieniem.

– Odpowiedziały, że słyszały rytmiczne, mlaskające odgłosy i jednocześnie ciężki oddech rozmówcy. Jedna z kobiet zeznała, że u mężczyzny doszło do wytrysku, musiałam więc zapytać, co ją skłania do takiego twierdzenia. Odpowiedziała, że mężczyzna oddychał coraz ciężiej, rytmicznie, mlaskające odgłosy się nasiliły, a w końcu dało się słyszeć głośny jęk i słowo „doszedłem!”. Biedne kobiety. A na sali siedział Hasse Sternlund z „Norrländska Socialdemokraten” i notował, aż się iskrzyło. To też im nie ułatwiało zadania.

Rozpogodzony Sivving zamruczał z zadowoleniem.

– Pozwanym był grubawy trzydziestolatek o tłustych włosach – mówiła dalej Rebeka. – Wcześniej kilkakrotnie skazany za molestowanie seksualne. Tym razem zaprzeczał kategorycznie oskarżeniu, twierdził, że cierpi na astmę i że to, co słyszały kobiety, było atakiem astmy, a nie odgłosami masturbacji. Wówczas adwokat poprosił pozwanego, żeby zademonstrował, jak może brzmieć atak astmy. Szkoda, że nie widziałeś sędziego i ławników. Na ich twarzach coś jakby zaczęło drgać. Sędzia udawał, że męczy go kaszel. Dusili się ze śmiechu, to wszystko było przecież

absurdalne. Na szczęście pozwany odmówił. Adwokat powiedział mi później, już po rozprawie, że poprosił swojego klienta o zademonstrowanie napadu astmy tylko po to, żeby sprawdzić, czy uda mu się wyprowadzić mnie z równowagi. W trakcie przesłuchania zarówno powódek, jak i pozwanego zachowywałam się chłodno i rzeczowo. Teraz kiedy dzwoni do mnie w jakiejś służbowej sprawie, zaczyna zawsze, dysząc: „Czy to biuro pośrednictwa pracy?”.

– A ten tłusty facet został skazany? – zapytał Sivving i upuścił umyślnie kawałek boczkę, który Bella momentalnie połknęła.

Rebeka się zaśmiała.

– Oczywiście. Uff! Co za praca! Biedne urzędniczki, pomyśl, gdybyś to ty musiał naśladować odgłosy, jakie wydaje ktoś, kto robi sobie dobrze.

– O nie, nie. Prędzej poszedłbym do więzienia – odparł wesoło.

Rebeka zaśmiała się. Ale jednocześnie pomyślała o jednej z powódek, tej starszej. Przed rozprawą siedziały w gabinecie prokuratora. Kobieta patrzyła na nią zwięzionymi oczami. Jej głos był chropowaty, jazgotliwy, naznaczony papierosami i alkoholem. Szminka wnikała w zmarszczki wokół ust. Gruba warstwa pudru pokrywała rozszerzone pory, nadając twarzy martwy wyraz. „A więc człowiek to też musiał zaliczyć. Jeszcze tylko tego brakowało”, odezwała się i zacisnęła usta. Później opowiedziała Rebecce, jak stała się ofiarą mobbingu w pracy. Jak nie zaproszono jej na ostatnią imprezę z kiszonym śledziem. „Cały czas szepczą i obmawiają mnie za plecami. Rok temu człowiek wypił ciut za dużo do śledzika i zasnął na tarasie. Nie mogą mi tego zapomnieć. Szkalują mnie przed szefową, eh. Powinnam ich, kurde, podać do sądu...”

Po spotkaniu z tą kobietą Rebeka czuła się wyzuta ze wszystkiego. Wydrążona i przygnębiona. Pomyślała o swojej mamie. Czy gdyby nie umarła tak młodo, też miałyby taki krzykliwy głos?

Sivving przerwał jej rozmyślenia.

– W każdym razie masz dosyć urozmaicone zajęcia.

– E, nie byłabym tego taka pewna. Akurat teraz nic się nie dzieje. Jeżdżenie po pijaku i pobicia, codziennie, do znudzenia.

Kiedy Rebeka wraca do domu, wciąż sypie śnieg, choć już o wiele spokojniej.

Ogromne płatki wirują lekko w łagodnym tańcu. Topnieją na policzkach. To śnieg, który uszczęśliwia.

Nie jest ciemno, chociaż zdążyło się zrobić późno. Z wolna nadchodzą jasne noce. Niebo zaciąga się szarymi chmurami. Domy i drzewa tracą kontury. Jakby namalowano je akwarelą na mokrym papierze.

Rebeka zatrzymuje się przed gankiem. Wysuwa przed siebie ręce, odwraca dłonie grzbietami do góry. Śniegowe gwiazdki lądują na rękawicach, lśniące i migotliwe.

Zupełnie bez ostrzeżenia ogarnia ją czyste, żywe szczęście. Przeciąga przez nią niczym wiatr przez górską dolinę. Siła promieniująca z ziemi rozlewa się po całym ciele. Rebeka stoi jak skamieniała. Nie ma odwagi się poruszyć, z obawy, że wystraszy tę ulotną chwilę.

Stapia się w jedno z całą resztą. Ze śniegiem, z niebem. Z rzeką ukrytą pod lodem. Z Sivvingiem, z mieszkańcami wioski. Ze wszystkim. I wszystkimi.

Jestem częścią całości, myśli. I być może przynależę do tej ziemi bez względu na to, co do niej czuję i na co mam ochotę.

Przekręca klucz w zamku, wchodzi po schodach na górę.

Nie opuszcza jej poczucie czegoś podniosłego. Wieczorne szczotkowanie zębów i mycie twarzy przeradza się w niemal święty rytuał. Niepostrzeżenie znika natłok myśli. Słyszc tylko odgłos szczoteczki szorującej zęby i płynącą z kranu wodę. Rebeka zakłada piżamę jak ubranie do chrztu. Zmienia prześcieradła, poszwy i poszewki. Nie odbiera telefonu od Månsa. Telewizor i radio stoją nieme i ślepe.

Kładzie się w pościeli, która ma w sobie świeżą szorstkość i zapach czystości.

Dziękuję, mówi bezgłośnie Rebeka.

Czuje mrowienie w dłoniach, rozgrzanych niczym kamienie w saunie. Ale to nie jest nieprzyjemne.

Zasypia.

Budzi się około czwartej. Za oknem jest zupełnie jasno, śnieżycy musiała odejść gdzieś dalej. Na skraju łóżka siedzi młoda dziewczyna. Zupełnie naga. W jednej brwi ma dwa kolczyki. Jej cera jest piegowata, a rude włosy są mokre. Wzdłuż kręgosłupa spływa z nich struga wody. Kiedy zaczyna mówić, z jej ust i nosa chlusta woda.

To nie był wypadek, oznajmia.

Wiem, odpowiada Rebeka, siadając.

On mnie przeniósł. Nie umarłam w rzece. Spójrz na moją rękę.

Podsuwa Rebecę pod oczy dłoń. Zdarta skóra. Bezkrwista miazga. Z poszarzałego mięsa wystają knykcie. Brakuje małego palca i kciuka.

Dziewczyna patrzy na rękę ze smutkiem.

Połamalam paznokcie, kiedy próbowałam się wydostać spod lodu.

Rebeka ma wrażenie, że nieznajoma za chwilę zniknie.

Poczekaj, woła.

Biegnie za nią. Dziewczyna umyka między sosnami. Rebeka usiłuje ją dogonić, ale w lesie leży głęboki, mokry śnieg; zapada się w nim po kolana.

Po chwili znów stoi przy swoim łóżku. W głowie pobrzmiwa głos mamy: Daj spokój! Nie przesadzaj!

To tylko sen, mówi do siebie Rebeka. Po chwili zapada w kolejny. Otwarte niebo nad jej głową. Czarne ptaki podrywające się z sosnowych koron.

NAWIEDZAM PROKURATORKĘ. To pierwszy człowiek, który mnie dostrzega, odkąd umarłam. Jest otwarta. Widzi mnie wyraźnie, kiedy przysiadam na skraju łóżka. Obok stoi jej babcia. To pierwsza zmarła osoba, którą widzę od czasu swojej śmierci. Prawdę mówiąc, pierwsza w ogóle. Kobieta mierzy mnie surowym spojrzeniem. Tutaj nie można ot, tak po prostu pojawić się, zniknąć, narobić zamieszania. Prokuratorka ma w niej silną opiekunkę. Proszę staruszkę o rozmowę z jej wnuczką.

Nie chcę nikogo wystraszyć ani wzburzyć. Chcę tylko, by znaleziono Simona. Nie wiem, gdzie się podział. Nie potrafię znieść ich widoku. Anni siedzi w swoim różowym domu, sprząta i wygląda przez okno. Bywa, że przez kilka dni nie ma do kogo otworzyć ust. Czasami, wsparta o fińskie sanki^[3], idzie kawałek wzdłuż drogi. Czasami wdrapuje się z mozołem na piętro i patrzy na moje łóżko.

Mama Simona rzuca nienawistne spojrzenia za jego ojcem, który zjadłszy coś w biegu, wychodzi pospiesznie z domu. Są oschli i małomówni. On nie może już z nią wytrzymać. Na początku próbowała z nim rozmawiać. Płakała, budziła go po nocach.

Miał tego dość. Pewnego wieczoru wziął poduszkę, wyszedł z sypialni i położył się na kanapie w dużym pokoju. Kiedy go błagała, żeby się odezwał, powiedział tylko, że jutro musi wcześniej wstać do pracy. Wyczerpała zasób próśb i gróźb. A chciałyby tylko pochować syna.

Żali się znajomym kobietom, że mąż w ogóle się nie przejmuje. Ale ja widzę jego śmiertelnie niebezpieczną jazdę. Potężne tiry trąbiły na niego zimą, gdy wyprzedzał je w śnieżnym dymie. Wkrótce zginie w wypadku samochodowym.

Przesuwam się nad wioską. Noc jest jasna. Świeży śnieg przykrył grubą warstwę starego, który – przedwiosennie przybrudzony ziemią i żwirem – przybrał brunatną barwę.

Hjalmar Krekula nie śpi. Stoi na podwórzu niczym wypasiony niedźwiedź. Ma na sobie tylko kalesony i T-shirt. Na dachu kraczą chrapliwie dwa kruki. Hjalmar próbuje je przegonić. Rzuca w nie kilka szczap drewna, które przyniósł z drewnutni. Nie ma odwagi krzyknąć, przecież cała wioska śpi. On zaś nie zmrużył oka i wini za to czarne ptaki, białe noce oraz ciężkostrawną kolację.

Kruki podrywają się do lotu i zaraz przysiadają na pobliskiej sośnie.

Krekula już się ich nie pozbędzie. A w nocy znaleziono moje ciało. Może w wiosce w końcu rozwiążą się języki. Nareszcie.

PIĄTEK, 17 KWIETNIA

– **SZLAG BY TO**, kurwa!

Komisarz policji i przewodnik psa, Krister Eriksson, trzasnął drzwiami samochodu i rzucił przekleństwo w zimne, suche powietrze.

Suka Tintin, czarny owczarek alzacki, węszyła w świeżym śniegu na parkingu komendy.

– Co się stało? – zapytał ktoś za jego plecami.

Rebeka Martinsson, prokuratorka. Jej długie ciemne włosy zwisały luźno spod czapki zrobionej na drutach. Była bez makijażu, w dżinsach. A więc: dzień bez rozprawy.

– Samochód – uśmiechnął się Krister, zawstydzony wybuchem złości. – Nie chce zapalić. A ja muszę jechać; znaleziono Wilmę Persson, dziewczynę, która zaginęła jesienią.

Rebeka poruszyła pytająco głową.

– Zniknęła razem ze swoim chłopakiem na początku października – powiedział. – Obydwoje bardzo młodzi. Prawdopodobnie pojechali dokądś, żeby nurkować pod lodem, ale nikt nie wiedział gdzie.

– Tak, teraz sobie przypominam. A więc znaleziono ich?

– Tylko ją. W Torne, powyżej Vittangi. To musiał być wypadek przy nurkowaniu, tak jak podejrzewano. Zadzwoiła do mnie Anna Maria i poprosiła, żebym przyjechał z Tintin sprawdzić, czy w pobliżu nie ma ciała chłopaka.

Komisarz Anna Maria Mella była szefową Erikssona.

– Co u niej słyhać? – zapytała Rebeka. – Dawno z nią nie rozmawiałam, chociaż pracujemy w tym samym budynku.

– Myślę, że raczej w porządku. No wiesz, kilkoro dzieciaków w domu. Ręce pełne roboty, chyba jak u wszystkich.

Rebeka patrzyła, jakby przejrzała go na wylot. Jakby wiedziała, że Krister kłamie. Anna Maria wcale nie miała się dobrze.

– No, może między nią a kolegami nie panuje aż tak dobra atmosfera jak dawniej...
– dodał. – W każdym razie powiedziałem jej, że Tintin właściwie już nie pracuje, wkrótce będzie miała młode. Ale pozwolę jej na krótką rundkę. Pomyślałem też, że mogę wziąć ze sobą tego nowego. Żeby trochę powęszył. Nie zaszkodzi. Jeśli nic nie znajdziemy, to mogą posłać po innego psa, tylko że najbliższy jest w Sundsvall, więc...

Skinął głową w kierunku samochodu. W bagażniku kombi stały dwie klatki. W jednej leżał czekoladowy owczarek niemiecki.

– Piękny! Jak się wabi?

– Roy. Zgadza się, piękny. Pytanie tylko, czy coś z niego będzie. Nie mogę go wypuścić, bo nie daje Tintin spokoju, cały czas ją nakręca, a ona powinna się teraz oszczędzać.

Rebeka spojrzała na sukę.

– Słyszałam, że jest bardzo zdolna. Znalazła pastora w Voulusjärvi, wywęszyła ślady Inny Wattrang. Niesamowite!

– No, niezła jest – odparł Krister i spojrzał w bok, ukrywając dumny uśmiech. – Ale ja zawsze ją porównuję z poprzednim psem. Praca z Zackiem... to był prawdziwy zaszczyt. To on mnie kształcił, ja tylko poddawałem się jego woli. Człowiek był taki młody... Niewiele pojmował. Teraz staram się to wszystko przekazać Tintin.

Usłyszawszy swoje imię, suka podbiegła do rozmawiających. Usiadła przed drzwiami bagażnika i spojrzała na swojego pana, jakby pytając: „No to co? Nie jedziemy?”.

– Rozumie, że czeka ją praca – wyjaśnił Krister. – Uwielbia pracować.

– Nie da się – zwrócił się do suki. – Samochód nie chce zapalić.

Tintin przechyliła głowę na bok, jakby zastanawiając się nad znaczeniem słów pana. Po chwili westchnęła i zrezygnowana położyła się na śniegu.

– Weź mój – zaproponowała Rebeka.

Uświadomiwszy sobie, że zaczęła rozmawiać z psem, odwróciła się do Kristera.

– Przepraszam. Myślę, że to jednak ty prowadzisz? Nie potrzebuję go dzisiaj.

– Nie, przecież nie mogę...

Wcisnęła mu do ręki kluczyki od swojego audi. Na wszelki wypadek policjant zapytał parę razy, czy na pewno nie będzie potrzebowała samochodu w ciągu dnia. Zapewnił, że to się da załatwić w inny sposób. Że przecież ktoś może po niego przyjechać.

– Nie możesz po prostu powiedzieć: dziękuję? A teraz chcę iść do pracy. Chyba że potrzebujesz pomocy w przenoszeniu klatek. No, jedź już! Przecież tam na ciebie czekają.

Powiedział, że poradzi sobie sam. Pomachała mu ręką na pożegnanie, zanim zniknęła za drzwiami.

Nie zdążyła jeszcze ściągnąć kurtki, kiedy zapukał do drzwi gabinetu.

– Nie dam rady – powiedział. – Automatyczna skrzynia biegów. Odpadam.

Rebeka uśmiechnęła się lekko.

To się jej nie zdarza zbyt często, pomyślał Krister.

Inne kobiety uśmiechały się całymi dniami. Niezależnie od tego, czy były wesołe, czy nie. Ale nie ona. Poza tym nie uśmiechała się ustami, trzeba było zajrzeć w głąb oczu. Na samym ich dnie błąkała się jakaś radosna melodia.

– A Tintin? – zapytała.

– Nie, ona też jest przyzwyczajona do ręcznej.

– To bardzo proste, wystarczy tylko...

– Wiem! – przerwał jej. – Wszyscy tak mówią, ale... nie dam rady i już!

Rebeka przyjrzała mu się dokładnie. Niezażenowany, odpowiedział spojrzeniem bez cienia wstydu. Nie spuszczał z niej oczu.

Wiedziała, że jest samotnym wilkiem.

Nie tylko z powodu wyglądu.

Cała twarz Kristera była ciężko poparzona. Podobno jako nastolatek padł ofiarą pożaru.

Błyszcząca cera w różowe plamy, uszy jak dwa pomarszczone, jeszcze nie rozwinięte brzożowe listki, żadnych włosów, żadnych brwi ani rzęs, dwa otwory zamiast nosa.

– Podwiozę cię – powiedziała w końcu.

Myślała, że będzie protestował. Że zacznie mówić o marnowaniu jej czasu. Że z pewnością ma inne rzeczy do zrobienia.

– Dziękuję – odrzekł i uśmiechnął się figlarnie, jakby podkreślając, że wyciągnął naukę z jej słów.

Kiedy jechali samochodem, nagle się ociepliło. Przedwiosenny, gorący oddech słońca. Kapało z rachitycznych sosen i brzozowych gałęzi, które już przebłyskiwały fioletem. Wokół kamieni w rzece zaczęły się tworzyć przetainy. Lód puszczał również przy brzegu. Wieczorem znów miał powrócić mróz. Jeszcze nie całkiem się poddał.

Jechali przez las, na północ od rzeki Torne. Koledzy z policji oznakowali trasę czerwoną taśmą, inaczej z łatwością można by stracić orientację na tym pustkowiu. Drogi rozchodziły się we wszystkie strony.

Szlaban zamykający drogę do cypla w Pirttilahti był podniesiony. W okolicy znajdowało się sporo domków letniskowych wszelkiej maści: proste, sklecone z desek chatki bez wygod, niewielkie domy, chałupy z bali i niejeden wychodek. Wszystkie porzucane w krajobrazie bez ładu i składu, jakby wzniesione tam, gdzie akurat było miejsce. Wśród nich, na drewnianych podkładach kolejowych, stał wiekowy, czerwobrnatny barakowóz. Otoczone zielonymi ramami okna zasłonięte były kwiecistymi firankami. Rebeka mimowolnie zaczęła fantazjować o trupach cyrkowych zmęczonych podróżami. Tu i ówdzie do stojących obok siebie sosen przybito poprzeczne belki. Wisiały na nich poszarzałe huśtawki albo dziurawe sieci rybackie, obciążone grudkami lodu, których jeszcze nie dosięgło wiosenne słońce. Przy ścianach domów piętrzyły się sterty zmurszałego drewna, prawdopodobnie już nie nadającego się na opał. Wszędzie leżały rzeczy-które-mogą-się-przydać: przęsło starego mostu, oparta o drzewo piękna, rozpadająca się furtka, kilka stosów desek, chronionych jako tako plandekami, cegła i kostka brukowa z odzysku, kamienie do ostrzenia, latarnia uliczna, stary traktor, wełna szklana, żelazne łóżko.

A między drzewami – masa prostych łódek. Leżały odwrócone do góry dnem, przykryte śniegiem. Drewniane i plastikowe, rozmaitej jakości.

Z brzegu wychodził na rzekę pomost. Drugi, pływający, teraz wyciągnięty z wody, leżał w pobliżu. Właśnie przy nim stali policjanci i technicy.

– Co za miejsce! – wykrzyknęła z zachwytem Rebeka, wyłączając silnik.

Psy jak na komendę zaczęły wyć i ujadać z podniecenia.

– Niektórym praca zawsze dostarcza radości – skomentował Krister ze śmiechem.

Wysiedli pospiesznie z samochodu.

Komisarz Anna Maria Mella wyszła im na spotkanie.

– Co za zgiełk! – powiedziała wesoło.

– Rwą się do pracy – wyjaśnił Krister. – Nie chcę ich uciszać, bo każdy taki wyjazd ma być dla nich pozytywnym doświadczeniem. Zastanawiam się tylko, czy to wyjdzie Tintin na zdrowie. Nie powinna tak szaleć, przecież wkrótce będzie się szczenić. Ale jak tylko zaczną pracować, to się uspokoi. No więc gdzie mamy szukać?

Anna Maria spojrzała na rzekę.

– Technicy dopiero co przyjechali i dłubią przy pomoście. Pomyślałam, że moglibyście przejść z Tintin wzdłuż brzegu. Dziewczyna nurkowała razem ze swoim chłopakiem, więc on też gdzieś tutaj powinien być. Może wypłynął w pobliżu, czy ja wiem? Gdyby Tintin powęszyła wzdłuż rzeki, trochę z biegiem, trochę w przeciwnym kierunku, to później moglibyśmy pojechać do najbliższej bystrzyny. Niektórzy nurkują w takich miejscach i zbierają zaginione przynęty. Dobra błystka Rapali kosztuje nawet sto pięćdziesiąt koron. No więc jak się uzbiera kilka takich... Powtórzę jeszcze raz: niewiele wiem, ale młodzi ludzie zawsze potrzebują kasy. Co za cholernie nieszczęśliwy wypadek. Mieli przed sobą całe życie... Dobrze byłoby dla rodzin zaginionych, gdybyśmy znaleźli ich obydwój.

Krister Eriksson skinął głową.

– Tintin przejdzie kawałek – zdecydował. – Ale nie trzy kilometry. Później wezmę Roya.

– To może lepiej, żeby przeszukała tutaj cypel, a później okolicę bystrzyny. Tam nie ma lodu; potem możemy się przeprawić na drugą stronę. Paru ludzi szuka w okolicy ich samochodu, ale nie przy samym brzegu. Sto metrów dalej.

Krister ponownie skinął głową, zadowolony. Wypuścił sukę z auta i nałożył jej kamizelkę.

Tintin zamilkła i zaczęła tańczyć wokół nóg pana; po chwili musiał się wyplątywać ze smyczy.

Kiedy zniknął, biegnąc w kierunku cypla za podnieconym, skomlącym wilczurem, Anna Maria zwróciła się do Rebeki.

– A jak ty się tu znalazłaś?

– Dzisiaj jestem tylko kierowcą. Samochód Kristera nie chciał zapalić.

Przyglądały się sobie długie pół sekundy. A potem zapytały jednocześnie:

– Co słyhać?

Komisarz Mella odpowiedziała, że ma się dobrze. Mimo że mierzyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt, nigdy nie wydawała się Rebecce małą. Teraz jednak niemal tonęła w przydużej czarnej kurtce ze skóry. Długie włosy w kolorze żyta jak zwykle opadały na plecy, splecione w gruby warkocz. Rebeka uświadomiła sobie, że ostatnimi czasy, ba, przez cały ostatni rok, widywała ją niezmiernie rzadko. Czas płynął naprawdę szybko. Oczy policjantki zdradzały jednak, że wcale nie ma się dobrze. Ponad rok temu, razem ze swoim kolegą, Svenem Erikiem Stålnackem, wzięła udział w strzelaninie; obydwójce musieli użyć broni i zabić człowieka. Winę za powstałą sytuację ponosiła Anna Maria. Nie chciała czekać na posiłki.

Oczywiście jest na nią zły, pomyślała Rebeka. Z pewnością ma się kiepsko i wini za to koleżankę.

Naturalnie nie bez racji, stwierdziła w duchu. Anna Maria ryzykowała zarówno swoje, jak i jego życie. W tej matce czworga dzieci mieszka dzika klacz. Tylko że jakiś czas temu zwichnęła nogę.

– U mnie w porządku – odpowiedziała Rebeka na to samo pytanie.

Policjantka przyjrzała się uważniej prokuratorce. Rzeczywiście sprawiała wrażenie osoby, która ma się „w porządku”. Co samo w sobie było cholernie wielką zmianą na lepsze. Chuda jak dawniej. Ale już nie taka blada i wymizerowana. Robiła naprawdę dobrą robotę w prokuraturze. Żyła w jakimś nie do końca zdefiniowanym związku ze swoim byłym szefem, który mieszkał w Sztokholmie. Chociaż raczej nie miała się czym chwalić. Nadziany facet, któremu wszystko w życiu przychodzi łatwo, ponieważ dobrze wygląda i potrafi czarować. Nie stronił od alkoholu, to było widać. Ale jeśli dzięki niemu Rebeka ma się lepiej, to...

Któryś z techników zawołał Annę Marię i zapytał, czy chce obejrzeć zmarłą; za chwilę mieli ją stąd wywieźć. Odkrzyknąwszy: „Już idę!”, policjantka ponownie zwróciła się do Rebeki:

– Chcę ją zobaczyć. Uważam, że dobrze jest zobaczyć ciało, zanim spotka się rodzinę ofiary. Rodzice zazwyczaj chcą się przekonać naocznie, że znaleziona osoba to ich dziecko. Dobrze jest wtedy wiedzieć, w jakim stanie znajdują się zwłoki. Wyobrażam sobie, jak wyglądają; leżały w wodzie od jesieni.

Nagle umilkła. Że też, kurde, tak się rozgadała o trupach w obecności Rebeki Martinsson! Rebeki, która zabiła w obronie własnej. Trzech mężczyzn. Jednemu roztrzaskała głowę, a pozostałych dwóch zastrzeliła. Potem długo była na zwolnieniu chorobowym. Dwa lata później, kiedy Lars Gunnar odebrał życie synowi, a później sobie, przebrała się miara. Rebeka wylądowała w szpitalu psychiatrycznym.

– Nie ma sprawy – odezwała się Rebeka, jak gdyby czytając w jej myślach. – Mogę pójść z tobą?

Twarz dziewczyny była napęczniała i biała. Z dłoni pozbawionej rękawiczki został jedynie niekompletny szkielet; brakowało małego palca i kciuka. Zmarła nie miała nosa ani ust.

– To normalne – odezwał się technik. – Kiedy ciało długo leży w wodzie, skóra rozmięka i staje się podatniejsza na uszkodzenia. Ciało przemieszcza się z nurtem rzeki, napotyka przeszkody, wtedy odpadają nos, uszy i tak dalej. Może zaczęły ją też podjadać szczupaki. Zobaczymy, czy całość będzie się trzymała kupy, gdy medyk sądowy rozetnie skafander płetwonurka. Zajmie się nią Pohjanen?

Anna Maria skinęła twierdząco głową, nie spuszczać wzroku z Rebeki, która jak zaczarowana przyglądała się strzępom dłoni zmarłej.

Nieopodal komisarz Sven Erik Stålnacke zatrzymał volvo, wysiadł z niego i zawołał:

– Znaleźliśmy ich samochód!

Zbliżał się ostrożnie, jak wszyscy, na rozstawionych nogach, żeby się nie poślizgnąć.

– Stał na porębie – kontynuował. – Sto pięćdziesiąt metrów od bystrzyny. Widocznie jechali po bezdrożach tak daleko, jak tylko się dało, żeby nie dźwigać sprzętu do nurkowania.

Złapał się ręką za kark w geście zamyślenia.

– W zimie auto zasypał śnieg; właśnie je odkopujemy. Akurat to wydawało nam się dziwne, kiedy zaginęli jesienią. Że nikt nigdzie nie widział samochodu. To jasne, zniknął pod śniegiem, w lesie. Nie zwrócili na niego uwagi nawet ci, którzy jeżdżą na skuterach wzdłuż rzeki. Z chłopaka musiał być niezły kierowca, jeśli udało mu się zajechać tak daleko po tych wertepach. Las wprawdzie wycięty, ale pełno tam kamieni i pniaków.

Rebeka nagle jakby obudziła się z transu.

– A może to ona siedziała za kierownicą? – zasugerowała, wskazując głową zmarłą.
– Statystycznie kobiety prowadzą lepiej niż mężczyźni.

Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Svena Erika.

Gdyby wszystko było jak dawniej, policjant parsknąłby, a jego posiwiałe, szorstkowane wąsy stanęłyby na sztorc. Powiedziałyby, że to są kłamstwa, ohydne kłamstwa i statystyka, zapytałby Rebeke, czy z choinki się urwała, a później śmiałyby się dobrą chwilę, patrząc, jak kobiety wywracają oczami.

Teraz powiedział tylko:

– To oczywiście możliwe.

Potem spytał Annę Marię, co mają zrobić z samochodem.

Oj, pomyślała Rebeka. Między nimi rzeczywiście panują chłodne stosunki.

– Nie zachodzi podejrzenie popełnienia przestępstwa – stwierdziła komisarz Mella.
– Jeżeli zdobędziesz zapasowe kluczyki, to po prostu odwieź auto do miasta.

– Dobrze, spróbujemy – odparł bez przekonania Sven Erik. – Jeśli tylko uda się nam dotrzeć do szosy, to...

– Chodzi o to, żebyście spróbowali. Nie żądam niczego więcej – przerwała mu Anna Maria, jakby z zadrą w głosie.

Sven Erik obrócił się na pięcie i odszedł. Po chwili wrócił Krister z Tintin.

– Buu – Anna Maria nie kryła rozczarowania. – A człowiek miał taką nadzieję, że usłyszy szczekanie.

– Nie, nic nie znalazła. Przejdę jeszcze kawałek z Royem, ale myślę, że chłopaka tu po prostu nie ma.

– Dlaczego tak myślisz?

Przewodnik psa wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wezmę Roya, zobaczymy.

Poklepał i pochwalił Tintin, a później otworzył bagażnik w samochodzie Rebeki i nakazał psom zamienić się miejscami. Roy nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Odańczył radosny taniec „Szukaj, człowiek”, a kiedy w końcu zabrakło mu pomysłu na wyrażenie przepełniającej go radości, usiadł i rozdziawił pysk w potężnym ziewnięciu.

Tintin nie podobała się taka zmiana ról. Szczekała, zrozpaczona. Jak to? Ten gówniarz będzie sobie beztrudnie pracował w towarzystwie pana, a ona, samica alfa, ma siedzieć zamknięta w samochodzie? Niemożliwe, niemożliwe!

Wzburzona, przebierała łapami w klatce. Jej ostre zawodzenie przenikało karoserię pojazdu.

– Niedobrze – odezwał się Krister, przyglądając się suce przez tylną szybę. – Nie powinna się tak stresować. Przykro mi, Anno Mario, ale raczej nic z tego.

– Może założę jej smycz i wezmę ją na spacer? – zaproponowała policjantka. – Jak wyjdzie na powietrze...

– To będzie jeszcze gorzej.

– Mogę ją zabrać do miasta – odezwała się Rebeka. – Myślisz, że wtedy się uspokoi?

Krister spojrzał na nią. Słońce grzało tak mocno, że ściągnęła czapkę. Miała teraz trochę rozczochrane włosy. Te piaskowe oczy. Usta. Jakże chciałby je pocałować! Między górną wargą a nosem jaśniała blizna. To pamiątka po tym, jak Lars Gunnar Vinsa zrzucił ją ze schodów do piwnicy. Wiele osób uważało, że blizna ją szpeci. Żalowali kobiety, mówili, że dawniej była ładniejsza. Ale jemu ta szrama się podobała. Czyniła Reбекę bardziej kruchą.

Czuł, jak pożądanie przelewa się przez jego ciało niczym gorący strumień wody. Ona pod nim na czworakach. On owija dłoń jej włosami. Drugą ręką trzyma ją za biodro. Albo na jeźdźca. Jego dłonie na jej piersiach. Jej imię na jego ustach. Pasemko włosów przykleja się do spoconej twarzy. Albo jeszcze inaczej: ona pod nim. Podciągnięte kolana. Wbija się w nią. Teraz bez pośpiechu.

– Myślisz, że się uspokoi? – powtórzyła pytanie. – Posiedzi ze mną w gabinecie. Nikt na nią nie zwróci uwagi. A kiedy skończycie, przyjdiesz ją odebrać.

– Mhm – mruknął i wbił wzrok w ziemię, z obawy, że Rebeka go przejrzy. – To dobry pomysł.

Anna Maria i Sven Erik stali przy peugeocie 305, odkrytym nad brzegiem rzeki.

– Znalazłem kluczyki – powiedział. – Pomyślałem, że może zrobili tak jak ludzie zbierający jagody. No wiesz, człowiek nie chce brać ze sobą kluczyków do lasu, bo jeszcze je gdzieś zgubi i później będzie miał cholerne kłopoty z powrotem do domu. Przecież wokół pustkowie. Ja chowam kluczyki w tylnym zderzaku. Oni położyli swoje na oponie, w nadkolu.

– Aha – odparła cierpliwie Anna Maria.

– Tak czy owak... Pomyślałem, że spróbuję wyjechać na drogę, zanim śnieg zupełnie rozmięknie w słońcu; pod spodem roi się od kamieni i...

Anna Maria bezwiednie spojrzała na zegarek w telefonie. Sven Erik przyspieszył tempo opowiadania.

– Silnik zapalił za pierwszym razem. Bez problemu.

– No więc?

– Ale...

Policjant podniósł palec, żeby podkreślić, że właśnie zbliża się do puenty.

– ...momentalnie skończyła się benzyna. W baku musiało być tylko parę kropel. Pomyślałem, że chciałabyś o tym wiedzieć.

– No więc?

– No więc nigdy by stąd nie wyjechali. Nie wróciliby do Piilijärvi. Najbliższa stacja benzynowa jest w Vittangi.

Anna Maria zamruczała, zdziwiona.

– W każdym razie to osobliwe – upierał się Sven Erik. – Przecież nie byli głupi? Jak chcieli wrócić do domu?

– Bo ja wiem? – odparła Anna Maria, wzruszając ramionami.

– No dobrze – powiedział Sven Erik, poirytowany tym, że komisarz Mella nie podziela jego zaciekawienia pustym bakiem. – Myślałem, że cię to zainteresuje.

– Ależ oczywiście. Ktoś pewnie zwędził paliwo, kiedy auto stało pod śniegiem. Może któryś z tych, co jeżdżą tu na skuterach?

– Na korku nie ma ani jednej rysy. Chociaż z drugiej strony jeśli ja znalazłem klucze, to inni też mogli. W każdym razie to jest dość dziwne.

– WSZYSTKO W PORZĄDKU?

Krister Eriksson zapukał do otwartych drzwi gabinetu Rebeki. Stał w progu i tym razem dokładnie przyjrzał się jej miejscu pracy. Biurko zavalone aktami. Na krześle dla klientów leżało pudło pełne materiałów z dochodzenia w sprawie jakiegoś przestępstwa gospodarczego. Nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta pracuje więcej niż inni. Ale o tym już wiedział. O tym wiedzieli wszyscy z komendy. Kiedy objęła stanowisko w Kirunie, akta dla sądu przygotowywała w takim tempie, że miejscowi adwokaci zaczęli się skarżyć. I biada temu, kto przychodził z niekompletną dokumentacją dochodzenia wstępnego. Takich policjantów nowa prokurator prześladowała, wciskała im w ręce wytyczne, według których mieli uzupełnić materiały, wydzwaniała i naprzykrzała się tak długo, aż spełnili jej żądania.

Rebeka podniosła wzrok znad akt dotyczących sprawy nietrzeźwego kierowcy.

– W porządku – odparła. – A wam jak poszło? Znaleźliście go?

– Nie. Gdzie jest Tintin?

– Tutaj – odpowiedziała i odsunęła się z krzesłem od biurka. – Leży pod stołem.

– Coś takiego! – krzyknął Krister i z szerokim uśmiechem pochylił się do przodu. – Hej, dziewczyno, wystarczyło ci jedno popołudnie, żebyś zapomniała swego starego pana? Przecież na sam dźwięk moich kroków w korytarzu powinnaś zerwać się na równe nogi i tanecznym krokiem wybiec na powitanie.

Tintin podniosła się i podeszła do policjanta.

– Popatrz na nią – zwrócił się do Rebeki. – Teraz się wstydzi, że nie okazała mi należnego szacunku.

Rebeka uśmiechnęła się do suki, która z poddańczo wygiętym grzbietem machała intensywnie ogonem i próbowała polizać pana w kąciki ust. Nagle, jakby przypomniawszy sobie o Rebecce, zawróciła i położyła łapę na jej kolanie. Po chwili znów podbiegła do pana.

– A to ci dopiero, kurde! – skomentował Krister. – Została pod twoim biurkiem, chociaż słyszała, że przyszedłem. A teraz ten gest. Oddaje ci prawdziwe honory.

W zasadzie jest typem samotnika. To naprawdę niecodzienne zachowanie.

– Lubię psy – powiedziała Rebeka.

Popatrzyła mu w oczy. Nie uciekła wzrokiem. Odpowiedział jej równie otwartym spojrzeniem.

– Wielu ludzi lubi psy – odparł. – Ale one najwyraźniej lubią ciebie. Nie sprawisz sobie szczeniaka?

– Może. Tylko że ciągle mam w głowie psy z dzieciństwa. Trudno znaleźć takie mądre, stare psy myśliwskie. A poza tym nie poluję. Chciałabym mieć psa, który zimą będzie biegał po wsi. Teraz nie wolno ich puszczać luzem; kiedy byłam mała, nie musiały chodzić na smyczy. Wszystko rozumiały. I polowały na nornice na ścierniskach.

– Taki wilczur na przykład? – spytał, spoglądając na Tintin. – Nie byłby odpowiedni dla ciebie?

– Jasne. Tintin jest świetna.

Upłynęło kilka długich sekund. Suka usiadła między rozmawiającymi i spoglądała to na Rebeke, to na Kristera.

– Okej – przerwała ciszę Rebeka. – Nie znaleźliście go.

– Nie. Chociaż wiedziałem to od samego początku.

– Jak mogłeś wiedzieć? Co masz na myśli?

Krister wyjrzał przez okno. Słońce na błękitnie nieba. Rozmiękająca skorupa lodu na śniegu. Na rynnach cudowne rzędy topniejących sopli, z których skapywała woda. Drzewa do bólu nabrzmiałe wiosną.

– Nie wiem – odparł. – Czasami po prostu czuję takie rzeczy. Czasami wiem, że pies znajdzie to, czego szuka, zanim zacznie szczekać. Albo tak jak teraz, że nic nie znajdziemy. Kiedy... jak by to wyrazić... Kiedy się otworzę, to chyba odpowiednie słowo. Człowiek to ważna rzecz. Znaczymy więcej, niż potrafimy zrozumieć. A matka ziemia to nie żaden martwy głaz. Ona też żyje. Jeżeli gdzieś pod gołym niebem leżą zwłoki człowieka... to się czuje. Od wiedzy o tym wibrują drzewa. Kamienie. Trawa. To wszystko ze sobą współgra. Jeżeli tylko będziemy umieli to pojąć, jeżeli tylko...

Zakończył zdanie wzruszeniem ramion.

– Jak radiesteci szukający wody – próbowała uzupełnić Rebeka, zdając sobie

sprawę, że jej słowa brzmią nieporadnie. – Przecież tak na dobrą sprawę nie potrzebują różdżki. Oni to mają w sobie.

– Tak – odparł cicho. – Chyba coś w tym rodzaju.

Spojrzał na nią badawczo. Miał wrażenie, że coś jej leży kamieniem na sercu.

– Coś się stało? – spytał.

– Ta odnaleziona dziewczyna... Śniła mi się.

– Tak?

– E, to nic takiego. Wracam do domu. Podwieźć was?

– Nie, ale dziękuję za propozycję. Rozmawiałem z kolegą, przyjedzie po mnie i pomoże mi z samochodem. A więc widziałaś Wilmę?

– Śniła mi się.

– Jak myślisz, o co jej chodziło?

– To był sen – powtórzyła Rebeka. – Czyż nie twierdzi się, że wszystkie postacie w naszych snach to my sami?

Krister Eriksson się uśmiechnął.

– No to cześć – powiedział.

I zniknął z psem.

Anna Maria jechała do Piilijärvi, sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Kiruny. Śnieg na szosie stopniał, tylko na środku ciągnął się jeszcze lodowy grzbiet. Komisarz Mella miała poinformować Anni Autio, że znaleziono Wilmę Petersson. Że jej prawnuczka nie żyje. Dobrze byłoby mieć ze sobą Svena Erika, ale sprawy miały się tak, jak się miały. Nie mógł jej wybaczyć śmiertelnych strzałów w Regli.

– A co ja mam, kurza dupa, na to poradzić? – powiedziała głośno do siebie samej. – Niech w końcu idzie na emeryturę. Nie dość, że się uwolni ode mnie, to jeszcze całymi dniami będzie mógł sobie siedzieć u Airi i jej kotów.

Ale to bolało. Była przyzwyczajona do rozmów i przekomarzania się z kolegami. Dawniej zawsze było fajnie przychodzić do pracy. A teraz...

– Raczej cholernie niefajnie! – wykrzyknęła, skręcając z E10 w wąską, krętą drogę prowadzącą do wsi.

Nic nie wskazywało na to, że będzie lepiej. Ostatnio przestała pytać kolegów, czy pójdą z nią na lunch. Coraz częściej jeździła w przerwie do domu i wrzucała coś na ruszt w samotności, zazwyczaj kefir z płatkami. Zaczęła dzwonić z pracy do Roberta. W środku dnia. Żeby porozmawiać o zupełnie nieistotnych sprawach. Albo wymyślała na poczekaniu jakiś pretekst: „Pamiętałeś o zapasowych rękawiczkach dla Gustava, jak odwoziłeś go do przedszkola? Zrobisz zakupy w drodze do domu?”.

Anni Autio mieszkała w różowym eternitowym domu w środku wsi, nad jeziorem. Pokryte brązową bejcą schody były dokładnie odśnieżone i posypane piaskiem. Żelazna poręcz – pomalowana na czarno. W plastikowej kieszonce przypiętej pinezką do drzwi wejściowych umieszczono kartkę z napisanym ręcznie tekstem:

Proszę DZWONIĆ
i CZEKAĆ.

Dojście do drzwi zabiera mi trochę czasu.
JESTEM w domu.

Anna Maria zadzwoniła. I czekała. Kilka kruków bawiło się w kominie termicznym nad jeziorem. Czarne, monumentalne sylwetki na tle błękitu nieba. Ich odgłosy niosły się daleko. Jeden z ptaków zaczął kołować wokół własnej osi. Zero trosk!

Czekała, choć czuła, że każda komórka jej organizmu wolałaby czmychnąć do samochodu i jak najszybciej odjechać. Odsunąć spotkanie z żalobą bliźniego.

Przemierzający podwórko kot dostrzegł Annę Marię i oddalił się w pośpiechu. Sven Erik jest miłośnikiem kotów, powróciła w myślach do kolegi. Jeżeli chodzi o takie rzeczy, jest naprawdę dobry. Potrafi mówić o najgorszym. Umie objąć i pocieszyć.

Do diabła z nim!

– Do diabła! – powtórzyła głośno, żeby rozproszyć posępne myśli.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi. Drobną, przygarbioną staruszką trzymała się klamki obiema rękami. Jej zupełnie białe włosy były zebrane w cieniutki warkocz. Spod obszernego męskiego swetra wyzierała rozpinana z przodu, prosta niebieska sukienka. Na nogach kobieta miała grube nylonowe pończochy i tradycyjne buty z czubem, zrobione ze skóry renifera.

– Przepraszam – powiedziała Anna Maria, uśmiechając się z zawstydzaniem. – Stałam tu, zagłębiając się we własnych myślach...

– Nic się nie stało – odparła życzliwie kobieta. – Cieszę się, że pani ciągle stoi. Tak wielu ludziom nie starcza cierpliwości i odchodzą, choć przecież napisałam na drzwiach, żeby czekać. Kiedy człowiek w końcu dociera do progu, widzi tylko odjeżdżający samochód. Czasami chciałoby się zastrzelić kierowcę. Człowiek już się cieszył na chwilę rozmowy, a tu taka przykra niespodzianka! Świadkowie Jehowy, ci przynajmniej zawsze czekają.

Zaśmiała się.

– Teraz to już i tak nie ma znaczenia. Pozwalam im wejść, posiedzieć i porozmawiać. Ale pani nie reprezentuje żadnego Kościoła, prawda? Sprzedaje pani losy na loterię?

– Anna Maria Mella z kiruńskiej policji – przedstawiła się komisarz. – Czy pani Anni Autio?

Uśmiech uleciał bezpowrotnie z twarzy kobiety.

– Znaleźliście Wilmę – powiedziała.

Trzymając się ścian i wspierając na strategicznie ustawionych krzesłach, Anni Autio powoli i z móżdżkiem dotarła do kuchni. Anna Maria ściągnęła zimowe buty w sieni, niemal całkowicie okupowanej przez ogromną, burczącą zamrażarkę, i przystała na filiżankę kawy. Kuchnia sprawiała wrażenie nie remontowanej od lat pięćdziesiątych. Kiedy staruszka napełniała czajnik wodą, kran rytmicznie podskakiwał, a z rur dochodziły osobliwe dźwięki. Ciemnozielone szafki pięły się do samego sufitu. Na ścianie, ciasno obok siebie, wisały fotografie, wiersze Edith Södergran i Nilsa Ferlina, miniaturowe obrazki z ptakami, oprawione w ramki kartki ze starych zielników oraz dziecięce rysunki, wyblakłe tak bardzo, że prawie nie było widać, co przedstawiają.

– Nie udało się nam skontaktować z jej matką – odezwała się Anna Maria. – Ale Wilma była zameldowana u pani, a w policyjnym raporcie o zaginięciu figuruje pani jako najbliższa krewna. To była pani wnuczka...

– Prawnuczka – poprawiła Anni, oparta o piec.

Przygotowując kawę, słuchała sprawozdania ze znalezienia Wilmy. Od czasu do

czasu podnosiła pokrywkę czajnika, trzymając w ręku łąpkę kuchenną, zrobioną szydełkiem.

– Proszę dać znać, jeżeli mogę pani w czymś pomóc – powiedziała Anna Maria i w odpowiedzi ujrzała odmowny gest dłonią.

– Czy będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę? – spytała kobieta, rozlawszy kawę do filiżanek.

Wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów mentolowych.

– To pewna śmierć, wiem – powiedziała. – Ale w styczniu skończyłam osiemdziesiąt lat i palę od zawsze. A przecież są też tacy, którzy dbają o zdrowie i... Życie nie jest sprawiedliwe.

Uderzyła papierosem o słoik, którego używała jako popielniczki, i powtórzyła:

– Życie nie jest sprawiedliwe.

Wierzchem dłoni wytarła nos i policzki.

– Przepraszam.

– Ależ proszę płakać – zachęciła Anna Maria, dokładnie tak, jak czynił to Sven Erik.

– Miała tylko siedemnaście lat – załkała Anni. – Stanowczo za młoda. A ja jestem za stara, żeby przeżywać wszystkich po kolei.

Spojrzała ze złością na policjantkę.

– Mam tego dość! Jakby nie wystarczyło, że przeżyłam prawie wszystkich rówieśników. Kiedy człowiek zaczyna żyć dłużej niż o wiele młodszy...

– Jak to się stało, że Wilma mieszkała u pani? – spytała Anna Maria, głównie po to, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Mieszkała pod Sztokholmem ze swoją mamą, moją wnuczką. Chodziła do liceum, ale nauka szła jej tak sobie. Postanowiła odpocząć od szkoły i sama zaproponowała, że zamieszka razem ze mną. Przeprowadziła się poprzedniej zimy, na Boże Narodzenie. Pracowała na kempingu u Marty Andersson. No i spotkała Simona. Spokrewnionego z rodziną Kyrö, która mieszka w tamtej chałupie zrębowej... – Machnęła ręką w stronę czerwono-brązowego domu. – Zakochał się w niej po uszy.

Wbiła wzrok w Annę Marię.

– Nikt nigdy nie był mi tak bliski. Nawet córki. A już na pewno nie moja siostra.

Tutaj we wsi. Tak naprawdę nikt tu człowiekowi dobrze nie życzy. Ale Wilma sprawiała, że czułam się wolna, nie wiem, jak to wytłumaczyć. Na przykład Kerttu, moja siostra. Zawsze powodziło jej się lepiej niż mnie. Wyszła za mąż za Isaka Krekulę, właściciela firmy przewozowej.

– Kojarzę nazwisko – wtrąciła Anna Maria.

– Nie dziwota, raczej nigdy nie byli pupilkami policji. Teraz firmę prowadzą jego synowie. Czasami Kerttu mnie denerwuje. Mogłaby mówić w nieskończoność o pieniądzach, interesach i tych wszystkich ludziach ze świecznika, których spotykają jej synowie. A Wilma powiedziała mi tak: „A niech sobie mówi. Jeżeli pieniądze sprawiają, że czuje się szczęśliwa, to super. Przecież nie będziesz z tego powodu mniej szczęśliwa?”. E, wiem, to brzmi tak prosto. Ale ubiegłego lata... Nigdy wcześniej nie czułam się tak beztroska i młoda. Może sobie pani myśleć, co chce, pani Anno Britt...

– Anno Mario.

– ...ale była moją najlepszą przyjaciółką. Osiemdziesięcio- i siedemnastolatka. Nie traktowała mnie jak staruszkę.

Jest środek sierpnia. Czas jagód. Simon prowadzi samochód przez las. Obok siedzi Wilma. Z tyłu – Anni z balkonikiem. Właśnie dojeżdżają do celu. Tutaj można zbierać jagody i brusznice tuż przy drodze. Anni gramoli się z auta, za nią Simon z jej rzeczami. Dzień jest piękny. Słońce przygrzewa i wyciąga z lasu strużki zapachów.

– Nie byłam w tych okolicach od lat – mówi Anni.

Simon obdarza ją zatroskanym spojrzeniem. Nic dziwnego. Jak można poruszać się w terenie z balkonikiem?

– Może jednak dotrzemy pani towarzystwa? – nie poddaje się chłopak. – Poniosę wiaderko.

Wilmie wyrywa się: „Daj spokój!”, Anni wykrzykuje: „*Älä hora*”^[4] i macha ręką, jakby propozycja była muchą, którą trzeba przegonić. Wilma wie. Anni potrzebuje samotności w leśnej ciszy. Nawet jeżeli nie przejdzie ani metra i nie uda jej się zebrać choćby jednej jagody, to przecież nie szkodzi. Usiądzie na kamieniu i po prostu będzie.

– Przyjedziemy po ciebie za trzy godziny – oznajmia Wilma.

Po czym zwraca się do Simona z wyzywającym uśmiechem:

– I wiem, co możemy robić w tym czasie!

Simon czerwieni się po uszy.

– Przestań – mówi, wskazując spojrzeniem na Anni.

Wilma parska śmiechem.

– Anni wkrótce skończy osiemdziesiąt lat. Urodziła pięcioro dzieci. Myślisz, że zapomniała, co można robić w parach?

– Nie zapomniałam – mówi Anni. – Ale przestań go zawstydząć.

– Tylko nam tutaj nie umrzyj! – upomina ją radośnie prawnuczka, siadając obok kierowcy.

Odjeżdżają zaledwie kawałek. Po chwili auto się zatrzymuje, Wilma wychyla głowę przez okno i krzyczy, aż echo roznosi się po lesie:

– Chociaż... gdybyś miała umrzeć, to umrzesz pięknego dnia i w cudownym miejscu!

O wpół do szóstej wieczorem Anna Maria wkroczyła do sali sekcyjnej w kiruńskim szpitalu.

– Znowu się tutaj płaczesz? – przywitał ją kwaśno Lars Pohjanen.

Wychudzony, w pomiętym zielonym fartuchu, jak zwykle wyglądał na zmarzniętego.

Policjantce momentalnie poprawił się nastrój. Nareszcie ktoś, kto nie przestał się z nią droczyć.

– Myślałam, że się za mną stęskniłeś – odparła i przesłała mu stuwatowy uśmiech.

Śmiech medyka sądowego zabrzmiał jak charkliwy kaszel.

Na stole sekcyjnym z nierdzewnej stali leżała naga Wilma Persson. Lekarz rozciął skafander płetwonurka i ubranie. Skóra dziewczyny była białoszara i rozmiękczona. Obok zwłok stała popielniczka z niedopałkami, zostawił je Pohjanen. Anna Maria powstrzymała się od komentarza. Nie była ani jego matką, ani szefową.

– Rozmawiałam właśnie z jej prababcią. Pomyślałam, że mógłbyś powiedzieć coś o tym, jak doszło do wypadku.

Pohjanen pokręcił głową.

– Jeszcze jej nie otworzyłem. Jak widzisz, jest nieźle pokiereszowana, ale to uszkodzenia powstałe po śmierci.

Wskazał na twarz pozbawioną nosa i ust.

– Dlaczego jej włosy leżą na podłodze? – spytała Anna Maria.

– W wodzie następuje rozkład cebulek i dlatego tak łatwo wypadają – wyjaśnił, podnosząc ręce Wilmy.

Przyglądał im się zwięzonymi oczyma. Prawa była niekompletna.

– Zastanawiają mnie jej dłonie – powiedział i odchrząknął. – Sporo paznokci już odpadło, ale nie wszystkie. Widzisz? W prawej ręce... Oj, muszę być trochę ostrożniejszy, skóra tak łatwo schodzi z palców. No więc popatrz: tutaj brakuje kciuka i małego palca, ale na palcu wskazującym i środkowym zachowały się paznokcie. Jeżeli porównamy je z drugą ręką...

Anna Maria z niechęcią pochyliła się nad dłońmi podtrzymywanymi przez Pohjanena.

– Paznokcie u palców lewej dłoni, przynajmniej te, które się zachowały, są pomalowane na czarno i opiłowane, ogólnie rzecz biorąc, w dosyć dobrym stanie, prawda? Natomiast paznokcie prawej dłoni są połamane, a lakier zdrapany.

– Co oznacza?... – spytała Anna Maria.

Lars Pohjanen wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Ale zebrałem trochę materiału spod paznokci. Chodź, to ci pokażę.

Odłożył ostrożnie ręce Wilmy i ruszył w stronę swojego stanowiska pracy. Na stalowym blacie leżało pięć próbek, podpisanych: „prawy środkowy”, „prawy serdeczny”, „lewy kciuk”, „lewy środkowy”, „lewy wskazujący”. W każdej spoczywała płaska drewniana wykałaczka.

– Za obydwohoma paznokciami prawej ręki znalazłem resztki zielonej farby. To nie musi mieć związku z wypadkiem. Może zdrapywała starą farbę z okna, żeby je pomalować, albo coś w tym stylu. Najczęściej używamy wtedy prawej ręki.

Anna Maria skinęła głową i spojrzała na zegarek. Obiad o szóstej, powiedział Robert. Musiała się zbierać.

Kwadrans później Lars Pohjanen ponownie stał z dłonią Wilmy w ręce i zbierał

odciski palców. Czynił to zawsze, kiedy identyfikacja zwłok była utrudniona przez rozległe uszkodzenia twarzy. Gdy uchwycił lewy kciuk, zeszła z niego cała skóra, w jednym kawałku. Medyk zrobił wówczas to, co zazwyczaj w takich sytuacjach: do środka skórzanej osłony włożył własny palec i przyciskając go do papieru, utrwalił linie papilarne zmarłej. Jednocześnie uświadomił sobie, że ktoś stoi w drzwiach. Przekonany, że to Anna Maria, odezwał się, nie odwracając głowy:

– Wiesz co, Mella? Przestań mi się tu w końcu plątać. Przeczytasz raport, jak będzie gotowy. Jeśli kiedykolwiek będzie gotowy.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, która nie była Anną Marią.

Odwróciwszy się, Pohjanen zobaczył prokuratorkę Martinsson. Poznał ją jakiś czas temu w związku z postępowaniem, w którym ona była oskarżycielem, a on był rzeczoznawcą. Chodziło o przemoc domową. Zeznania małżonków w sprawie obrażeń ciała kobiety znacznie od siebie odbiegały. Nigdy jednak nie rozmawiał z Rebeką poza salą rozpraw. Zobaczył, że zatrzymała wzrok na jego palcu wskazującym, odzianym w tutkę z martwej skóry.

Przedstawiła się i przypomniała mu, że już się wcześniej spotkali. Odparł, że pamięta, i spytał, czego sobie życzy.

– Czy to Wilma Persson? – upewniła się Rebeka.

– Tak. Właśnie zbieram jej odciski palców. Nie mam dużo czasu. Gdy tylko wyjmie się topielca z wody, zachodzi tak dużo zmian...

– Chciałabym pana zapytać... Można sprawdzić, czy Wilma naprawdę umarła tam, gdzie ją znaleziono?

– Dlaczego chciałaby pani to wiedzieć?

Rebeka sprawiała wrażenie, jakby zbierała w sobie wszystkie siły. Widział, jak zaciska usta, jak – zaprzeczając własnym myślom – kręci głową, jak rzuca mu spojrzenie z niemą prośbą o cierpliwość.

– Śniłam o niej – odezwała się po chwili wahania. – We śnie powiedziała mi, że została przeniesiona. Że umarła w innym miejscu.

Pohjanen patrzył na nią w milczeniu. Słyszał tylko jego urywany oddech i szum wentylatorów.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, chodzi o utonięcie. Czy zamierza pani wszcząć

postępowanie?

– Nie, ja tylko...

– Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze? Jak, kurde, mam robić dobrą robotę, skoro o niczym nie jestem informowany? Jeżeli mówicie: nie zachodzi podejrzenie popełnienia przestępstwa, to z takiego założenia wychodzę, kiedy się biorę do badania. Nie chcę później usłyszeć, że coś przeoczyłem. Rozumie pani?

– Nie przyszedłam tutaj, żeby...

– Cały czas się tu płaczecie, ale...

Rebeka uniosła rękę.

– Proszę o tym zapomnieć. Nie powinnam była tu przychodzić. Jestem niemądra.

– Tak, o tym akurat słyszałem – powiedział lekarz uszczypliwie.

Prokurator Martinsson obróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami. Replika Pohjanena zawisła w powietrzu. Dzwoniła w uszach niczym dzwon w kościele.

– No to niech się tu, do diabła, nie kręci! – usiłował się bronić.

Ale sumienie już go zaczęło gryźć. Zmarli wokół byli wyjątkowo milczący.

– Niech ich wszystkich szlag trafi! – dodał.

MIJA TYDZIEŃ. Z leśnych drzew odrywają się śnieżne czapy. Osuwają się w słońcu z głębokim westchnieniem. Spod śniegu zaczyna wyzierać naga ziemia. Południowe zbocza mrowisk nagrzewają się w wiosennych promieniach. Powracają śnieguły. Sąsiad Rebeki napotyka w lesie ślady niedźwiedzia. Kończy się sen zimowy.

– Znaleźli tego chłopca? – pyta Sivving.

Jest wieczór, Rebeka zaprosiła sąsiada i Bellę na kolację. Przygotowała sushi, które starzec przeżuwa z pewną dozą podejrzliwości. Wymawia „sushi”, zmiękczając spółgłoskę „sz”, jak w odgłosie kichnięcia! Bella położyła się na kanapie w alkwie i śpi smacznie na plecach. Tylne łapy opadły bezwładnie na posłanie. Przednie lekko drżą.

Rebeka odpowiada, że nie znaleźli.

– Piilijärvi – kontynuuje Sivving. – To ostatnia wioska, w której chciałbym osiąść. Przecież tam mieszkają bracia Krekulowie. No, wiesz, ci od firmy przewozowej –

wyjaśnia, bo Rebeka nie od razu pojmuje, o kim mowa. – Tore i Hjalmar Krekulowie, pokolenie mojego młodszego brata. Niezłe rzezimieszki. Brr! Firmę założył ich ojciec, w czasach swojej świetności też dobre ziółko. Teraz ma już chyba z dziewięćdziesiąt lat. Najgorszy jest Hjalmar, ten starszy. Wielokrotnie skazany za pobicie. A przecież i tak nie wszyscy mają odwagę go zaskarżyć. A kiedy byli mali... To osobna historia. Na pewno ją słyszałaś. O braciach Krekula. Nie? Aha, no tak, to było na długo przed twoim urodzeniem. Hjalmar nie skończył jeszcze dziesięciu lat, Tore miał może sześć, siedem. Mieli zagonić krowy na leśne pastwisko. Właściwie niespecjalnie daleko. Tylko że Hjalmar po prostu zostawił brata w lesie. Wrócił bez niego. Zaczęły się poszukiwania, zaalarmowano pogotowie górskie, wojsko i policję. Nie znaleźli go. Aż po tygodniu, kiedy zakończono akcję... Wszyscy myśleli przecież, że chłopiec nie żyje. Wtedy Tore po prostu wkroczył do domu. Cała Szwecja była poruszona. Zrobiono z nim wywiad w radiu, pisano o nim w gazetach. Chłopię ocalało jakimś niesamowitym cudem. O, nie, ten Hjalmar to zimny drań, jak ryba. Zawsze taki był. Już w szkole podstawowej razem z bratem przejmował długi, prawdziwe albo zmyślane, i egzekwował ich spłatę. Mój kuzyn, Einar... nigdy go nie poznałaś, dość wcześnie się stąd wyprowadził, zmarł jakiś czas temu na zawał... w każdym razie chodził do szkoły z braćmi Krekulami. I płacił. Podobnie jak jego koledzy. W przeciwnym razie mieliby do czynienia z Hjalmarem.

– O, nie – dodaje, zdrapując wasabi z ryżu. – Nie wszystko dawniej było lepsze.

PIĄTEK, 24 KWIETNIA

KWADRANS PO JEDENASTEJ wieczorem Lars Pohjanen zadzwonił do komisarzelli.

– Masz czas? – spytał.

– Oczywiście – odparła Anna Maria. – Marcus wypożyczył film, podobno jakiś ambitny. Ale Robert dość szybko zasnął. Niedawno się przebudził i zapytał: „Ciagle jeszcze siedzą i gadają? Rozwiązali chociaż parę światowych problemów?”. A teraz znowu śpi.

– Kto to? – ocknął się Robert. – Wcale nie śpię.

– Pohjanen.

– To taki pieprzony film, w którym siedzą na ławce w parku i cały czas gadają! – krzyknął w kierunku telefonu, żeby medyk sądowy usłyszał. – W piątek wieczorem, rozumiesz? Kiedy człowiek miałby ochotę na jakieś pościgi samochodowe, jakieś morderstwo, jakiś seks.

Po drugiej stronie rozległ się chrapliwy śmiech.

– Wybacz, proszę – zwróciła się Anna Maria do Pohjanena. – Byłam pijana i pozwoliłam, żeby zrobił mi dziecko.

– Nie siedzą na żadnej ławce! Nie możecie być cicho? – odezwał się ze skargą w głosie najstarszy syn Anny Marii, Marcus.

– Co oglądacie? – spytał Pohjanen.

– *Życie na podsłuchu*. Niemiecki.

– Widziałem. Bardzo dobry. Pamiętam, że płakałem.

– Pohjanen mówi, że płakał na tym filmie – obwieściła Anna Maria.

– Ja też płaczę! – odkrzyknął Robert.

– Pewnie, już to widzę! – prychnęła Anna Maria do słuchawki. – Ostatnio płakał w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, kiedy podczas olimpiady Wassberg pobił Juhę

Mieto.

– Możesz się uciszyć, żebym w końcu usłyszała, co do mnie mówi Pohjanen? – poprosiła męża.

– Setna część sekundy – rozmarzył się Robert na wspomnienie narciarskiego biegu. – Piętnaście kilometrów, a on wygrywa pięcioma centymetrami...

– Czy możecie w końcu być cicho, żeby człowiek mógł obejrzeć film? – warknął Marcus.

– Chodzi o Wilmę Persson – powiedział Pohjanen. – Pobrałem próbkę wody z płuc.

– Tak?

– I porównałem z wodą w rzece.

Anna Maria, widząc spojrzenie syna, podniosła się z sofy i wyszła do kuchni.

– Jesteś tam? – spytał lekarz zrzędliwym tonem i zaczął odchrząkiwać.

– Jestem – odparła, siadając na krześle.

Starła się nie słuchać rżących dźwięków.

– Wysłałem... chrr, chrr... wysłałem próbki do Laboratorium Rudbecka w Uppsali. Poprosiłem Marie Allen, żeby to zrobiła na cito. Chrr, chrr... Odczytali sekwencje DNA. To szalenie ciekawe.

– Dlaczego?

– Bo to najnowsza technika. Dzięki niej można określić informację genetyczną w materiale znajdującym się w wodzie. Bakterie, algi... wszystko składa się z ciągów czterech cegiełek. My też. DNA człowieka zawiera trzy miliardy par takich cegiełek ułożonych w określony sposób.

Anna Maria spojrzała na zegarek. Najpierw niemiecki, ambitny film, a później Pohjanen z sekwencjami DNA.

– Być może wcale cię to nie interesuje – zazgrzytał Pohjanen. – Ale chciałem ci tylko powiedzieć, że woda w płucach Wilmy Persson zawierała zupełnie inny rodzaj alg i mikroorganizmów niż woda w rzece, w której ją znaleziono.

Anna Maria wstała.

– Nie umarła w rzece – powiedziała.

– Nie umarła w rzece – powtórzył Pohjanen.

SOBOTA, 25 KWIETNIA

SVENA ERIKA STÅLNACKEGO obudził sygnał komórki. Odbierając telefon, poczuł, jak zalewa go znajoma fala porannego zmęczenia.

– To ja – usłyszał entuzjastyczny głos Anny Marii Melli. Spojrzał zaspanymi oczami na wyświetlacz. Dwadzieścia po siódmej.

Anna Maria była rannym ptaszkiem. On – nocnym markiem. Mieli cichą umowę, że mogą dzwonić do siebie o każdej porze. Kiedy Sven Erik wpadał na jakiś pomysł o pierwszej w nocy, budził Mellę bez skrępowań. Ona zaś dzwoniła bladym świtem, czasami już jadąc po niego. Ale to było dawniej.

Dawniej, przed Reglą, Sven Erik spytałby: „To ty już na nogach?”, a ona opowiedziałaby o Gustavie, który – w dni powszednie wyciągany z łóżka i wleczony do przedszkola – w sobotnie i niedzielne poranki skacze jej po głowie już o świcie i nalega, żeby włączyła program dla dzieci.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie – powiedziała.

Momentalnie pożałowała, że wybrała jego numer. Zrobiła to z rozpędu. Jakby przez chwilę zapomniała, że już nie jest tak jak dawniej.

Słyszając zmianę w jej głosie, Sven Erik poczuł nieokreślony smutek przemieszany z wyrzutami sumienia. Uczucia te jednak już po chwili zamieniły się w czystą złość. To nie jego wina, że powstała taka sytuacja!

– Wczoraj, późnym wieczorem, zadzwonił do mnie Pohjanen – mówiła dalej, jakby podkreślając, że nie tylko ona telefonuje do współpracowników o dziwnych porach.

Śpiąca obok Svena Erika, Airi Bylund, otworzyła oczy. „Kawy?”, spytała bezgłośnie. Stålnacke skinął głową. Kobieta wstała i włożyła szlafrok. Bokserka, wylegująca się w łóżku kotka, zeskoczyła błyskawicznie z posłania i zajęła się paskiem z czerwonego frotté, tak irytująco dyndającym w trakcie zawiązywania.

– Pobrał próbki wody z płuc Wilmy Persson oraz z rzeki i okazało się, że dziewczyna nie zmarła tam, gdzie ją znaleziono.

– Aha.

– No, przecież uważałeś, że coś nie gra z benzyną, nie? Pytałeś, jak mieli wrócić do domu, skoro wyjechali na bezludzie z prawie pustym bakiem. A teraz to. Wilma nie umarła w rzece. Ale jak się w niej znalazła?

– Żebym to ja wiedział...

Zapadła cisza. Przerwała ją Anna Maria.

– Zamierzam w każdym razie pojechać do Piilijärvi i popytać; może ktoś wie, gdzie planowali nurkować.

Teraz miał szansę. Mógł zaproponować, że się z nią wybierze.

– Nie pytaliśmy o to jesienią, kiedy zniknęli? – zauważył jedynie.

– Owszem, ale tylko najbliższych. A teraz sytuacja jest poważniejsza. Teraz chcę przesłuchać wszystkich.

– Aha. To powodzenia!

Milczenie między nimi pęczniało od rozczarowania i wzajemnych zarzutów.

– Dziękuję – zakończyła rozmowę komisarz Mella.

Airi weszła do sypialni z kawą i kanapkami na tacy.

– No i? – spytała.

– Anna Maria. Dzwoni w sobotę rano i myśli, że człowiek rzuci wszystko, żeby z nią gdzieś jechać. Niedoczekanie!

Airi bez słowa podała mu kubek z kawą.

– Ona jest tak cholernie bezmyślna! – dodał.

– Posłuchaj – odezwała się Airi, siadając na skraju łóżka. – Ileż to razy w tym roku słyszałam, jak ją oskarżasz? Dla mnie człowiek bezmyślny to ten, kto robi głupstwa mimo namysłu. A tam, w Regli... Ona tylko... Po prostu stało się, co się stało.

– Ale ona nie myśli!

– Być może. Widocznie taką ma naturę. Jest impulsywna i skora do czynu. Kocham cię, przyjacielu, ale uważam, że życie stałoby się nieznośne, gdybyśmy byli identyczni. Próbuję ci jedynie wytłumaczyć, że Anna Maria działała instynktownie, że nie stała tam sobie i nie rozważała: aha, a teraz narażę siebie i Svena Erika na niebezpieczeństwo.

Sven Erik podniósł się z łóżka. Włożył spodnie. Zniecierpliwiony, odpędził atakującą go Bokserkę.

– Dosyć tego dobrego. Szykuje się porządna odwilż, muszę pojechać do domu i sprawdzić, czy na dachu nie zostało za dużo śniegu. Mokry jest bardzo ciężki.

– Wiem – westchnęła Airi, zwracając się do Bokserki, kiedy Sven Erik zniknął za drzwiami. – Na nic moje gadanie.

Poranne słońce i zaróżowione niebo nad wierzchołkami drzew. A mimo to Anna Maria widziała tylko czarną linię lasu i brudne zasy. Mechanicznie wypatrywała reniferów na poboczach, choć jej oczy utkwione były głównie w popękany asfalcie.

Kiedy wysiadła z samochodu przed domem Anni, humor jej się poprawił.

– Pachnie upieczonym ciastem w całej okolicy – powiedziała, wchodząc do środka.

W kuchni Anni pakowała świeże drożdżówki do torebek, żeby Anna Maria mogła je wziąć ze sobą do domu.

– A co mam z nimi zrobić? – spytała, gdy policjantka usiłowała protestować. – Wszystkie starsze osoby we wsi mają zamrażarki pełne słodkich bułeczek. Czasami można komuś wcisnąć jedną albo dwie, tylko dlatego że świeżo upieczone. Mam nadzieję, że pani się nie przejmuje indeksem glikemicznym i takimi tam.

– Nie.

– No, to maczamy!

Anna Maria oderwała kawałek cynamonowego ślimaka i zamoczyła w gorącej kawie.

– Czy Wilma i Simon nie powiedzieli pani, gdzie zamierzają nurkować? – spytała.

– Nie wiedziałam nawet, że jadą nurkować. Przecież nie zataiłabym tego przed policją, kiedy mnie wypytywano jesienią. Nikt nic nie wiedział. Mama Simona zauważyła, że z garażu zniknął sprzęt do nurkowania, i dlatego domyśliliśmy się, że pojechali nad jakąś wodę. Ale – jak pani wie – nie znaleziono samochodu. Nic nie znaleziono.

– A może zwierzili się komuś ze swoich planów? Jakiejś koleżance czy koledze tutaj we wsi?

– Tutaj już prawie nie ma młodych ludzi. Zostaliśmy tylko my, staruszkowie.

Dzieci przeprowadziły się do miasta albo na południe kraju. Toczą boje o to, kto ma się zająć gospodarstwem rodziców, które dostali w spadku. Nie potrafią się zdecydować na sprzedaż, ale też nigdy tu nie przyjeżdżają, nawet latem. Domy popadają w ruinę. Ciągle jeszcze mówię „chłopcy” o Hjalmarze i Torem, moich siostrzeńcach, ale Boże drogi, przecież oni są już po pięćdziesiątce! Wprawdzie Tore ma dwóch synów, którzy u niego pracują, ale oni też mieszkają w Kirunie. Wilma i Simon trzymali się rodzinnego domu. Choć bywali oczywiście w mieście. Simon miał tam garsonierę. Dolewkę?

– Czwartą z rzędu? Nie, dziękuję. Czy mogłabym obejrzeć jej pokój?

– Oczywiście. Nie pójde z panią, bo trzeba wejść na piętro.

Nagle na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie.

– Tam na górze jest zimno – oznajmiła. – Proszę mi wybaczyć. Przykręciłam kaloryfer, teraz kiedy... ponieważ Wilma... Jakbym myślała tylko o pieniądzach.

Umilkła i stojąc przy blacie kuchennym, zaczęła gorliwie strzepywać mąkę z fartucha.

– Ależ to jak najbardziej w porządku! – odparła Anna Maria. – Ogrzewanie domu kosztuje. Wiem, bo sama mieszkam w willi.

– To nie w porządku. Nie powinnam była nic wyłączać. Dom i ja powinniśmy byli na nią czekać.

– Wie pani co? Nawet żałoba czy niepokój nie muszą wykluczać praktycznego myślenia. Zakładam, że pani właśnie tak funkcjonuje.

– Nie chcę znów płakać – powiedziała Anni, patrząc błagalnie na policjantkę, jak gdyby ta mogła powstrzymać jej łzy. – Szkoda, że pani nas nie odwiedziła, kiedy mieszkała ze mną Wilma. Dom był pełen życia. Czasami jeszcze się budzę i myślę, że zaraz jej zrobię śniadanie. Pani mi pewnie nie wierzy, bo przecież zakręciłam kaloryfer...

– Coś pani powiem: mam gdzieś to cholerne ogrzewanie!

Anni uśmiechnęła się blado.

– Naprawdę się cieszyłam. Każdego dnia, każdego ranka czerpałam radość z tego, że mam Wilmę u siebie. Bo przecież jej obecność nie była czymś oczywistym. Wiedziałam, że pewnego pięknego dnia wróci do Sztokholmu.

To nie jest typowe królestwo nastolatki, pomyślała Anna Maria, wkraczając do pokoju Wilmy na piętrze.

Przy oknie stało nienowe biurko. Proste kuchenne krzesło, pomalowane na niebiesko, spełniało rolę fotela biurowego. Łóżko było wąskie, nie miało chyba więcej niż osiemdziesiąt centymetrów szerokości. Zasłano je białą szydełkową narzutą. Nie było żadnych plakatów, żadnych starych misiów ani innych pluszowych wspomnień z dzieciństwa. Fotografia, przypięta do ściany obok łóżka, przedstawiała Wilmę i Simona. Wyglądało na to, że dziewczyna trzyma aparat, którym robi zdjęcie. Śmieje się szeroko. On się uśmiecha, odrobinę zażenowany. Annie Marii zrobiło się smutno.

Przeszukała szuflady biurka. Żadnych map. Żadnego pamiętnika.

Słyszając, jak gospodyni zмага się ze schodami, otworzyła pospiesznie garderobę i przejrzała stos ubrań leżący na dnie. Kiedy staruszka weszła do pokoju, komisarz Mella stała na krześle i sprawdzała górę szafy. Anni usiadła na skraju łóżka.

– Czego pani szuka? – spytała z ciekawością, bez cienia niechęci.

Anna Maria pokręciła głową.

– Nie wiem. Czegoś, co wyjaśniłoby, dokąd pojechali. Gdzie mieli zamiar nurkować.

– Znaleźliście ją przecież przy Tervaskoski. To nie tam nurkowali?

– Nie wiem.

– Może powinna pani porozmawiać z Johannesem Svarvarem. Mieszka w tym niewielkim brunatnoczerwonym domku z oszklonym wiatrołapem, zaraz za zakrętem w prawo, jak tylko pani wjedzie do wsi. Pożyczał mapy Wilmie i Simonowi, kiedy wyruszali do lasu. A ja się tu na chwilę położę. Mogłaby pani zajrzeć do mnie w drodze powrotnej i pomóc mi zejść na dół?

Anna Maria nagle zapragnęła objąć staruszkę. Pocieszyć ją. Sama zaznać pociechy.

– Dziękuję za podwieczorek – powiedziała tylko. – Wpadnę do pani.

Johannes Svarvare również zaproponował poczęstunek. Anna Maria nie mogła odmówić, choć było jej już trochę niedobrze po tych wszystkich kawach. Mężczyzna wyciągnął z serwantki w salonie odświętne filiżanki. Zabrzęczały o spodeczki, kiedy stawiał je na stole w kuchni. Wykonane z delikatnej kremowej porcelany w różowe

różyczki, miały tak malutkie uszka, że nie można było w nie wcisnąć palca.

– Proszę mi wybaczyć – zwrócił się do policjantki, sugerując gestem, że chodzi o prezencję. – Nie pomyślałem, że ot tak, w sobotni poranek, władza porządkowa złoży mi wizytę.

Włosy sterczały mu na głowie i wyglądał, jakby spał w ubraniu. Brązowe wełniane spodnie wisiały na nim jak na kołku. Koszula, upstrzona kilkoma plamami, była dość pomięta.

– Jak przytulnie mieć w kuchni prawdziwy piec na drewno! – powiedziała Anna Maria, próbując odwrócić jego uwagę; nie chciała, by czuł się zakłopotany.

W oknach wisiały bożonarodzeniowe zasłonki. Gałgankowe dywaniki pokrywały podłogę wzdłuż i wszerz, tworząc grubą warstwę izolacyjną. Wszędzie było pełno okruchów.

Z pewnością niedowidzi, pomyślała Anna Maria. Nie zauważa, że trzeba by trochę odkurzyć.

Sami starcy w tej wiosce, rozważała dalej. Anni ma rację, za parę lat nie będzie tu żywej duszy. Wszystkie domy zamienią się w letnie rezydencje, choć i to nie jest pewne. Zimą będzie tu kompletne bezludzie.

– Biedna Anni, to dla niej ogromna strata – odezwał się Johannes i poruszył energicznie żuchwą. – Tragiczny wypadek.

Prawdopodobnie miał źle dopasowaną sztuczną szczękę. Obok zlewu stała szklanka z wodą, w której pewnie przechowywał protezę. Anna Maria pomyślała, że starzec wkłada ją tylko do posiłków i wtedy kiedy ma gości.

– Chcę się dowiedzieć, jak doszło do tego wypadku – powiedziała wprost. – Jest kilka niejasności. Czy Wilma nie mówiła panu, gdzie mają zamiar nurkować?

– Nie znaleźliście jej kawałek od Tervaskoski, w dół rzeki?

– Owszem, ale... mimo to.

– Mimo to. Co to za niejasności?

Anna Maria zawahała się. Wolałaby nic nie mówić. Czasami jednak obowiązywała zasada: coś za coś.

– Pewne rzeczy wskazują na to, że Wilma nie utonęła w rzece.

Johannes z hukiem odstawił filiżankę.

– Co pani ma na myśli?

– Nic nie mam na myśli! Naprawdę nic. Mam tylko powód, dla którego chcę zbadać ten wypadek gruntowniej. Poza tym chcemy też oczywiście odnaleźć Simona Kyrö.

– Przychodziła tutaj – powiedział. – Przychodziła tutaj...

Mówiąc, gładził stół obiema rękami. Zataczał duże koła.

– Rozmawialiśmy. Jak sąsiad z sąsiadem. Każdy potrzebuje trochę porozmawiać. Zostaliśmy przecież we wsi tylko my, starzy ludzie. Ale może człowiek mówił za dużo?

– Co pan ma na myśli?

– Co mam na myśli? Co mam na myśli? – powtórzył Johannes, pogrążony w zadumie. – Wie pani, na tydzień przed ich zniknięciem Isak Krekula miał zawał. Teraz jest już w domu, ale nie widziałem, żeby choć wyszedł do skrzynki po gazetę.

– Przykro mi, ale nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Mężczyzna dłużej brudnym paznokciem w rysie na blacie stołu. Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Wskazówki zatrzymały się na siódmej. W rzeczywistości minęła dwunasta.

– O, nie! – powiedział zdecydowanym głosem. – Teraz muszę się zdrzemnąć. Starzec ze mnie, rozumie pani.

Podniósł się z krzesła, wyjął z ust protezę i wrzucił ją do szklanki. A potem ułożył się wygodnie na kuchennej ławie, skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy.

– Yh... aha... – Anna Maria nie wiedziała, co powiedzieć. Czuła się idiotycznie. – Nie może mi pan wyjaśnić, o co panu chodzi?

Z ławy nie nadeszła żadna odpowiedź. Rozmowa była zakończona. Klatka piersiowa mężczyzny unosiła się i opadała w rytm krótkich oddechów.

– Kurza dupa! – zakląła Anna Maria, wsiadając do samochodu.

Nie powinna była mu przerywać. Najwyraźniej zaczął coś opowiadać. Sven Erik siedziałby cicho i czekał. Pozwoliłby gawędzie zyskać kształt. Szlag by go! I o co chodziło z tym zawałem starego Krekuli? Czy to miało coś wspólnego ze zniknięciem Wilmy i Simona?

– Będziemy musieli porozmawiać z Isakiem Krekulą – powiedziała głośno i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Domostwo rodziny Krekulów leżało na skraju wsi. Anna Maria wysiadła z samochodu i przez chwilę przyglądała się uważnie. A więc tutaj mieszkają bracia Tore i Hjalmar oraz ich rodzice. Próbowała odgadnąć, do kogo należy każdy z trzech domów. Wszystkie były pokryte drewnianą, czerwonobrunatną okładziną. Jeden wyglądał na zdecydowanie starszy niż pozostałe i miał stodołę z blaszonym, połatanym dachem. W oknach wisały szydełkowe zasłony. Tutaj muszą mieszkać rodzice.

Zawahała się. Ogarnęło ją silne, złe przecucie. W zagrodzie dla psów zawył szpic myśliwski. Rzucając się na siatkę, czekał jak opętany. Obnażał kły. Wgryzał się w ogrodzenie. Kłapał szczękami. Nieustanne agresywne ujadanie niosło się po okolicy.

Dom stał w cieniu świerków, które rosnąc ciasno obok siebie, wyznaczały granicę gospodarstwa. Nikt nie zadbał o to, by je przerzedzić. Były wysokie, ale jednocześnie jakby pochylone do przodu. Czarne, rozcapierzone i odrażające. Cienkie gałęzie zwisały bezwładnie ku ziemi. Układały się w obraz ojca czekającego na progu sypialni z paskiem w ręce. Tworzyły obraz matki z opuszczonymi bezsilnie ramionami.

Nie wchodź do środka! – ostrzegał ją jakiś wewnętrzny głos.

Włosy zjeżyły jej się na karku.

Już po wszystkim przypomni sobie, co czuła. Ale teraz udawała, że nie słyszy.

Pies drapał w ogrodzenie. Powietrze było gęste od nieprzyjaznych uczuć. W oknie lekko poruszyła się firanka. Ktoś był w domu.

Przybita do drzwi tabliczka oznajmiała: „Żebractwo i handel obwoźny zabronione”. Anna Maria zadzwoniła i po chwili drzwi się uchyliły. Kobieta o postarzałej twarzy zapytała, o co chodzi. Komisarz Mella powiedziała, kim jest.

Siostra Anni, pomyślała. Jakżeż ma na imię? Kerttu! Zastanawiała się, czy są podobne. Chyba tak, choć teraz uświadomiła sobie, że u Anni dostrzegła głównie oznaki starości. Przygarbioną sylwetkę, liczne zmarszczki, kościste dłonie. Próbowała wyobrazić sobie, jak siostry wyglądały, kiedy były w jej wieku. Anni miała pociągłą twarz, tak jak Anna Maria, i rzadkie włosy. Włosy Kerttu Krekuli ciągle jeszcze były gęste. Kości policzkowe – wysokie. Prawdopodobnie była tą urodziwą siostrą. I młodszą.

Ale Anni miała pogodne usposobienie. Oczywiście wtedy, gdy nie dręczył jej smutek z powodu Wilmy.

Kąciki ust Kerttu opadły, jak gdyby na każdym ramieniu miała diabła, który ściągał je w dół bosakiem.

– Nie mam w zwyczaju wpuszczać do domu obcych ludzi. Nigdy nic nie wiadomo.

– Czy jest pani siostrą Anni Autio?

– Tak.

– Pani Kerttu?

– Tak.

– Przychodzę właśnie od Anni. Dopiero co upiekła drożdżówki.

– Ja tam nigdy nie piekę. Po co, jak można kupić gotowe? A na dodatek ręce bolą robić.

Teraz przynajmniej zaczęła mówić, pomyślała policjantka.

– Czy ma pani toaletę?

– Tak.

– Mogłabym z niej skorzystać? Strasznie mi się chce siku, a do miasta jeszcze kawałek.

– No to niech pani wchodzi, zanim wejdzie cała zima – odpowiedziała kobieta i uchyliła drzwi trochę szerzej.

Anna Maria przycisnęła się do środka.

– Nie, nie byłam szczególnie zachwycona Wilmą. Ta dziewczyna tylko mąciła siostrze w głowie, jeśli chce pani wiedzieć.

Siedziały przy stole w kuchni i rozmawiały. Anna Maria przewiesiła kurtkę przez oparcie zabejcowanego na zielono krzesła.

– W jaki sposób mąciła jej w głowie?

– No, w każdy sposób. Na przykład kąpały się nago w jeziorze. Nie, nie po saunie. Tak po prostu. W środku dnia. Bez powodu. Anni z obwisłymi cyckami do pasa. Obrzydliwość. A Wilma nic sobie z tego nie robiła, że oglądają ją okoliczni chłopci. Pokazała im i cipkę, i wytatuowany tyłek. Tylko wstyd człowiekowi przynosiły.

Pies na podwórzu znów zaczął szczekać. Jakiś męski głos krzyknął: „Spokój!”, ale ujadanie nie straciło na sile. W sieni odgłos nóg strzepujących śnieg z butów, a po chwili dwóch mężczyzn w drzwiach kuchni.

Tore i Hjalmar, pomyślała Anna Maria.

Słyszała o nich. Przypomniała sobie teraz pewną sprawę o pobicie, w której powód wycofał pozew. To było dawno temu, gdy wróciła do Kiruny po studiach w akademii policyjnej. Ciągle jednak pamiętała strach w oczach pokiereszowanego chłopaka, kiedy błagał prokuratora o umorzenie postępowania. Oskarżenia uniknął wtedy Hjalmar. Miał na swoim koncie kilka spraw o pobicie. Dwie, może trzy. A w bazie podejrzanych znalazłoby się to i owo na jego temat. Słyszała, że jest olbrzymi. Faktycznie. Wyższy od brata o głowę. Wyrośnięty i otyły. Oparł się teraz ciężko o framugę. Bezbarwna i zarośnięta skóra zwisała z policzków.

No, owoce i warzywa to raczej nie jego bajka, pomyślała Anna Maria.

Obaj mężczyźni mieli ponad pięćdziesiąt lat. Ubrani byli w niebieskie spodnie robocze. Tore był ostrzyżony na jeża. Nieustannie w ruchu. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie może sobie znaleźć miejsca.

– Masz gościa? – spytał matkę, nie przedstawiając się.

– Z policji – odpowiedziała krótko Kerttu. – Pyta o Wilmę i Simona.

– Z policji – powtórzył Tore, patrząc na Annę Marię jak na jakieś чудо. – To dopiero, kurde! Nieczęsto was się tu widuje. No nie, Hjalle?

Hjalmar Krekula stał w drzwiach i milczał. Najmniejszym drgnieniem twarzy nie zareagował na słowa brata. Oczy bez wyrazu, półotwarte usta. Anna Maria poczuła ciarki na plecach.

– Jak Stig Rautio miał włamanie do domku za miastem, to pokazaliście mu figę. Nawet nie przyjechaliście, żeby zobaczyć, co się stało – kontynuował Tore. – Mówiliśmy: sprawdźcie parę samochodów na polskich rejestracjach, to w mig znajdziecie skradzione rzeczy. Przecież ci zbieracze jagód szybko pojęli, że praca w lesie im się nie opłaca i że swobodnie zarobią trochę grosza na włamaniach, bo policja... No, ja tam nie wiem, ale widocznie macie inne zajęcia niż łapanie złodziei. Rowery, silniki do łodzi... Wszystko ci może zniknąć i każdy wie, że nie ma po co iść z tym na policję. A nasi kierowcy? Oni to dopiero są narażeni na kradzieże i włamania. Rabusie rozcinają plandekę i biorą, co im się podoba. Ani jeden sprawca

nie został wykryty, odkąd pracuję w firmie, a pracuję już ładnych parę lat.

Pochylił się nad stołem. Przybliżył twarz do twarzy Anny Marii.

– Macie nas kompletnie w dupie! – powiedział. – Gówniarze rozbijają samochody i okna w sklepach i najgorsze, co im się może zdarzyć, to rozmowa z jakąś kobitą z socjalu, która im wyjaśni, jakie to mieli nieszczęśliwe dzieciństwo. Nawiedzone cioty, kurwa! Wszyscy tacy jesteście, jeśli chcesz poznać moje zdanie. I po co tu teraz przychodzisz?

– Jeśli się pan odrobinę cofnie, to chętnie odpowiem na pytanie – odparła komisarz Mella spokojnym, profesjonalnym tonem, którego używała w kontaktach z ludźmi przejawiającymi agresję.

– Mówisz mi, że mam się cofnąć? – spytał Tore, nie odsuwając twarzy ani o milimetr.

Puknął palcem w blat stołu przed Anną Marią.

– To ja opłacam twoje pobory, policjantko! Nie zapominaj o tym. Ja, mój brat i ojciec. Mamy prawdziwą pracę, robimy coś sensownego i płacimy podatki. A ty – można powiedzieć – jesteś przeze mnie zatrudniona. I uważam, że robisz fatalną robotę. Mam prawo tak sądzić?

– Ma pan prawo – odparła Anna Maria. – Ale teraz chcę wyjść.

Tore ciągle napierał twarzą na twarz policjantki. Nagle cofnął się i machnął ręką przed jej oczami.

– Wolna droga!

– Nie pójdzie pani do toalety? – spytała Kerttu. – Przecież przyszła pani po to, żeby skorzystać z ubikacji. W przedpokoju na prawo.

Anna Maria skinęła głową. Hjalmar Krekula niespiesznie przepuścił ją w drzwiach.

W toalecie wzięła głęboki oddech. Co za wredne typy! Próbowwała wziąć się w garść. Po chwili spuściła wodę i odkręciła kran.

Kiedy wróciła do kuchni, Hjalmara już tam nie było. Tore siedział przy stole. Anna Maria wzięła kurtkę z krzesła i włożyła ją na siebie.

– Nie może pani teraz wyjść – odezwał się młodszy brat. – Hjalmar wypuścił Reijo, a on panią pożre.

– Może pan go poprosić, żeby zamknął psa? Bo naprawdę chcę już iść.

– Niech zwierzak sobie trochę pobiega. Tylko jedna rundka wokół domu. Spiesz się pani? Dużo roboty?

Żeby tylko nie okazać strachu, przeleciało jej przez głowę.

– Czy wie pan, gdzie Wilma i Simon zamierzali nurkować? – spytała pewnym głosem.

Z pokoju sąsiadującego z kuchnią usłyszała lekkie postękiwanie. Odgłosy niespokojnego snu, wydawane przez starszego mężczyznę.

– Jak tam z nim? – Tore spytał matkę.

Wzruszyła ramionami. Nieznaczny grymas twarzy zdawał się mówić: „Jak zwykle”.

Anna Maria była ciekawa, czy leżący za ścianą to Isak Krekula. Wychodziła z założenia, że tak. Powinna zapytać o to, co powiedział jej Johannes Svarvare – że Isak miał zawał na tydzień przed zniknięciem młodych ludzi, ale nie potrafiła się przemóc. Nie udało jej się też powtórzyć pytania o nurkowanie Wilmy i Simona. Chciała jak najszybciej stąd wyjść. Pociła się w kurtce. Cała ta kuchnia w różnych odcieniach zieleni była potwornie brzydka. Anna Maria odniosła wrażenie, że ktoś chciał maksymalnie wykorzystać puszkę zielonej farby, rozcieńczonej w nieskończoność bielą. Uderzał brak wolnej przestrzeni; zagracono ją tandetnymi bibelotami.

Nagle otwarły się drzwi i do środka wkroczył Hjalmar.

– Może już jechać? – zapytał Tore dziwnym tonem.

Starszy brat nie odpowiedział. Nie spojrzał na policjantkę.

– Do widzenia – pożegnała się Anna Maria. – Może jeszcze kiedyś wrócę.

Wyszła na podwórze. Pies szczekał nieprzerwanie. Obaj bracia podążyli za nią. Zatrzymali się na ganku i nie spuszczały z niej oczu.

– Cholera jasna! – wyrwało się jej na widok samochodu.

W żadnym z czterech kół nie było powietrza.

– Moje opony... – odezwała się niezbyt mądrze.

– Noż, kurwa – skomentował Tore. – To na pewno jacyś gówniarze.

Uśmiechnął się, by nie było wątpliwości, że kłamie.

Ktoś musi po mnie przyjechać, powiedziała bezgłośnie Anna Maria, szukając telefonu w kieszeni kurtki. Szybko porzuciła spontaniczną myśl o Svenie Eriku.

Zadzwoń do Roberta, będzie musiał wziąć ze sobą Gustava, ale to przecież żaden problem.

Nie znalazła komórki w wewnętrznej kieszeni. Przeszukała pozostałe. Bez skutku. Zostawiła ją w samochodzie? Sprawdziła. Nie.

Spojrzała na braci, stojących na ganku. To oni. Zabrali jej telefon, kiedy była w toalecie.

– Moja komórka – powiedziała głośno. – Zniknęła!

– Mam nadzieję, że nie podejrzewa nas pani o kradzież – odparł Tore. – Bo wtedy naprawdę się zdenerwuję. To nieładnie tak przychodzić i rozsiewać oszczerstwa... Może panią podrzucić do miasta?

– Nie. Chcę tylko skorzystać z telefonu.

Popatrzyła na psa. Biegał w kółko i szczekał ochryple. Gdyby tylko nadarzyła się okazja, bez wątpienia by zwiął. Hjalmar wcale go nie wypuścił. Jeśliby naprawdę to zrobił, pies byłby już kilka kilometrów od domu. Poza tym śnieg wokół ogrodzenia wyglądał na nienaruszony.

– Telefon matki jest zepsuty – oznajmił Tore. – Wskakuj, kobito, do tego czerwonego volvo. Hjalle i ja właśnie wybieramy się do miasta. Możemy panią podwieźć.

Oni nie mają dobrze w głowie, pomyślała Anna Maria.

Oczami wyobraźni zobaczyła serię scen. Hjalmar jednym szarpnięciem otwiera tylne drzwi samochodu i wywleka ją ze środka. Są w lesie. Hjalmar chwyta ją za włosy i uderza jej głową o drzewo. Przytrzymuje ją za ręce, podczas gdy Tore ją gwałci.

Za nic nie wsiądę z nimi do samochodu, zdecydowała. Prędzej pójdę do miasta na piechotę.

– Poradzę sobie – powiedziała. – A później wrócę z paroma kolegami po samochód.

Obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Szła wzdłuż wiejskiej szosy. Za cel obrała sobie dom Anni Autio. W połowie drogi wyprzedzili ją bracia w czerwonym volvo. Myślała, że się zatrzymają i że Tore jeszcze raz będzie ją nakłaniał do wspólnej podróży, ale przejechali tylko obok, nawet nie zwalniając. Musiała się powstrzymać, żeby nie przyspieszyć kroku.

Zadzwonię od Anni, planowała.

A później przypomniała sobie, że obiecała do niej zajrzeć i pomóc jej zejść po schodach.

– Boże mój drogi! – wykrzyknęła. – Zupełnie o tym zapomniałam.

Anni spała w pokoju Wilmy na piętrze, okryta kołdrą. Kiedy Anna Maria usiadła na skraju łóżka, kobieta otworzyła oczy.

– Tak szybko pani wróciła? Może kawy?

– Umrę, jeśli wypiję jeszcze jedną filiżankę – oznajmiła komisarz Mella, uśmiechając się krzywo. – Mogę skorzystać z pani telefonu?

Ciągle leżąc, Anni obrzuciła gościa przytomnym i badawczym spojrzeniem.

– Co się stało?

– Nic – skłamała Anna Maria. – Samochód nie chce zapalić.

Robert nie odpowiadał. Pewnie bawi się z dziećmiakami w śniegu. Telefon do Svena Erika nie wchodził w grę. Zresztą do pozostałych kolegów też nie.

Jest sobota, pomyślała. Mają wolne. Sama sobie nawarzyłam piwa. Jeszcze tego brakowało, żebym im dostarczyła kolejnej historii na temat lekkomyślności komisarz Melli.

W końcu wybrała numer Rebeki Martinsson. Prokuratorka odpowiedziała po drugim sygnale.

– Opowiem ci później – powiedziała Anna Maria, zerkając na Anni, która na stole w kuchni położyła kefir i chleb. – Możesz po mnie przyjechać? Nie cierpię cię o cokolwiek prosić.

– Zaraz tam będę – zapewniła Rebeka bez zbędnych pytań.

Czterdzieści minut później zatrzymała się przed domem Anni Autio.

Anna Maria czekała już na zewnątrz. Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła z hukiem drzwi.

– Ruszaj – powiedziała tylko.

Kiedy opuściły wieś, wyrzuciła z siebie całą historię.

– Skurwiele! – zakończyła i rozplakała się. – Zastrane skurwysyny!

Rebeka milczała, ze wzrokiem utkwionym w szosie.

– Wiedzieli – pociągała nosem policjantka. – Doskonale wiedzieli, że gównu im mogę udowodnić. Przecież nie dowiodę, że Hjalmar pociął mi opony i że zabrali mi telefon.

Palił ją wstyd. Dała się zastraszyć. Tore musiał się czuć jak syty szczur na szczycie wysypiska śmieci, kiedy nie chciała wsiąść do ich samochodu.

– Rozkoszował się tą sytuacją – zapewniła Reбекę.

Powinam się była kłócić, pomyślała. Powinam była urządzić scenę, krzyčeć, oskarżyć ich. Powinam była się domagać, żeby mnie odwieźli do miasta. Okazałam się małym, wystraszonym gównem.

– Ja im jeszcze pokażę! – wykrzyknęła i uderzyła pięścią w schówek na rękawiczki.
– Wróć do każdego umorzonego śledztwa, każdego umorzonego postępowania, jakie znajdę przeciw braciom. A ty wniesiesz oskarżenie. Jeszcze pożałują, że się tak ze mną zabawili.

– Nic im nie będziesz pokazywać – odparła spokojnie Rebeka. – Masz działać bez emocji i profesjonalnie.

– Człowiek wchodzi do środka, nie podejrzewając nic złego – mówiła dalej Anna Maria – a oni huzia na mnie, ciach, ciach.

– Niektórzy ludzie... – zaczęła Rebeka, ale nie dokończyła zdania. – Myślisz, że to ma coś wspólnego z Wilmą i Simonem?

– Wilma i Simon... Znajdę tego chłopaka. I dowiem się, jak umarli.

– Tak, tym możesz się zająć, ba, powinnaś! To twoja praca.

– Zwrócę się do miejscowej ludności za pośrednictwem mediów z prośbą o informacje. Zadzwońię do Krekulów i poproszę, żeby włączyli telewizor.

Nagle uderzyła się dłonią w czoło.

– Kurza dupa! Miałam przecież odebrać Jenny ze stajni. Która godzina?

– Piętnaście po drugiej.

– To zdążę. No, oczywiście, jeżeli... Możemy po nią pojechać?

Jenny nigdzie nie było. Anna Maria wbiegła do kawiarenki, sprawdziła trybuny

wokół ujeżdżalni, każdy boks, każde stanowisko. Wypytała wszystkie dziewczyny w stajni i wściekała się, kiedy tylko wzruszały ramionami. Rebeka chodziła za nią jak cień. W końcu za głównym budynkiem znalazły koleżankę Jenny. Rozcinała bele siana dla koni na wybiegu.

– Cześć, Ebba! – Anna Maria przywitała się wyjątkowo promiennie, jakby chcąc stłumić złe przeczucia, które znów ją zaczęły ogarniać. – Gdzie jest Jenny?

Ebba spojrzała podejrzliwie na Annę Marię.

– Przecież wysłała jej pani SMS. Jenny się wściekła. Esemesowała, próbowała oddzwonić, ale pani nie odpowiadała.

Anna Maria zdrętwiała z przerażenia.

– Nie wysłałam żadnego SMS-a – wyszeptała niemal niedosłyszalnie. – Mój... telefon...

Zadzwoniła komórka Rebeki. Måns. Rebeka odrzuciła rozmowę.

– A co było w tym SMS-ie? – spytała Anna Maria.

– Nie pamięta pani, co sama pani napisała? – zdziwiła się dziewczyna.

Anna Maria jęknęła i zakryła usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

– Rany boskie! – powiedziała Ebba przestraszona. – Napisała pani, że Jenny ma się z panią spotkać. Natychmiast. Jenny była zła, bo musiała iść do miasta pieszo.

– Dokąd? – zawołała Anna Maria. – Dokąd miała iść?

– Do parku za dworcem. Miałyście się spotkać przy starej scenie. Obie uważałyśmy, że to bardzo dziwne miejsce na spotkanie. Jenny próbowała się do pani dodzwonić, esemesowała, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Pan Robert też nie odpowiadał. W SMS-ie było napisane: „Przyjdź natychmiast”. Bała się, że coś się stało.

Scena w przydworcowym parku, pomyślała Rebeka. Tam nie ma żywej duszy.

– To nie pani wysłała ten SMS? – spytała Ebba, zaniepokojona.

Ale Anna Maria była już w drodze do samochodu. Rebeka biegła za nią.

Serce policjantki waliło młotem. Widziała, jak Tore i Hjalmar wyjaśniają Jenny, że mama uległa wypadkowi. Widziała, jak odjeżdżają z nią w nieznanym kierunku.

Ileż to razy w ciągu ostatnich lat przyglądała się jedynej córce. Od niedawna nastolatce. Setki razy patrzyła na jej rosnące piersi, na perfekcyjną, zaróżowioną cerę.

Modliła się do Boga o opiekę. Żeby jej się nie stała żadna krzywda. A teraz... O Boże!

Rebeka prowadziła. Anna Maria siedziała obok z jej telefonem i próbowała dodzwonić się do Jenny. Żadnej odpowiedzi. Zaklęcia w głowie. Żeby tylko nic się nie stało. Żeby tylko nic się nie stało. Zaraz będziemy na miejscu.

Rebeka dojechała parkową alejką do samej sceny. Jenny w lekkiej jeździeckiej kurtce wyglądała na zmarzniętą. Anna Maria wyskoczyła z samochodu z imieniem córki na ustach. Jenny! Jenny!

– No, przecież jestem tutaj – burknęła dziewczyna, uwalniając się z objęć mamy.

Zrobiła kwaśną minę, choć z jej oczu wycierał strach.

W Annie Marii wezbrał gniew.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu?! – ryknęła.

– Przecież próbowałam do was dzwonić. Skończyła mi się bateria. Czekałam tu całą wieczność. Nikt nie podnosił słuchawki! Ani ty, ani tato. Co się stało? Dlaczego płaczesz?

W WIECZORNYM WYDANIU lokalnych wiadomości pokazano zdjęcia Wilmy Persson i Simona Kyrö. Spiker poinformował o zaginięciu młodych ludzi w październiku oraz o niedawnym odnalezieniu ciała dziewczyny. Stojąc przed kamerą, Anna Maria zwracała się do widzów z prośbą o wszelkie informacje związane z zaginionymi.

– Interesuje nas wszystko – zapewniła. – Czy ktoś wie, gdzie zamierzali nurkować? Czy ktoś rozmawiał z nimi, zanim zniknęli? Drodzy państwo, nie bójcie się dzwonić – zakończyła. – Lepiej o jedną rozmowę za dużo niż o jedną za mało.

Anna Maria Mella, rozparta na sofie w salonie, oglądała siebie w telewizji. Robert siedział obok. Każde ze swoją pizzą na kolanach. Jenny i Peter już zjedli. Na ławie leżały puste kartony i puszki. Marcus nocował u swojej dziewczyny. Gustav zasnął dawno temu w łóżeczku.

Wokół nich, za plecami oraz przed sofą, leżały stosy czystego prania, czekające, aż ktoś zrobi z nimi porządek. Robert przez cały dzień był z Gustavem na świeżym powietrzu, z przerwą na lunch u siostry.

Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, żeby poskładać to pranie, pomyślała kwaśno Anna Maria. W domu panował niemiłosierny bałagan. Musiałaby spędzić cały urlop na sprzątaniu, żeby odrobić zaległości. Wolałaby też zjeść prawdziwy domowy obiad niż tę ohydną, tłustą pizzę. Demonstracyjnie wypuściła z ręki nadgryziony kawałek i odsunęła od siebie karton.

Kątem oka zerknęła na Roberta, który – wpychając do ust kolejny trójkąt, złożony na pół – mechanicznie gładził ją po plecach.

Irytowało ją to bezwiedne głaskanie. Jakby była kotem! Akurat teraz potrzebowała czulej pieczyoty. Opuszki palców na zmianę z całą dłonią. Odrobina pożądania. Muśnięcie ustami karku. Pocieszająca ręka we włosach.

Opowiedziała mu, co się wydarzyło. Wysłuchał jej, nie komentując wiele. „Ważne, że dobrze się skończyło”, podsumował. Chciała krzyknąć: ale pomyśl, mogło się skończyć fatalnie! Mogło się skończyć jedną wielką, cholerną katastrofą!

Czy zawsze trzeba wymuszać pocieszenie płaczem? – zastanawiała się. Czy zawsze trzeba się wściec, żeby ten facet w końcu zrobił coś w domu?

A jednocześnie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Robert ma się za wspaniałomyślnego, ponieważ jej nie obwinia. To ona jest policjantką. Gdyby pracowała w innym zawodzie, coś takiego nigdy by się nie zdarzyło. Złościło ją to niewypowiedziane oskarżenie. Najprawdopodobniej sądził, że ma prawo do gniewu, ale ponieważ jest taki szlachetny i dobry, wybaczył jej. Nie chciała, żeby jej cokolwiek wybaczał!

Wygięła plecy, sygnalizując: zostaw mnie w spokoju.

Robert odsunął rękę. Popił ostatni kęs pizzy ostatnim łykiem coca-coli, wstał, zebrał wszystkie kartony oraz puszki i zniknął w kuchni.

Anna Maria poczuła się opuszczona i niekochana. Przez moment zapragnęła pobiec za nim i poprosić, żeby ją mocno przytulił. Ciągle jednak siedziała w miejscu, apatycznie wpatrując się w ekran telewizora. Coś w jej wnętrzu twardniało.

ODWIEDZAM HJALMARA Krekulę. Jego dom to typowe mieszkanie starego kawalera. Matka ciągle jeszcze zmienia mu firanki. Każdej wiosny i jesieni. Kilka lat temu zabronił jej wieszać bożonarodzeniowe zasłonki. Może więc tytułem

rekompensaty Kerttu zastawiła mu parapety sztucznymi pelargoniami. Nie kupił ani jednego mebla. Większość dostał od młodszego brata. Kiedy Tore zmienił kobietę, nowa kobieta zmieniła wyposażenie domu. To, co zostało z poprzedniego małżeństwa, było zbyt ciemne, zbyt jasne, zbyt zniszczone, zbyt nie na miejscu. Tore nie protestował, jako że nie protestuje się na początku nowego związku. Meble znalazły schronienie u Hjalmara.

Telewizor kupił sam. Duży i drogi. Właśnie go wyłączył w trakcie ostatniego wydania lokalnych wiadomości. Pokazywali zdjęcia, moje i Simona. Kiedy siadam obok na sofie, Hjalmar czuje moją obecność. Widzę, jak zerka niespokojnie w bok. Po chwili odsuwa się odrobinę, odrzuca przeczucie mojego istnienia, zamyka wszystkie drzwi do swojego wnętrza.

Znów pospiesznie włącza telewizor.

Zadziwia go postać tej filigranowej policjantki.

Myśli o tym, jak Tore wprawnymi ruchami przeszukał jej kurtkę, kiedy była w toalecie.

Kerttu nie odezwała się ani słowem. Z sypialni dochodziło sapanie Isaka.

Tore wyłuskał telefon komórkowy policjantki, włożył go za pazuchę i polecił Hjalmarowi, żeby zajął się jej samochodem.

– No, teraz to już chyba się odpiardoli od tej sprawy i przestanie grzebać w historii – powiedział, kiedy w drodze do miasta wyprzedzali komisarz Mellę, maszerującą do Anni.

I ten SMS, który wysłali do córki policjantki... Bez trudu domyślili się, jak ma na imię.

Znaleziono moje ciało. Teraz zaczyna się coś dziać. Tore jest we wspaniałym nastroju, choć próbuje to ukryć. Przed bratem udaje, że to wszystko było niezbędne. Ot, jeszcze jedna rzecz do załatwienia w ramach działalności firmy.

Widzę, jak Hjalmar na to patrzy. Wie, że tego typu sytuacje dodają Toremu skrzydeł. Podnieca go nie tyle przemoc, ile groźba. Ze strachu i bezsilności innych czerpie energię. Nabiera sił i wypełnia się entuzjazmem. Ni stąd, ni zowąd zaczyna pucować kabiny kierowców we wszystkich ciężarówkach albo wymienia dyski w tachografach. U Hjalmara wygląda to dokładnie odwrotnie. Przynajmniej tak było do tej pory. Nigdy nie pojął sensu zastraszania, tę część zostawił bratu. Przemoc zaś...

Pod warunkiem, że przeciwnik to ktoś, z kim trzeba się liczyć, najchętniej ktoś znacznie silniejszy.

To uczucie, kiedy wdajesz się w bójkę z trzema osobami. Najpierw strach. Nim padnie pierwszy cios. Potem słupek wściekłości, czerwony jak krew. Głowa wolna od myśli i emocji, oprócz woli zwycięstwa. Ja też byłam kimś w rodzaju bojownika, zanim przeprowadziłam się do Piilijärvi i poznałam Simona. Wiem, jak wspaniałym przeżyciem może być walka.

Ale Hjalmar bił się w ten sposób tylko w młodości. Przez całe dorosłe życie było już inaczej.

Teraz wzdycha głęboko, na co pozwala sobie jedynie wówczas, gdy jest sam. Podnosi się z sofy.

Nie, ostatnio korzysta z przemocy z jakąś machinalną gnuśnością. Przetrzepuje skórę biedakom, którzy mają zapłacić, zrezygnować z konkurencyjnej działalności, wydać zezwolenie na budowę kanału czy zrobić jeszcze coś innego.

Najczęściej nawet niepotrzebne jest użycie siły. Bracia cieszą się złą sławą również poza granicami gminy. Zazwyczaj ludzie robią to, co im się każe. Ale komisarz Mella nie dała się zastraszyć.

Hjalmar wychodzi na ganek. Jest sobotni wieczór. Na zewnątrz ciągle jeszcze jasno. Spogląda na dom brata. Tore z żoną oglądają telewizję; ciekawe, czy widzieli ostatnie wydanie „Nordnytt”. Kerttu z pewnością pomogła usiąść Isakowi na skraju łóżka, przyciągnęła do siebie stolik na kółkach i karmi męża sucharkami rozmoczonymi w zupie z owoców dzikiej róży.

Hjalmarowi tęskno do lasu. Widzę to po nim. Wciąga zapach świerków za domem jak pies uwiązany na łańcuchu. W Saarisuanto nad rzeką Kalix ma niewielką chatkę. Wiem, że o niej teraz myśli.

Tam łatwiej być samotnym. Uciec od wszystkich ludzi. Zastanawiam się, czy zawsze taki był. Czy może dopiero po tym, co się wydarzyło.

We wsi mówi się o Wydarzeniu. Opowiada się o nim za plecami braci.

JEST WCZESNY RANEK 17 czerwca 1956 roku. Hjalmar ma wyprowadzić krowy na pastwisko. To jedno z jego wakacyjnych zajęć. Gospodarstwa we wsi są

ogrodzone, a krowy przez cały dzień mają się paść w lesie. Wieczorem prawie zawsze wracają same. Z wymionami nabrzmiętymi mlekiem, pokornie poddają się dojeniu. Czasami jednak zdarza się, że trzeba po nie pójść. Zwłaszcza pod koniec lata, kiedy najedzą się grzybów i dostają grzybiego rozumu. Można ich wtedy szukać godzinami.

W kuchni matka przygotowuje śniadanie i pakuje je do dwóch plecaków.

– Czy Tore naprawdę musi ze mną iść? – pyta Hjalmar, zapinając trzy guziki flanelowej koszuli; jedyne, które jeszcze nie odpadły. – Nie może zostać z tobą w domu?

Tore ma sześć lat. Hjalmar w lipcu skończy dziewięć. Najchętniej poszedłby do lasu sam. Nie cierpi, jak młodszy brat depta mu po piętach.

– Nie dyskutuj – odpowiada matka głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Smaruje dwie pajdy chleba. Hjalmar odnotowuje, że na jednej jest o wiele więcej masła. Właśnie ta, złożona na pół i zawinięta w gazetę, łąduje w plecaku Torego. Hjalmar nic nie mówi. Młodszy brat siedzi na kuchennym stołku i raz po raz wyciąga z pochwy nową finkę.

– Nie baw się nożem! – upomina go Hjalmar, tak jak sam był upominany dziesiątki razy.

Tore zdaje się nie słyszeć. Matka milczy. Do niewielkiej drewnianej faski wlewa kwaśne mleko. Kawał solonej ryby pakuje do papierowej torebki po mące. Mleko i rybę poniesie w plecaku Hjalmar.

Rodzina ma tylko trzy krowy, na własne potrzeby. Isak prowadzi firmę transportową, Kerttu zajmuje się gospodarstwem.

Chłopcy zakładają plecaki. Na głowach mają czapki z daszkiem, ubrani są w spodnie sięgające za kolano. Buty Hjalmara kłapią i są zdecydowanie za duże, Torego – ciut za ciasne.

Nie zdążyli nawet przejść przez szosę, kiedy Tore odcina brzozową gałązkę i zaczyna nią chłostać krowy.

– Nie musisz ich bić – poucza go zirytowany Hjalmar. – Stjärna jest mądra. Zawsze idzie za człowiekiem.

Przewodniczka Stjärna podąża za chłopcem. Ma czarne uszy, a na czole – czarną

gwiazdę. Na skórzanym pasku zapiętym wokół szyi wisi dzwoneczek. Rosa i Mustikka dzielnie dotrzymują jej kroku. Odpędzają muchy ogonami. Od czasu do czasu przyspieszają, by uniknąć przeklętej różgi Torego.

Starszy brat nie ustaje w marszu. Zamierza zaprowadzić krowy na skraj torfowiska znajdującego się jakiś kilometr dalej. Słońce przygrzewa. Las pachnie intensywnie dzikim rozmarynem. Stjärna idzie za Hjalmarem z radością. Zdążyła się nauczyć, że chłopiec wie, gdzie rosną smaczne zioła.

Tore nieustannie opóźnia marsz. Zatrzymuje się przy mrowisku i wbija w nie grubą gałąź. Wbija i wyciąga, i tak w kółko. Nową finką wycina znaki na drzewach. Hjalmar patrzy w drugą stronę. Jego nóż jest znacznie gorszy. Któryś z mężczyzn pracujących u ojca zdrapywał nim rdzę z ciężarówki. W ostrzu powstała spora szczerba, której nie sposób się pozbyć nawet najlepszą osełką. Nóż Torego jest nowusieńki.

Tore cały czas coś mówi. Hjalmar chciałby, żeby umilkł. W lesie trzeba być cicho.

Na skraju torfowiska wyciągają z plecaków jedzenie. Krowy zaczynają się paść, oddalając się coraz bardziej od chłopców.

Torfowisko bieli się kwiatami moroszki.

Nadchodzi czas powrotu.

Po kilkunastu minutach marszu bracia dostrzegają renifera, który zatrzymał się i spogląda na nich wielkimi czarnymi oczami. Lapończycy wyprowadzili już zwierzęta w góry, lecz to z jakiegoś powodu tutaj zostało.

Kiedy chłopcy próbują podejść bliżej, renifer wyciąga nagle szyję i oddala się niespiesznym kłusem. Po chwili słychać tylko kłapanie racic. I tyle go widzieli.

Ruszają jego śladem, ale wkrótce rezygnują. Z pewnością zdążył uciec bardzo daleko.

Ponownie kierują kroki ku domowi. Jednak dość szybko Hjalmar odkrywa, że nie wie, gdzie są. Mimo to idzie ciągle przed siebie, przekonany, że już za moment dojrzy znajome kamienie i polanki. Po kilku minutach dochodzą do mokradła, którego Hjalmar nigdy wcześniej nie widział. Rosną tu rachityczne sosny o czarnych pniach. Zwisające z gałęzi brodaczki wyglądają na przypalone. Co to za miejsce?

– Poszliśmy w złą stronę – mówi do Torego. – Musimy wrócić.

Wracają. Tylko że po jakiejś godzinie znów dochodzą do tego samego mokradła.

– Przejdźmy na drugą stronę – proponuje Tore.

– Nie rób z siebie idioty! – odpowiada Hjalmar ze złością.

Zaczyna się niepokoić. W którym kierunku mają teraz iść?

Wtem słyszy muczenie krowy. Odległe, niewyraźne.

– Cicho! – upomina brata, który znów o czymś papie. – To Stjärna. Głos dochodzi stamtąd.

Jeśli dojdą do krów, to bez problemu wrócą do domu. Stjärna odnajdzie drogę, gdy nadejdzie pora wieczornego dojenia.

Ale już po kilku krokach nic nie słychać. Muczenie krów milknie. Chłopcy tracą pewność, skąd dochodziło.

Kładą się na polance, by chwilę odpocząć. Pod nimi suchy mech, nad nimi gorące słońce. Spływa na nich senność. Silniejsze od wzbierającego płaczu jest zmęczenie. Starszy brat zapada w drzemkę. Tore wzdyga się i mówi coś przez sen.

Hjalmar budzi się, czując, że ktoś potrząsa jego ramieniem.

– Ja chcę do domu! – marudzi młodszy brat. – Jestem głodny.

Hjalmarowi też chce się jeść. Ssie go w żołądku. Słońce wisi nisko nad horyzontem. Las jest pełen rozmaitych dźwięków. Drzewa, wydzielając ciepło, trzeszczą w osobliwy sposób. Można ulec złudzeniu, że to odgłos czyichś kroków. Gdzieś w oddali rozlega się przerażające szczekanie lisa. Zrobiło się chłodno. Chłopcy zaczynają marznąć.

Idą przed siebie na oślep.

Po jakimś czasie docierają do strumienia. Klęcząc, napełniają czerpaki. Zaspokajają pragnienie.

Hjalmar się zastanawia.

A może to ta sama rzeczka, która przepływa obok zagrody Isa Junttiego na skraju wsi?

Kiedyś Hjalmar puszczał w niej patyki. Płynęły w kierunku rzeki Kalix. Jeżeli więc teraz pójdą w górę strumienia, powinni dojść do domu.

Jeśli to ten sam strumień, oczywiście. Ale ponieważ nie wiedzą, dokąd iść, równie dobrze mogą podążyć tą drogą.

– Pójdziemy teraz w tę stronę – oznajmia bratu.

Tore nie lubi, gdy ktoś inny za niego decyduje. Nikt nie będzie mu mówił, w którą stronę ma iść. No, może oprócz ojca.

– Nie – odpowiada. – Pójdziemy tam.

Wskazuje przeciwny kierunek.

Wybucha sprzeczka. Sprzeciw Torego umacnia Hjalmara w przekonaniu, że wędrówka w górę rzeczki to najlepsze wyjście.

Tore upiera się jak osioł. Hjalmar wyzywa go od durnych smarkaczy i pieprzonych głupków. Ma go teraz słuchać i basta!

– Nie będziesz mi rozkazywał! – wyje Tore.

Po chwili uderza w płacz. Chce, żeby przyszła po nich mama. Hjalmar nie wytrzymuje i częstuje brata pięścią. Ten wymierza mu parę ciosów w brzuch. Wkrótce lądują na ziemi. Bójka za chwilę się skończy, Tore nie ma najmniejszych szans. Decyduje różnica wieku. Hjalmar jest wyjątkowo dużym ośmiolatkiem.

– Idziemy!

Siedzi na bracie okrakiem. Puszczą jego ręce, ale po chwili znów je chwyta, bo Tore próbuje uderzyć go w twarz. W końcu Tore się poddaje. Przegrał bójkę. Ale nie walkę. Gdy tylko staje na nogi, rusza rezolutnie w obranym przez siebie kierunku.

Hjalmar woła za nim:

– Nie bądź idiotą! Wracaj i chodź ze mną!

Tore udaje, że nie słyszy. Po chwili znika Hjalmarowi z oczu.

Kwadrans po jedenastej wieczorem Hjalmar dociera do szosy, która prowadzi do Vittangi. Po ponadgodzinnym marszu poboczem słyszy warkot samochodu. Ciężarówka należy do ojca, ale prowadzi ją Johannes Svarvare. Obok siedzi inny mieszkaniec wsi, Hugo Fors. Zatrzymują się pięćdziesiąt metrów przed chłopcem, otwierają drzwi, wołają. Daszki kaszketów nałożonych na bakier nad opalonymi twarzami. Podwinięte rękawy koszul. Hjalmar czuje, jak jego pierś przepelnia się radością. I ulgą. Wkrótce będzie w domu.

Johannes i Hugo śmieją się, pomagając mu wsiąść do kabiny. Sadzają go między siebie. Boże drogi, gdybyś wiedział, chłopcze, jak rodzice się niepokoją, mówią. Opowiadają o tym, jak po wieczornym dojeniu prawie wszyscy we wsi wyszli

z domów i nawołując, szukali. Hjalmar chciałby coś powiedzieć, ale głos więźnie mu w gardle.

– A gdzie masz Torego? – pytają.

Hjalmar nie może wydobyć z siebie ani słowa. Mężczyźni wymieniają między sobą spojrzenia.

– Co się stało? – docieka Johannes. – Odpowiedz, chłopcze, gdzie się podział twój brat?

Hjalmar odwraca głowę w stronę lasu.

Mężczyźni nie wiedzą, jak to rozumieć. Czyżby młodszy brat utonął w mokradłach?

– Zawieziemy cię teraz do domu – mówi Hugo Fors, kładąc rękę na głowie Hjalmara – a o tym wszystkim porozmawiamy później.

Jego głos jest spokojny jak jezioro wieczorem, ale pod powierzchnią pławi się niepokój, błyszczący jak stal.

Zbierają się w zagrodzie Krekulów. Niczym na spotkaniu laestadian. Kilkanaście dorosłych osób tworzy krąg wokół Hjalmara. Kobiety wydają okrzyki i pojękiwania. Niezbyt głośno, nie chcą bowiem, by cokolwiek im umknęło. Kerttu nie kwili. Jest biała i sztywna jak sople lodu. Isak zaś czerwony i mokry od potu, właśnie przybiegł z lasu.

– A teraz powiedz, co się stało z Torem – rozkazuje.

Hjalmar z trudem dobiera słowa.

– Został w lesie.

Dorośli wokół niego są jak czarne sosny letnią nocą. A on na tej polanie stoi zupełnie sam.

– Zostawiłeś go w lesie?

– Nie chciał. Mówiłem mu, żeby szedł ze mną. Zgubiliśmy się. Ale on nie chciał.

Wykrztusiwszy to, zaczyna płakać. Któraś z kobiet wykrzykuje: „*Herran Jumala!*”^[5] i zakrywa usta dłonią.

Kerttu wbija oczy w syna.

– To jest kara – mówi do Isaka, nie spuszczać wzroku z chłopca. – On się już nie znajdzie.

A później odwraca się i powoli – tak wolno, jak poruszałyby się lodowy sopel, gdyby nagle ożył – idzie w kierunku domu.

– Zabierzcie go stąd! – grzmi Isak do zgromadzonych. – Niech ktoś weźmie go do siebie do domu, zanim stanie się jakieś nieszczęście! Zostawiłeś go w lesie. Zostawiłeś brata swego w lesie!

Odchodząc z Elminą Salmi, Hjalmar raz po raz się odwraca i spogląda w stronę domu. Wolałby, żeby ojciec spuścił mu lanie. Pas byłby lepszy.

– Kiedy będę mógł wrócić? – pyta.

– Bóg raczy wiedzieć – odpowiada Elmina pobożnie. – Módlmy się, żeby znaleźli Torego, biedactwo!

Nazywam się Wilma Persson. Nie żyję. Nie wiem jeszcze dokładnie, co to znaczy.

Hjalmar Krekula klęczy przed swoim domem i przyciska śnieg do twarzy. Nie chce więcej o tym myśleć. W ogóle nie chce myśleć.

Dosyć tego, dosyć, mówi bezgłośnie.

Zaglądam do Anni. Leży na boku w łóżku. Śpi. Ubrania wiszą równo na oparciu krzesła. Wsunęła rękę pod policzek. Dłoń tworzy miseczkę, w której spoczywa głowa. Druga ręka, otwarta, spoczywa na piersi. Postać Anni przywodzi mi na myśl lisa. On też na noc kuli się w podobny sposób. Zwija się w kłębek. Ogrzewa własnym ogonem.

Policjantka Anna Maria Mella nie może zasnąć. Mąż leży odwrócony do niej plecami i chrapie. A ona czuje się opuszczona i nie potrafi się ogrzać tak jak lis. Gdyby Robert mógł ją teraz przytulić! Żeby w końcu przestała się czuć samotna i zła. Dzisiaj życie okazało się takie kruche...

Siadam na skraju łóżka. Przykładam dłoń do jej serca.

Jeżeli chcesz spać w jego objęciach, to przybliź się do niego, mówię.

Po chwili Anna Maria przysuwa się do męża. Otacza go ramionami. Robert budzi się na chwilę, wystarczająco długą, by przewrócić się na drugi bok i objąć żonę.

– Jak się czujesz? – pyta zaspanym głosem.

– Nie najlepiej – odpowiada Anna Maria.

Robert głaszcząc ją, trzyma w objęciach, całuje w czoło. Ona najpierw myśli: że też, kurde, muszę się o to doproszać, łąsić się jak kot. Ale po chwili przestaje jej zależeć. Odpręża się i zapada w sen.

NIEDZIELA, 26 KWIETNIA

W NIEDZIELĘ NA KOMENDĘ policji w Kirunie zadzwonił mężczyzna i powiedział, że chce się podzielić informacją na temat młodych ludzi, których pokazano w „Nordnytt” poprzedniego wieczoru. Przedstawił się jako Göran Sillfors.

– Nie wiem nawet, czy to coś ważnego, ale ponieważ sami państwo powiedzieli: „Lepiej o jedną rozmowę za dużo niż o jedną za mało”, to pomyślałem...

Telefonistka połączyła go z Anną Marią Mellą.

– I bardzo dobrze pan pomyślał – odparła komisarz, kiedy mężczyzna powtórzył swój krótki wstęp.

– No więc jeżeli chodzi o tę dziewczynę i chłopaka... W lecie pływali kajakiem po Vittangijärvi. Mamy tam domek letniskowy. Powiedziałem kobiecie, że nie wszyscy młodzi ludzie siedzą całymi dniami przed komputerem. Akurat tych dwoje dźwigało i ciągnęło kajak wzdłuż rzeki, a później przez Tahkojärvi dopłynęli do jeziora. To dość daleko. Nie wiem, ile im zapłacili ci z SMHI, ale na pewno niedużo.

– SMHI?

– Robili jakieś pomiary w jeziorze, właśnie dla SMHI. Tak powiedzieli, gdy kiedyś wpadli do nas na kawę. Mądrzy, sympatyczni ludzie. Nie miałem pojęcia, że zaginęli; byliśmy wtedy za granicą, córka i jej chłopak kupili hotel w Tajlandii, no więc pojechaliśmy ich odwiedzić, mieszkaliśmy trzy tygodnie za darmo, fakt, ale wiadomo, człowiek musiał też popracować, wie pani, jak trzeba coś zrobić, to nie ma to jak ojciec...

– Wpadli do państwa na kawę. O czym mówili?

– Taa... Nie mówili zbyt wiele.

Jasne, pomyślała Anna Maria. Nie dałeś im dojść do słowa.

Göran Sillfors kontynuował:

– Robili jakieś pomiary dla SMHI. Co mówisz?

– Słucham?

– Nie, to nie do pani. Chwileczkę, żona coś... Żona mówi, że badali dno za pomocą echosondy. Od razu ich rozpoznałem na zdjęciach we wczorajszych wiadomościach. Dziewczyna wyglądała trochę groźnie z tymi szpikulcami w brwi. Ha, ha! Zapytałem ją, czy nie zajmuje się tym, no, jakżeż to się nazywa, kiedy człowiek zwiesza się na linach przyczepionych do haków, które najpierw wbija we własną skórę... Ja cię kręcę! Widziałem kiedyś program w telewizji, ci ludzie mają kolczyki w całym ciele, no i wieszają się na nich. Ale ta dziewczyna przebiła sobie tylko brew i ucho, tak powiedziała.

– Proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć, co mówili o jeziorze. Nie napomknęli, że zamierzają w nim nurkować?

– Nie. Ale pytali mnie, czy łowię w nim ryby.

– I co pan odpowiedział?

– Że łowię.

– I coś jeszcze?

– Nie, nic więcej.

– Proszę się zastanowić. Jeżeli piliście kawę, to na pewno zdążyliście porozmawiać o tym i owym.

– No... Mówiliśmy chyba trochę o wędkowaniu. Powiedziałem im, że jest jedno miejsce, gdzie ryby zawsze biorą. Myślałem, że może są tym zainteresowani. Żartujemy o tym miejscu na środku jeziora, że leży tam jakiś meteoryt albo inny głaz. W każdym razie coś, za czym ryby mogą się schować, bo akurat tam bardzo dobrze biorą. Ale oni nie łowili ryb. Chwileczkę, znów nie słyszę, co pani mówi, bo żona mi tu za plecami...

– Nie słyszy, co mówię? – pomyślała z przekąsem Anna Maria. Przecież to on bez przerwy gada!

– Że co?! – zawołał do żony. – A dlaczego akurat miałoby ją to interesować? No to porozmawiaj z nią sama.

– A o co chodzi? – spytała komisarz Mella.

– E tam. Marudzi mi tu kobita o drzwiach do drewnutni. W zimie ktoś nam je zwędził.

Serce Anny Marii zabiło mocniej. Pamiętała o resztkach zielonej farby znalezionych przez Pohjanena za paznokciami Wilmy.

– Jaki miały kolor? – spytała.

– Czarny.

Anna Maria zwiesiła głowę. To by było zbyt piękne. Gdzieś w tle usłyszała żonę mężczyzny.

– Tak, oczywiście – odezwał się po chwili do słuchawki. – Były czarne od zewnątrz, bo dwa lata temu przemalowałem tylko jedną stronę. Rozumie pani, deszcz, śnieg, wiatr, a ja miałem kapkę czarnej farby, która mi została po tym, jak pomagałem sąsiadowi malować furtkę. No, a ponieważ miałem tę resztkę, to pomyślałem, że mogę przeciągnąć pędzlem przynajmniej po tej najbardziej zniszczonej stronie.

– No tak – odparła Anna Maria, nie potrafiąc ukryć zniecierpliwienia.

– No. Ale od wewnątrz były zielone. Dlaczego pani o to pyta?

Anna Maria wzięła głęboki oddech. Teraz. Teraz, kurde!

– Niech pan nie wychodzi z domu! – krzyknęła do słuchawki. – Gdzie państwo mieszkają? Zaraz tam będę.

ANNA MARIA MELLA pojechała z Göranem i jego żoną Berit nad jezioro Vittangijärvi. Domek letniskowy Sillforsów był dość sporą budowlą z bejcowanego drewna. Ramy okienne błyszcząły bielą. Daszek wyjątkowo szerokiego ganku wspierał się na dwóch rzeźbionych kolumnach.

Göran prowadził skuter, kobiety siedziały w saniach.

– Wejdziemy do środka? – spytała gospodyni, kiedy dojechali do celu.

Komisarz Mella pokręciła przecząco głową.

– Gdzie są drzwi?

– Nie ma żadnych drzwi – odparł. – I to jest właśnie problem.

Śnieg na dachu drewnutni w wyniku topnienia i ponownego zamarzania zamienił się w zlodowaciały nawis, który w każdej chwili mógł runąć.

Anna Maria zdjęła czapkę i rozpięła kombinezon. Była stanowczo zbyt ciepło ubrana.

– Doskonale pan wie, co mam na myśli – odparła wesoło. – Proszę mi pokazać, gdzie te drzwi były osadzone. Z tyłu?

Otwór po drzwiach, zabity teraz deskami, znajdował się w ścianie szczytowej.

– Na wiosnę wprawię nowe – odezwał się mężczyzna. – Nie bywamy tutaj zimą, więc rozwiązałem to tylko profesorycznie.

Anna Maria przyglądała się futrynie. Ani śladu zielonej farby. Czarnej też nie.

– Czy mogę pana prosić o wyłamanie kilku desek? Chciałabym wejść do środka i trochę się rozejrzeć.

– Czy mogę zapytać, czego pani szuka?

– Mam oczywiście nadzieję, że po wewnętrznej stronie futryny są jakieś ślady zielonej farby i że będziemy mogli pobrać próbkę.

– Nic tam nie ma. Pomalowałem drzwi na zielono chyba z piętnaście lat temu. Zdjąłem je wtedy z zawiasów i położyłem na kozłach. W drewnie nie ma więc ani kropki.

Twarz mężczyzny zmieniła wyraz. Duma przykładowego malarza z tego, że nie chłapie farbą na lewo i prawo, ustąpiła teraz miejsca zatroskaniu człowieka, który właśnie rozczarował bliźniego.

– Ale wie pani co? Jedne drzwi w domu są powleczone tą samą farbą. Z tej samej puszk. O ile dobrze pamiętam, pomalowałem je tego samego dnia. Może być?

Anna Maria, rozpromieniona, spontanicznie otoczyła ramionami zaskoczonego Görana Sillforsa.

– Czy może być? Tak, tak i jeszcze raz tak!

– To znaczy, że wchodzimy do środka? – spytała Berit. – Świetnie, bo jak już tu jesteśmy, to chciałabym opróżnić pułapki na myszy.

Komisarz Mella zdrapywała ostrożnie farbę z drzwi między wiatrołapem a sienią. Starannie strzepywała zielone płatki do koperty.

– Niech pani drapie, śmiało! – zachęcał mężczyzna. – I tak trzeba je odmalować.

Berit przejrzała garderoby na piętrze i szafkę pod zlewem. Kiedy wróciła, pokazała rezultat mężowi i policjantce. Pięć zamrożonych ciałek w plastikowym wiaderku.

– Pójdę je wyrzucić – oznajmiła.

– Ja też jestem gotowa – powiedziała Anna Maria.

Wyjrzała przez okno w sieni. Całe jezioro ciągle jeszcze było pokryte lodem. I dość grubą warstwą śniegu.

Jeżeli wycięli przerębel i nurkowali pod lodem, myślała, a ktoś przykrył otwór drzwiami, tak że utonęli... To przecież możliwe. Ale dlaczego przeniesiono dziewczynę? I gdzie jest chłopak? Ciekawe, czy te drzwi nie leżą tam gdzieś pod śniegiem.

– Mogę wejść na jezioro i rozejrzeć się odrobinę? – spytała.

– Nie radziłbym – odparł Göran. – Lód jest rozmiękły i zdradliwy.

– Czy ktoś tu bywa zimą? – zadała kolejne pytanie. – Do kogo należy ten drugi dom? Pomyślałam, że może ktoś inny coś zauważył, albo nawet spotkał Wilmę i Simona.

– Nie, w tym sąsiednim domu nikt nie mieszka – odparła ze smutkiem Berit. – Właściciel jest zbyt stary i schorowany, a jego siostrzeńcy i bratankowie nie wykazują zainteresowania. No, chyba że Hjörleifur...

– Zwariowałaś?! – wybuchnął nagle Göran. – Nie możesz jej wysłać do Hjörleifura!

– Zapytała, więc odpowiadam.

– Zostaw Hjörleifura w spokoju! On jest uczulony na wszystkie władze.

– No – powiedziała Berit, potrząsając lekko wiaderkiem z myszami, jakby chcąc zwrócić na siebie uwagę. – Hjörleifur Arnarson mieszka samotnie w gospodarstwie, które leży jakiś kilometr stąd. Wie pani, o kim mówię?

Anna Maria skinęła głową.

– Kąpie się tutaj w jeziorze. Chodzi na skróty przez las, czy to zima, czy lato. Zazwyczaj wycina przerębel koło naszego pomostu. A ostatnio zrobił się porywczy, musisz to przyznać, Göran.

– Hjörleifur nie ma z tym nic wspólnego – stwierdził mężczyzna. – Oryginał z niego, to fakt, ale nie jest złym człowiekiem.

– Nie mówię, że jest złym człowiekiem – broniła się Berit. – Ale zrobił się porywczy.

– A jak się to u niego przejawia? – zapytała Anna Maria.

– Na przykład nie lubi, jak się tu kręcą intruzi. Kiedyś pożyczył sobie bez pozwolenia strzelbę Görana. I wymachując nią, przepędził paru wędkarzy. To było

jakieś dwa lata temu, nie?

Göran Sillfors rzucił żonie ostrzegawcze spojrzenie. „Milcz, kobieto!”

Anna Maria powstrzymała się od komentarza. Nie miała zamiaru wypominać Sillforsowi, że nie przechowuje broni w zamkniętej szafce.

Berit, nieporuszona, mówiła dalej.

– Czasami kupuję u niego olejek przeciw komarom, taki domowej roboty; posiedzę wtedy trochę i porozmawiam. Kiedy odwiedziłam go ostatnio latem, na drzewie przed domem wisiał kozioł.

– Jak to: wisiał na drzewie?

– Zapytałam go: A cóż to się stało, sąsiedzie? A on na to, że jak go kozioł pobódl, to się tak zezłościł, że zabił zwierzę i z całej siły cisnął je przed siebie. Biedny koziołek zahaczył rogami o brzozę, no i tak na niej wisiał. Pomogłam mu go ściągnąć. Inaczej wrony by go rozdziobały. Hjörleifur się kajał. Był okres godów, wiadomo, że wtedy kozły robią się trochę narwane.

Berit zatrzymała wzrok na policjantce.

– Ale nigdy nie zrobiłby krzywdy bliźniemu, nie o to mi chodzi. Powtórzę za Göranem: niezły z niego oryginał, ale nie jest złym człowiekiem. Trzeba tylko mieć się trochę na baczności. Może pojedziemy tam razem?

Anna Maria popatrzyła na zegarek.

– Muszę wracać do domu – odparła z uśmiechem. – W przeciwnym razie mój chłop rzuci mną w brzozę.

Niedzielny wieczór w garażu. Siedzę na dachu szoferki i przyglądam się Hjalmarowi Krekuli. Podniósł platformę ładunkową jednej z ciężarówek i oliwi tłoki hydrauliczne. Przykłada olejarkę do kolejnych pierścieni. Nie słyszy brata wchodzącego do środka. Nagle wyrasta przed nim Tore i krzyczy:

– A co ty, kurwa, wyrabiasz?!

Hjalmar zerka w jego kierunku, ale nie przerywa pracy.

Tore przybiega z podpórkami i wciska je pod platformę samochodu.

– Pojechało cię czy co? Nie możesz pracować pod platformą bez zabezpieczenia, to chyba jasne?

Hjalmar milczy. Co ma powiedzieć?

– Nie mogę prowadzić firmy w pojedynkę – nie przestaje zrędzić Tore. – Wystarczy, że stary leży przykuty do łóżka i nie może nam pomóc nawet w księgowości. Nie będziesz mi przydatny ani jako inwalida, ani jako nieboszczyk. Rozumiesz?

Tore jest wzburzony. Mówiąc, tryska śliną.

– Nie możesz mnie teraz zawieść! – krzyczy, wskazując brata palcem.

A kiedy ten nie reaguje, dodaje:

– Idiota! Pierdolnięty idiota!

Obraca się na pięcie i wychodzi.

Tak, myśli Hjalmar. Nie mogę go zawieść. Nie mogę go zawieść kolejny raz.

POSZUKIWANIA TOREGO trwają pięć dni i pięć nocy. Szukają go ochotnicy z byłej Służby Bezpieczeństwa i z Górskiego Pogotowia Ratunkowego. Dołączają się policja i kompania z jednostki militarnej I19 w Boden. Niewielki samolot przelatuje dwukrotnie nad lasem na północ od Piilijärvi. Ani śladu chłopca. Na podwórzu nieustannie kręcą się obcy mężczyźni. Piją kawę. W drodze do lasu albo z lasu. Chcą rozmawiać z Hjalmarem, pytają, któredy tak naprawdę szedł z bratem i jak wyglądała okolica. Co to było za mokrądo, przy którym się zatrzymali? Hjalmar nie chce mówić, próbuje uchylać się od zeznań, ale nie może. Po dwóch nocach spędzonych u Elminy Salmi wrócił do domu. Sąsiadka przyprowadziła go rano do Kerttu i powiedziała:

– Oto chłopiec, który żyje. Bądź wdzięczna, że go masz.

Kerttu dała mu owsianki, ale nie odezwała się ani słowem. Ciągle jeszcze nic do niego nie powiedziała.

Kiedy mężczyźni zadają mu pytania, wychodzi ze skóry, żeby odpowiedzieć. Nie wie. Nie pamięta. W końcu zaczyna kręcić i zmyślać, żeby powiedzieć cokolwiek. Widzieli szczyt Hanhivaary? Tak, chyba tak. A kiedy szli, czy słońce świeciło im w plecy? Tak, właśnie tak. Las był przetrzebiony? Nie, zdecydowanie nie.

Poszukiwania trwają w lesie na północ od wsi. Stamtąd Hjalmar wyszedł na szosę. I wszystko, co chłopiec mówi, wskazuje na to, że właśnie tam bracia się zgubili.

Przez te kilka dni Hjalmar musi się oswoić z nową sytuacją. Przyzwyczać się, że na jego widok ludzie nabierają wody w usta. Że wykrzykują: „Niech ci Bóg wybaczy!” albo: „A gdzieżeś ty, kurwa, miał rozum!”. Przywyknąć do kręcenia głową i osobliwych spojrzeń. Do milczenia matki. Nie żeby kiedykolwiek była rozmowna, ale teraz nawet na niego nie patrzy.

Kiedyś przypadkiem usłyszał, jak ojciec zwierza się jednemu z mieszkańców wioski: „Najchętniej bym go zabił, ale to nie przywróci Torego do życia”.

„*Jumala on antanu anteeksi*”, odpowiada wierzący mężczyzna. Bóg wybaczył ten grzech.

Ale Isak Krekula nie wierzy w Boga. Nie znajduje żadnego pocieszenia. Nie potrafi też, tak jak Hiob, dyskutować z Panem i wygrażać niebu pięścią. Zmieszany, mamrocze coś niejasnego. Zaciśniętą pięść podnosi przeciw Hjalmarowi.

Po pięciu dobach poszukiwania zostają przerwane. Sześćioletni chłopiec nie ma szans na przeżycie tylu dni w lesie. Najprawdopodobniej utonął w trzęsawisku. Albo w potoku, z którego bracia pili wodę, zanim się rozstali. A może rozszarpał go niedźwiedź? Gospodarstwo Krekulów pustoszeje. Wieczorem kilku najwytrwalszych mieszkańców wsi przeszukuje las jeszcze przez jakąś godzinę. Ale przecież każdy ma swoje sprawy. I na co się zda szukanie zmarłego?

Tej nocy Hjalmar nie może usnąć. Przez ścianę słyszy płacz matki.

– To jest kara – kwili Kerttu.

Łóżko skrzypi i trzeszczy, kiedy ojciec się z niego podnosi.

– Zamknij się – mówi sucho do żony.

Hjalmar ciągle słucha szlochu matki, kiedy nagle otwierają się drzwi do pokoju braci. W progu stoi tato.

– Wstawaj! – krzyczy. – Chodź tutaj i ściągaj spodnie!

Uderza pasem. Tak mocno, jak tylko potrafi. Postępuje z wysiłku. Hjalmar postanawia, że nie będzie się mazał. Nie. Nie. W końcu jednak ból zwycięża. Łzy i krzyk pojawiają się bezwiednie.

W sypialni rodziców panuje cisza.

Teraz matka nasłuchuje płaczu syna.

Cud zdarza się rankiem 23 czerwca 1956 roku. Koło piątej, zanim matka zdąży wyjść do obory, a ojciec wstać z łóżka, Tore pojawia się w zagrodzie. Wkracza do kuchni i woła: „*Päivää!*”. Dzień dobry!

Matka upinała włosy w łazience. Właśnie z niej wychodzi. Najpierw wpatruje się w syna bez słowa. Po chwili zaczyna płakać. Wołać. Wrzeszczeć. Przytula go tak mocno, że mały krzyczy z bólu i matka musi zwolnić uścisk.

Komary, meszki i gzy pokąsały chłopca tak bardzo, że zakrwawiony kołnierz przylepił mu się do szyi. Kerttu rozcina koszulę nożyczkami. Stopy są obolałe i spuchnięte. W ostatnich dniach Tore szedł bosy, buty trzymał w ręce. Później ludzie będą wspominać z uśmiechem, że dzielny chłopak butów nie zaprzepaścił.

Przez cały dzień do kuchni Krekulów przychodzą mieszkańcy wioski i oglądają Torego, który je. Który śpi na ławie. Który znowu je.

Historia trafia do gazet, opowiada się o niej w radiu. Z całego kraju napływają listy. Ludzie przysyłają prezenty, ubrania, buty, narty. Przyjeżdżają z Kiruny i z Gällivare, żeby zobaczyć chłopca na własne oczy. Ulla Billquist nadaje telegram.

Tore jedzie z mamą pociągiem do Sztokholmu i spotyka Lennarta Hylanda, który przeprowadza z nim wywiad w „*Karuzeli*”.

Hjalmar słucha w skupieniu audycji radiowej. Dzięki Bogu, Tore nie wspomina w wywiadzie o bójce. Ale we wsi ludzie już wiedzą. Hjalmar pobił młodszego brata. I zostawił go w lesie.

PONIEDZIAŁEK, 27 KWIETNIA

PORANNA NARADA w kiruńskiej komendzie policji. Obecni tam Sven Erik Stålnacke, Fred Olsson i Tommy Rantakyrö czekali na Annę Marię Mellę.

Sven Erik umoczył wąsy w kawie. Kiedyś zwisały mu spod nosa jak rozjechana szara wiewiórka, ale odkąd komisarz znalazł nową towarzyszkę życia, wąsy były schludnie przystrzyżone.

„Teraz przypominają bardziej najeżonego jeża”, skomentował kiedyś Tommy. Sven Erik przycinał również włosy w nosie i zrzucił kilka kilogramów, mimo że nie odmawiał sobie jedzenia u Airi.

Fred bawił się nowym smartfonem. Tommy zdążył zadać klasyczne pytanie: „Ale można nim dzwonić?”, a teraz chyba niezbyt uważnie słuchał wykładu kolegi o funkcji *push* i gigabajtach.

Komisarz Mella wkroczyła do pokoju z rumieńcami na policzkach, w wierzchnim okryciu. Zdarła czapkę z głowy. Włosy nie były ani zaplecione w warkocz, ani rozczesane. W jej wyglądzie było coś dzikiego.

– Ciężki ranek? – spytał Fred.

– Przepraszam za spóźnienie – odpowiedziała z wymuszonym spokojem. – I chyba nie chcecie wiedzieć, co się stało. Musiałam użyć przemocy wobec wrzeszczącego czterolatka. Najpierw skrępowalam go kombinezonem, którego oczywiście nie chciał włożyć. Później byłam zmuszona... jak by to powiedzieć... wyłuskać go z czterolatka siłą, bo oczywiście nie dał go z siebie ściągnąć. A wszystkiemu przyglądały się cierpliwe panie w przedszkolu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa socjal już dzisiaj umieści go w rodzinie zastępczej.

Zdjęła kurtkę i usiadła.

– Chciałam was tylko poinformować o sprawie śmierci Wilmy Persson i zniknięcia Simona Kyrö. Ciało dziewczyny znaleziono w rzece Torne, poniżej Tervaskoski. Ale Pohjanen przesłał próbki wody z rzeki i z płuc Wilmy do Laboratorium Rudbecka

w Uppsali i okazało się, że wzory DNA tych próbek są zupełnie odmienne. Wilma Persson nie zmarła w rzece. Latem ubiegłego roku ci młodzi ludzie pływali kajakiem po Vittangijärvi i pili kawę u Berit i Görana Sillforsów, właścicieli posiadłości nad jeziorem. Wilma i Simon powiedzieli im, że robią pomiary dla SMHI. Zadzwoiłam do SMHI. Nie zamawiali żadnych badań w Vittangijärvi. Wilma i Simon nie dostali od nich żadnego zlecenia. Więc czym się tak naprawdę zajmowali? Oprócz tego Sillforsom skradziono zimą drzwi od drewni. Po jednej stronie drzwi były zielone. Za paznokciami prawej ręki Wilmy, tymi, które zostały, Pohjanen znalazł resztki zielonej farby.

– Myślisz więc, że nurkowali w jeziorze i że ktoś przykrył drzwiami przerębel, tak?
– spytał Tommy.

– Bo ja wiem? Ale właśnie to chcę zbadać. Za dużo tu dziwnych rzeczy.

– Ale czy w zimie nie nurkuje się w rękawicach? – dociekał Fred.

Anna Maria wzruszyła ramionami.

– Wysłałam do SKL^[6] próbki farby spod jej paznokci i farby, którą pomalowano skradzione drzwi. Dzisiaj pobierzemy próbki wody z jeziora i wyślemy do Laboratorium Rudbecka, żeby sprawdzić, czy odpowiadają wodzie z płuc dziewczyny. Myślę, że nurkowali w jeziorze.

– A może to chłopak przykrył przeręblę drzwiami? – zasugerował Fred.

– Ale w takim razie dlaczego przeniósł dziewczynę? – zastanawiał się Tommy.

Anna Maria milczała. Jeżeli Wilma została zamordowana, to niewykluczone, że sprawca chciał usunąć jej zwłoki z jeziora, ponieważ sam mieszka w pobliżu albo powszechnie wiadomo, że często tam bywa. Hjörleifur Arnarson mieszka w pobliżu. I często bywa nad jeziorem. Ale nie ma sensu wspominać o nim kolegom.

To nie on, myślała. Za to ci cholerni bracia Krekulowie... Oni mogą mieć z tym coś wspólnego, czuję to.

Mimo wszystko powinna porozmawiać z Arnarsonem. Ale raczej nie w cztery oczy.

– Jak się ma twoja córka? – spytał Fred.

– Dobrze – odpowiedziała Anna Maria. – To przede wszystkim ja najadłam się strachu.

– Co za świnię! – powiedział z emfazą Tommy. – Zablokowałaś telefon?

– Jasne.

– W jakiś sposób muszą być w to zamieszani – zapalał się coraz bardziej Tommy. – Powinniśmy im dać wycisk za to, co ci zrobili, Mella.

– Ja tam nie wiem – wtrącił się Sven Erik. – Ale myślę, że to wcale nie musi mieć związku z zaginięciem Wilmy i Simona. Przyjechałaś do Krekulów, a oni po prostu wykorzystali szansę, żeby się podroczyć. Gdybyś była panienką ze skarbówki albo z firmy wlepiającej mandaty za złe parkowanie, albo z jakiegokolwiek innego urzędu, zachowaliby się podobnie.

– Albo faktycznie próbowali mnie zastraszyć, bo coś wiedzą lub mają z tym zniknięciem coś wspólnego – odparła Anna Maria ostrzejszym tonem.

– Albo twój rozum nie nadąza za emocjami, zresztą nie pierwszy raz.

Komisarz Mella podniosła się z krzesła.

– Spadaj na drzewo – powiedziała spokojnie. – Jedź sobie do Airi i rób to, na co masz, kurde, ochotę. Ja w każdym razie zajmę się śmiercią Wilmy Persson i zaginięciem Simona Kyrö. Myślę, że chłopak leży pod lodem. A jeśli zostali zamordowani, wyjaśnię to morderstwo.

Wyszła energicznie z pokoju.

– Na co się gapicie? – zapytał Sven Erik, kiedy Anna Maria zniknęła za drzwiami.

Koledzy nie odpowiedzieli. Nie chcieli konfliktów. Fred prawie niezauważalnie pokręcił głową, udając, że koncentruje się na swoim smartfonie. Tommy delikatnie pocierał nos. To było naprawdę cholernie niepotrzebne, sygnalizowali obydwaj.

Rebeka Martinsson wysiadła właśnie z samochodu, kiedy z drzwi komendy wypadła Anna Maria Mella.

Komisarz, wiedzona nagłym impulsem, postanowiła poprosić Rebekę, żeby pojechała z nią do Hjörleifura. Samotna wyprawa nie była dobrym pomysłem, a chwilowo nie chciała angażować kolegów.

– Cześć! – zawołała. – Nie chciałabyś pojechać ze mną do lasu i porozmawiać z największym oryginałem w gminie? Mam...

– Poczekaj – przerwała jej Rebeka, próbując wyłowić z torebki brzęczący telefon.

Måns. Odrzuciła rozmowę i wyłączyła komórkę.

Zadzwońię do niego później, pomyślała.

– Tak? – zwróciła się do policjantki.

– Chcę porozmawiać z Hjörleifurem Arnarsonem. Wiesz, kto to jest? Nie? No to faktycznie musiałaś spędzić w Sztokholmie ładnych parę lat. Hjörleifur mieszka niedaleko Vittangijärvi, a ja podejrzewam, że właśnie w tym jeziorze nurkowali Wilma i Simon, zanim zniknęli. Nie uśmiecha mi się spotkanie z Arnarsonem sam na sam. A moi koledzy są... zajęci czymś innym przed południem. Pojedziesz ze mną? Czy masz rozprawę?

– Nie mam rozprawy – odpowiedziała Rebeka, myśląc o stosach nieprzejrzanych akt na biurku.

Ale z drugiej strony mogła przecież popracować trochę wieczorem.

– A więc nigdy nie słyszałaś o Hjörleifurze Arnarsonie? – zapytała Anna Maria, kiedy siedziały w samochodzie, w drodze do Kurravaary.

Na przyczepie miały policyjny skuter, niezbędny, żeby dotrzeć do Vittangijärvi.

– Opowiadaj.

– Oj, ale od czego zacząć? Kiedy przeprowadził się tu, do Kiruny, najpierw zamieszkał pod Fjällnäs. Wymyślił sobie, że wyhoduje nową, ekologiczną rasę świń. Zwierzęta miały radzić sobie same w lesie przez okrągły rok i wytrzymywać nawet największe mrozy. Skrzyżował więc przedstawicielkę rasy Linderöd z dzikiem. Tylko że te krzyżówki zamiast w lesie, wołały żerować na kartofliskach sąsiadów. We wsi podniósł się krzyk. Sąsiadki się wkurzyły i zadzwoniły do nas z żądaniem, żebyśmy przyjechali i wyłapali te łaciate zwierzaki. Hjörleifur próbował je ogrodzić, ale cały czas mu uciekały. Świnie, nie sąsiadki, ha, ha! W końcu któryś z mieszkańców wsi je powystrzelał. Boże, co to był za cyrk!

Anna Maria zaśmiała się donośnie na samo wspomnienie.

– Kilka lat temu NATO zorganizowało tu wielkie manewry; na północ od Jukkasjärvi przeprowadzono operację Nordanstorm. W ramach działań na rzecz pokoju światowego Hjörleifur biegał wtedy nago po lesie, właśnie tam gdzie odbywały się ćwiczenia. Żeby go złapać, trzeba było przerwać manewry.

– Mówisz: nago?

– Tak.

– Ale przecież te ćwiczenia odbywały się w lutym!

– Tak.

– Luty. Dwadzieścia, trzydzieści stopni mrozu?

– To była wyjątkowo ciepła zima – powiedziała ze śmiechem Anna Maria. – Góra minus dziesięć. Kiedy go złapali, miał na sobie tylko buty, a pod pachą koc. Facet jest, no wiesz, beztekstylny. Chociaż w zasadzie tylko w lecie. Tamtej zimy zrobił wyjątek dla pokoju. Latem nigdy nie ma na sobie ubrań. Jest przekonany, że przez nagą skórę potrafi spożytkować energię słoneczną i dlatego w lecie właściwie nie musi nic jeść.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Bo kiedy sąsiad zastrzelił mu świnie...

– Tak?

– Sprawa poszła do sądu. Samowola karalna albo zniszczenie mienia, nie pamiętam, ale rozprawa odbyła się latem. Szkoda, że nie widziałaś min ławników i sędziego, kiedy pozwany Hjörleifur wszedł na salę.

– Rozumiem – odpowiedziała Rebeka ze śmiechem. – Nie uważasz, że słońce świeci dzisiaj wyjątkowo intensywnie?

– Nigdy nic nie wiadomo – odparła Anna Maria. – Zobaczymy.

Dom Hjörleifura stał na bezdrożach. Piętrowy, z drewnianych bali, pomalowany na czerwono-brunatny kolor. Na podwórzu poniewierało się mnóstwo rozmaitych rzeczy: stara wanna, klatki dla królików, pułapki różnych rodzajów i rozmiarów, bele siana, pług konny oraz przeróżne pozbijane z desek konstrukcje, które prawdopodobnie stanowiły początek większego projektu budowlanego.

Kilka kur grzebało w miękkim wiosennym śniegu. Łagodny pies, przypuszczalnie mieszaniec labradora i border collie, wybiegł na spotkanie kobiet.

– Halo! – zawołała Anna Maria. – Jest tam kto?

Spojrzała na Rebeke. A jeżeli to błąd, że ją tu zaciągnęła? Emanowała z niej jakaś zbyt intensywna szlachetność. Można było odnieść wrażenie, że się wywyższa. Chociaż z drugiej strony... Jeśli kobieta zezwala psu, żeby zlizął makijaż z jej twarzy, a Rebeka właśnie na to pozwoliła, to chyba ujdzie?

Komisarz Mella odepchnęła myśl o Svenie Eriku. On to potrafi działać na ludzi uspokajająco.

Brakuje mi go, stwierdziła zdumiona. Jestem na niego wściekła, a jednocześnie go oplakuję.

– Halo! – przywitał je gospodarz, wyłaniając się zza rogu.

Hjörleifur Arnarson. Wychudzone ciało. Nieopisane brudny niebieski kombinezon roboczy wisiał na nim jak na kołku. Ogorzałą twarz okalały długie, kręcone włosy, ale na czubku głowy świeciła łysina. Nie zmienił się szczególnie, odkąd Anna Maria widziała go ostatnio. To było... piętnaście lat temu, obliczyła szybko w myśli. Przez rękę miał przewieszony koszyk z jajkami. Kury gromadziły się ufnie wokół jego nóg.

– Kobiety! – wykrzyknął radośnie.

– Eh... Tak... – odezwała się Anna Maria. – Jesteśmy z policji.

Przedstawiła siebie i Rebekę.

– Nie szkodzi. Mają panie ochotę na jajka? Ekologiczne. Wzmagają płodność. Ma pani dzieci?

– Tak – odparła Anna Maria ze śmiechem, odrobinę zaskoczona pytaniem. – Czwororo.

– Czwororo!

Hjörleifur Arnarson zatrzymał się i popatrzył na nią z uznaniem.

– Z tym samym mężczyzną?

– Tak.

– To niedobrze. Optymalnym rozwiązaniem jest potomstwo z tak wieloma partnerami, jak to tylko możliwe. W ten sposób wzbogacamy różnorodność genetyczną. Zwiększamy szanse na biologiczny strzał w dziesiątkę.

– A pani ma dzieci? – zwrócił się do Rebeki.

– Nie.

– To bardzo niedobrze. Chodzi o zamierzoną czy niezamierzoną bezdzietność? Proszę mi wybaczyć szczerą, ale bezpłodne kobiety przedstawiają dla ludzkości wartość zerową.

– A może jest tak, że podczas gdy wy się rozmnażacie, my po prostu pracujemy? – zasugerowała Rebeka.

– My też potrafimy pracować – stwierdził Hjörleifur. – I jednocześnie się rozmnażać. Nie sądzę, żeby pani cierpiała na bezpłodność. Jest pani raczej kobietą, która stawia na karierę. Ale z odpowiednim mężczyzną mogłaby pani mieć niezłą gromadkę dzieci.

– Chyba z odpowiednimi mężczyznami? – wtrąciła Anna Maria i z radością dostrzegła w oczach Rebeki ostrzeżenie: „Odwal się!”.

– Owszem, ale z każdym oddzielnie – wyjaśnił Hjörleifur, zerkając pożądliwie na Rebeke. – Zapraszam do środka.

„Zapraszam do środka na zapłodnienie czy co?”, pytał wzrok Rebeki.

– Chciałybyśmy tylko... – zaczęła komisarz Mella, lecz Arnarson już wszedł do domu.

Nie widząc innej możliwości, podążyły za mężczyzną.

W kuchni Hjörleifur wyjmował z koszyka jajka zwiększające płodność i układał je w wytłaczance po innych jajkach. Na każdym starannie zapisywał ołówkiem datę. Anna Maria rozejrzała się dokoła, na przemian z przerażeniem i zachwytem. Że też w kuchni może panować tak potworny brud i bałagan! Własna kuchnia wydała się jej nagle jakby wyjęta z czasopisma wnętrzarskiego.

Przed piecem na drewno zalegały grube warstwy trocin i pokruszonej kory. Wykładzina pokrywająca podłogę zarosła brudem tak bardzo, że trudno było ustalić jej pierwotny kolor. Gałgankowy dywanik pod stołem miał podobny, szarobrązowy odcień. Na stole leżał zeszywniały obrus. Szyby w oknach były jako tako przetarte na samym środku, żeby dało się wyjrzeć na zewnątrz. Hjörleifur nie miał żadnych zasłonek. Ich rolę spełniały biegnące w poprzek okien półki, zastawione starymi puszkami, w których zieleniły się rośliny. Na środku kuchni stała wiekowa cynkowana balia, a nad piecem wisiało pranie. Wszędzie piętrzyły się stosy naczyń. Anna Maria podejrzewała, że mężczyzna ich nie zmywa, tylko gdy zachodzi potrzeba, bierze pierwszy z brzegu talerz lub kubek. Na ławie kuchennej leżał seledynowy śpiwór. Sufit był czarny od sadzy, a zwisającą z niego lampę naftową pokrywały kurz i pajęczyny.

Kobiety nie przystały na propozycję wypicia ekologicznej herbaty ziołowej.

– Na pewno? – dopytywał się gospodarz. – Sam ją przyrządzam. Powinny panie jak najszybciej przejść na ekologiczną żywność, jeśli jeszcze tego panie nie uczyniły.

Jedynie dziesięć procent współcześnie żyjących ludzi będzie miało wystarczająco silne potomstwo, żeby zapewnić sobie trwałość materiału genetycznego przez kolejne trzy pokolenia.

– Praktykuje pan kąpiele w Vittangijärvi, prawda? – powiedziała Anna Maria, przekonana, że nadeszła pora na zmianę tematu.

– Tak.

– Widział pan może nad jeziorem tych dwoje młodych ludzi?

Pokazała mu fotografię Wilmy i Simona.

Hjörleifur pokręcił przecząco głową.

– Mam podstawy, by twierdzić, że nurkowali w jeziorze dziewiątego października. Łód dopiero co skuł wodę. Nie widział ich pan? Nie spotkał? Nic pan nie zauważył? Czy wie pan coś o drzwiach, które w zimie zniknęły z drewnitni Sillforsów?

Hjörleifur momentalnie się zachmurzył.

– Pytania, pytania, pytania.

Anna Maria czekała cierpliwie.

– Niewykluczone, że zostali zamordowani – powiedziała w końcu. – To naprawdę ważne, żeby pan powiedział wszystko, co wie.

Mężczyzna milczał z zaciśniętymi ustami jak dziecko.

– Przyjdźcie jutro – odezwał się po chwili. – Może coś widziałem.

– Proszę pana, niech pan... – Anna Maria nie dawała za wygraną.

– A może nic nie widziałem – przerwał jej Hjörleifur.

Spojrzał przekornie na policjantkę. Nie ulegało wątpliwości, że dzisiaj nic więcej nie powie.

Anna Maria zazgrzytała zębami.

Stary, uparty kozioł, pomyślała.

Otworzyła usta, żeby jeszcze raz spróbować go nakłonić do rozmowy, ale Rebeka była szybsza.

– Dziękujemy, że chce pan nam pomóc. Przyjedziemy jutro.

Uśmiechnęła się. Górna warga obnażyła równy rząd zębów. W oczach zaiskrzyły się ogniki.

– Jak się wabi ta piękna suczka?

Mężczyzna zmiękł.

– Vera – odpowiedział radośnie. – Świetnie. Proszę więc przyjść jutro. Ugotuję pani kilka jajek.

Hjörleifur stał na podwórzu, patrząc za odjeżdżającymi kobietami. Wprawdzie Rebeka wprowadziła go w pogodny nastrój, ale gdy tylko zniknęła, zaczął cierpieć męczarnie.

Kiedy przyjadą jutro... może będą miały ze sobą kajdanki. A jak go wezmą ze sobą na komendę i już nie wypuszczą? Zniewolony. Bez możliwości wyjścia na dwór. Zamknięty w szarym betonie.

Wszedł do domu. Z szuflady w kuchni wyjął telefon komórkowy. Korzystał z niego niezmiernie rzadko. Ale teraz znalazł się w krytycznym położeniu. Wystukał numer Sillforsów i chroniąc głowę kawałkiem folii aluminiowej, przytknął telefon do ucha.

– Co wyście naopowiadali policji? – zapytał wzburzony, kiedy po drugiej stronie odezwał się sąsiad.

Göran usiadł na kuchennym stołku i nie spiesząc się, wyjaśnił, że ani on, ani Berit nic nie powiedzieli. Zapewnił go, że naprawdę nikt nie sądzi, aby Hjörleifur miał coś wspólnego ze zniknięciem Wilmy i Simona. Kiedy zrozumiał, że Hjörleifur odzyskał spokój, nie potrafił się powstrzymać od pytania:

– A ty co im powiedziałaś?

Wówczas Hjörleifur poczuł promieniowanie telefonu. Rozgrzane ucho i ból głowy.

– Nic. Jutro tu wrócę – odrzekł zwięźle i zakończył rozmowę.

Niełatwo być Göranem Sillforsem. Ten mężczyzna jest wyjątkowym gadułą. Uwielbia mówić. O wszystkim, a najchętniej o sobie. Charakteryzując go, ludzie nie wzbraniają się przed użyciem takich określeń, jak „trajkocząca przekupka” czy „cierpiący na słowne rozwolnienie”. Czasami chcieliby go zabić, żeby tylko zamilkł.

Gdzieś tam, w środku, Göran zdaje sobie z tego sprawę. Ale zamiast się uciszyć, rozprawia z jeszcze większym zapałem. Nauczył się mówić bez pauz, żeby uniemożliwić słuchaczom zakończenie rozmowy.

A teraz ma coś naprawdę wyjątkowego do przekazania. Coś, co rzeczywiście zainteresuje sąsiadów, a szczególnie mieszkańców Piilijärvi. Policja podejrzewa, że Wilma i Simon zostali zamordowani. Rozmawiali z Hjörleifurem, który może wie więcej, niż mówi. Göran Sillfors dzwoni ze świeżą wiadomością do byłego kolegi z pracy kuzyna, który mieszka w wiosce.

Nie ma pojęcia, jak bardzo brzemienne w skutki będzie ta rozmowa.

Odłożywszy słuchawkę, były kolega z pracy kuzyna natychmiast się ubiera i rusza do najbliższego sąsiada.

Słowo płynie jak woda pod przedwiosennym śniegiem.

Anna Maria i Rebeka wróciły do komendy o wpół do pierwszej.

– Chętnie bym poszukała tych drzwi na jeziorze – powiedziała policjantka, kiedy wysiadały z samochodu. – Ale musimy poczekać. Lód jest już zbyt kruchy, mimo że ma prawie pół metra. Chwila moment i wpadasz do wody. Ciekawe, czy Krister Eriksson potrafiłby namówić Tintin do szukania drzwi?

– Z pewnością – odpowiedziała sobie sama. – Myślę, że ten pies każdego ranka gotuje mu owsiankę.

– Co się stało z jego twarzą? – spytała Rebeka.

– Nie wiem. Ale z tego, co słyszałam, choć nie od niego...

Urwała w pół słowa i zatrzymała się.

Rebeka podążyła za jej spojrzeniem i ujrzała braci Krekulów siedzących w samochodzie na parkingu. Na widok kobiet wysiedli z auta i ruszyli w ich kierunku. Anna Maria poczuła, jak strach i gniew ściskają jej żołądek. Pomyślała o córce.

– Chciałem tylko powiedzieć – zwrócił się do niej Tore Krekula – że wybieramy się do pani szefa, żeby z nim porozmawiać o tym, jak policja szykanuje mieszkańców Piilijärvi.

– W jaki sposób...

– Chodzi o wasze nastawienie – nie pozwolił jej dokończyć Tore. – Płaczesz się, kobito, po wsi i udajesz ważniarę, a ludzie czują się oskarżeni i szykanowani. Wielu z nas tak się czuje. I wielu z nas przekaże to twojemu szefowi.

– Proszę bardzo, przekazujcie – odparła Anna Maria, wbijając wzrok w mężczyznę.

– Sporo pan ostatnio esemesował?

– Dosyć – powiedział niespiesznie, odwzajemniając spojrzenie.

Żadne z nich nie spuściło oczu.

W końcu Rebeka ujęła ramię policjantki.

– Chodź.

Popatrzyła na Hjalmara Krekulę.

Ten położył dłoń na ramieniu brata.

Rebeka i Hjalmar stali naprzeciw siebie jak właściciele psów; każde ze swoim pitbuliem na smyczy.

Anna Maria pozwoliła się odwieść. Tore szybkim ruchem strząsnął rękę brata.

– To co, jedziemy? – spytał Hjalmar.

Tore splunął w śnieg.

– Kurwa! – krzyknął za policjantką znikającą w drzwiach.

Wyciągnął z kieszeni dzwoniący telefon, odebrał i słuchał przez jakiś czas w milczeniu.

– Tak, jedziemy. W odwiedziny do Hjörleifura Arnarsona.

JESTEM PRZY ANNI, która opierając się o fińskie sanki, dotarła nad sam brzeg jeziora. Słońce chowa się za wierzchołkami drzew. W ciągu dnia mocno się ociepliło i teraz nad zamarznąłą wodą snują się nierzeczywiste mgły.

Gdzieś w oddali krzyczy zając. Brzmi niemal jak niemowlę. Upiorny płacz przedziera się przez mgłę. W okresie godowym zające zapominają o ostrożności. Pewnie jeden z nich padł teraz ofiarą lisa.

Niektórzy płacą życiem za miłość, myśli Anni.

W tej samej chwili zdaje sobie sprawę, że ktoś stoi za jej plecami.

Kerttu Krekula też ma ze sobą sanki. Zatrzymuje się obok siostry i spogląda na jezioro.

– Nie rozmawiaj z policją – mówi. – Nie wpuszczaj ich do domu.

Anni milczy. Próbuje się między nie wcisnąć. Ale siostry łączy tyle nici, tyle

wieżów.

Anni nie odwraca głowy. Spogląda na Kerttu oczami duszy. Kobieta, na którą patrzy, jest młoda i gładka. Jakby nie minęło ponad sześćdziesiąt lat.

Jest maj 1943 roku. Kerttu chodzi po domu z głową w papilotach i czeka na Isaka, który obiecał po nią przyjechać swoją ciężarówką. Ma zaledwie szesnaście lat i dużo wody upłynie, zanim przyjdzie jej opłakiwać zaginionego w lesie syna. Dwudziestodwuletni Isak Krekula jest właścicielem firmy transportowej. Ma osiem samochodów ciężarowych i zatrudnia własnych pracowników. Od dłuższego czasu jest dumą wioski. Zaopatruje wojska fińskie oraz niemieckie. Woził towary do Finlandii podczas wojny zimowej, wozi je również podczas kolejnej wojny radziecko-fińskiej, zwanej kontynuacyjną.

Wraca do wsi pełen awanturnicznych opowieści. Przesiaduje w kuchniach u sąsiadów, zapewnia, że „sprawa Finlandii jest naszą sprawą”, i może nawet trochę się puszy, jasne, ale raczej nikt nie bierze mu tego za złe. Sąsiedzi gotują prawdziwą kawę, wyciągają coś do niej ze spiżarni i śmieją się, gdy Isak opowiada, jak żartując z fińskimi i szwedzkimi żołnierzami, podtrzymuje ich na duchu; mówi oczywiście płynnie dwoma językami, tak jak wszyscy we wsi. „Przyjechałem do Kuusamo. Ożeż, kurna, jacy byli zmarznięci ci chłopcy. I głodni! Mówię im: Teraz to chyba Ruskim dupy podmarzają, no nie? A słyszycie, *perkele*^[7], jak im kiszki marsza grają? I wszyscy w śmiech. A potem wyładowaliśmy żarcie, tytoń i broń. No mówię wam, łyzy w oczach mieli”.

Mieszkańcy wsi siedzą przy radiu i słuchają wiadomości z frontu, kobiety robią na drutach swetry, rękawice i skarpety dla ochotników, a robota pali im się w rękach. Posyłają ubrania przez Isaka, bo przecież miło im później usłyszeć, że mężczyźni, którzy omal się nie pobili o te swetry, pozdrawiają i dziękują serdecznie. „Pytali też, czy następnym razem nie przywiozę im kilku słodkich panien na wydaniu”.

Na ochotników czekają w Szwecji parady oraz przyjęcia w ratuszach i kościołach.

Isak ma kieszenie pełne pieniędzy. Wojenne transporty przynoszą mu zyski. Firma się rozrasta. Do zimy 1943 roku nikt nie okazuje mu zawiści.

Aż wojenne szczęście odwraca się od Niemców pod Stalingradem. Szwedzki minister spraw zagranicznych, Günther, który uważał, że Szwecja powinna pójść

drogą Finlandii, nagle nie ma racji. Szwedzi podporządkowują się aliantom. Sprawa Finlandii nie jest, kurde, naszą sprawą. Finowie to niemieckie pachołki.

Teraz na widok ochotników ludzie milkną i odwracają głowy. Isak nie przestaje jeździć za granicę, ale sąsiedzi nie zapraszają go już na kawę. Na wyprawę do Finlandii zabiera ze sobą Kerttu, od kilku lat wybrankę swego serca. Nigdy nie spotkał piękniejszej. A ona wdzięczy się przed lustrem i zaniedbuje domowe obowiązki tak często, że Anni ma ochotę jej przyłożyć. Isak prawie nigdy nie wchodzi się przywitać, czeka przy samochodzie na drodze. Ojciec Kerttu ucieka wzrokiem i chrząka coś, zakłopotany, kiedy córka żegna się pospiesznie i wybiega z domu. Matti utrzymuje rodzinę z rybołówstwa i uprawy kawałka ziemi. Jest biednym człowiekiem i pali go wstyd, gdy Kerttu wraca do domu z kolejnym prezentem od Isaka. Z nową sukienką, nowym szalem, pachnącym mydełkiem. W porównaniu z nią Anni i matka wydają się bezbarwne i zmęczone. Gdyby mu się lepiej powodziło, może Kerttu nie byłaby tak bezmyślnie zakochana? Ale co on może na to poradzić?

Kerttu chodzi po wsi z podniesioną głową i nie przejmuje się tym, co mówią ludzie. Nie mówią zresztą dużo, bo niektórzy tutejsi mężczyźni pracują u Isaka jako kierowcy, paru innych buduje mu nowy garaż i niezależnie od sytuacji z czegoś muszą żyć.

Ale Anni wie, że cała wieś wzięła siostrę na języki. Pewnego dnia najmłodsza córka sąsiadów, u których właśnie przebywa Anni, dostrzega Kerttu przez okno i zaczyna śpiewać: „Chcesz zobaczyć gwiazdę, na mnie spójrz”. Siostra dziewczynki natychmiast ją ucisza i posyła Anni spojrzenie pełne wstydu, choć nie pozbawione przekory. Nie przeprasza. Anni się domyśla, że ten szlagier często jest śpiewany za plecami Kerttu.

Zarah Leander popada w niełaskę, znieawidzona z powodu kariery w nazistowskich Niemczech. Karla Gerharda zaś znów można słuchać w radiu. Powiał wiatr z innej strony. Kerttu jest lokalną odpowiedniczką wielkiej Zarah Leander.

Te wszystkie nici wiążące siostry. Anni ma ponad osiemdziesiąt lat, Kerttu niedługo skończy osiemdziesiąt, a ciągle nie mogą się zdobyć na rozmowę o tym, co myślą i czują. W końcu Anni oznajmia, że będzie się zbierać. Wtedy Kerttu odwraca sanki i rusza do domu.

Anni stoi jeszcze chwilę, wpatrzona w mgłę. Nagle wyczuwa moją obecność.

– Wilma! – mówi głośno.

Jakże chciałabym jej dotknąć! Przypominam jej o tym, jak kąpałyśmy się w jeziorze. Jak odważyła się zanurkować. Jak parszkając, wychodziła z wody.

„Nie wiedziałam, że jeszcze potrafię! – wołała radośnie. – Dlaczego człowiek przestaje robić pewne rzeczy tylko dlatego, że jest stary?”

Odkrzyknęłam:

„Ja tam nie przestanę! Będę pływać, aż dobieję do dziewięćdziesiątki!”

Później w kuchni, kiedy owinięte w ręczniki, siedziałyśmy przed rozgrzanym piecem, Anni odezwała się do mnie ze śmiechem:

„Skończysz więc z pływaniem w dziewięćdziesiąte urodziny. A właściwie dlaczego?”

Teraz nie może powstrzymać łez, kiedy z mozołem zawraca, by podreptać do domu. Ja sunę dalej.

Siedzę na skraju stołu sekcyjnego i przyglądam się samej sobie.

Medyk sądowy przez cały dzień był w podłym nastroju. Złościł się, że jeszcze raz musi przeprowadzić sekcję moich zwłok. Tydzień temu wyglądałam całkiem znośnie. Teraz, wyjęta z wody, zsiniałam i napuchłam. Ciało rozpada się na kawałki.

Kiedy lekarz rozcina moją prawą dłoń, jego kiepski nastrój ustępuje jak ręką odjął. Zaczyna nawet coś nucić. Co za głos! Brzmi jak pocierane o siebie kamienie.

Ściąga rękawiczki i chwyta za telefon. Prosi o połączenie z Anną Marią Mellą. Najpierw tłumaczy jej, jakim cholernym zadaniem była ponowna sekcja zwłok, i prosi, by w przyszłości nie omieszkali go poinformować, że podejrzewają coś więcej niż nieszczęśliwy wypadek, żeby wiedział, czego ma szukać. Słyszę cierpliwy głos policjantki po drugiej stronie. Lekarz zrzędzi i narzeka. Ale w końcu nie może się powstrzymać. Musi jej powiedzieć o dłoni.

– Pomyślałem, że może cię to zainteresuje – mówi i słysząc jej nabożne milczenie, robi efektowną pauzę, by po chwili zacząć kaszleć i odchrząkiwać, czym niemal doprowadza komisarz do szału.

– Chrr, chrr... Dziewczyna ma złamaną piątą kość śródreczą... Tak, chodzi o kość

między małym palcem a nadgarstkiem. Pospolite obrażenie obronne... Owszem, mogło powstać w ten sposób... że uderzyła ręką w drzwi...

Muszę stąd wyjść. Nie mam siły tego oglądać. Jeszcze nie tak dawno moja skóra była pełna życia i sprężysta. Miałam fantastyczne piersi. Myślę o tym, jak Simon mnie obejmował. Jak stojąc za plecami, całował mnie w ucho i szyję. Pamiętam jego ręce błądzące pod ubraniem. Te słodkie odgłosy pożądania. Mówiliśmy do siebie: „mm” i dokładnie wiedzieliśmy, o co chodzi.

Nie mam ciała. Ta spuchnięta i rozpadająca się góra mięsa oświetlona jarzeniówkami nie jest moim ciałem.

Czuję się potwornie samotna.

Hjörleifur Arnarson też jest samotny. Stoję przed jego domem. Pies wyczuwa mnie. Patrzy uparcie w moją stronę. Jeży sierść i skomle niespokojnie.

Zdarza się, że Hjörleifur nie rozmawia z ludźmi tygodniami. Nie żeby mu tych rozmów brakowało. Myśli naturalnie dużo o kobietach, choć minęło ponad trzydzieści lat, odkąd był z jakąś. Marzy o miękkiej kobiecej skórze i krągłych kształtach. Ale w lesie prowadzi dzikie, niepokorne życie. Latem wędruje nago i sypia pod gołym niebem. Codziennie kąpie się w Vittangijärvi, niezależnie od pory roku.

Nie widział nas w dniu naszej śmierci. Gdy pojawił się nad jeziorem, nie żyliśmy od ponad dwóch godzin. Mnie już tam nie było. Zastanawiała go oczywiście przerębla, stanowczo za duża do połowu ryb spod lodu. Pomyślał, że może ktoś kąpie się zimą, podobnie jak on. Ale dlaczego akurat na samym środku jeziora? A do tego w przerębli pływały resztki połamanych drzwi; nie potrafił tego ułożyć w spójną całość.

Później znalazł nasze plecaki. Nie ulegało wątpliwości, że w pobliżu są jacyś ludzie, którzy z pewnością po nie wrócą. Czekał dość długo. Pogrzebał trochę w środku, ale nic nie zabrał. Był po prostu ciekawy i miał ochotę z kimś porozmawiać. Oczywiście nikt nie przyszedł.

Kiedy wrócił następnego dnia, żeby się wykąpać, plecaki leżały na swoim miejscu. Kolejnego dnia – również. Trzeciego zasypał je śnieg. Dopiero wtedy Hjörleifur postanowił wziąć je ze sobą do domu.

Teraz wchodzi na poddasze i wyciąga je ze schowka. Wtedy, jesienią, zamknął je

porządnie, żeby myszy nie pozostawiały w środku bobków.

Plecaki należą na pewno do tych młodych ludzi, o których mówiła policjantka, myśli. Jutro odda jej obydwą, pokaże, gdzie je znalazł, i opowie o połamanych deskach w przerębli; to jak nic resztki tych drzwi, o które pytała.

Ale zanim to zrobi, chce z plecaków powyjmować kilka rzeczy. W jednym leży świetny, zupełnie nowy kocher, a w drugim – duży wełniany sweter z przeciwwiatrową podszewką. Hjörleifur nigdy nie miał takiego pięknego swetra. Zmarli nie potrzebują rzeczy, można je więc wziąć, przekonuje samego siebie.

Znosi plecaki na dół. O wiele przyjemniej siedzieć w kuchni niż na wychłodzonym pięttrze. Tutaj ogień trzaska w piecu, dając miłe ciepło.

Hjörleifur przegląda zawartość plecaków i jest tak zajęty wybieraniem rzeczy, które chce zachować dla siebie, że nie słyszy odgłosu skutera zbliżającego się do zagrody.

Nie przejmuje się szczekaniem psa. Stara, poczciwa sunia obszczekuje przecież od czasu do czasu wszystko, co się rusza. Wiewiórkę. Lisa. Albo spadający z dachu śnieg. Głuptas z niej.

Dopiero odgłos zamykanych drzwi i ciężkich kroków w sieni uświadamia mu, że ma gości. W kuchni stoi dwóch mężczyzn.

– No proszę – odzywa się jeden. – Ponoć była u ciebie policja.

Hjörleifur patrzy na przybyszy. Czuje instynktownie, że powinien uciekać. Ale przecież nie ma dokąd.

Mówi tylko jeden z nich. Drugi, wysoki i gruby, milczy. Stoi oparty o framugę drzwi.

– Co im powiedziałaś? O co cię pytali? Mów!

Hjörleifur chrząka.

– Pytali o dwoje młodych ludzi, którzy tu gdzieś zaginęli. Czy byli nad jeziorem. Czy coś zauważyłem.

– A zauważyłeś? Co im powiedziałaś?

Hjörleifur nie odpowiada. Ciągłe klęczy przy plecakach.

I dopiero teraz Tore je dostrzega. Dwa solidne plecaki z kolorowego, syntetycznego materiału, z pewnością nie należące do gospodarza. Ten zadowala się bowiem starociami z demobilu, a całe mnóstwo rzeczy robi sam, na przykład szyje ze skóry,

którą wcześniej własnoręcznie wygarbował.

– Znalazłeś je nad jeziorem – mówi Tore, nie odrywając płonących oczu od plecaków. – Prawda? Ty skurwielu, tak czy nie?

– Nie myślałem... – próbuje wyjaśnić Hjörleifur. – Nikt się po nie...

Nie zdąży powiedzieć więcej. Tore Krekula łapie za kawał drewna ze stosu przed piecem. Chwyta go obiema rękami jak podbijak i z całej siły uderza Hjörleifura w potylicę.

Słyszę trzask pękającej czaszki. Huk ciała, które upada na podłogę. Słyszę, jak las wstrzymuje oddech z przerażenia. Ziemia drży i dygocze pod przelaną na niej krwią.

Suka Hjörleifura zamiera ze zjeżoną sierścią. Po chwili kładzie się na śniegu. Nie wejdzie do środka, chociaż bracia nieostrożnie zostawili otwarte drzwi.

Całą okolicę czuć śmiercią. Brzozy kręcą się niespokojnie. Ptaki nawołują. Tylko nornice, niczego nie podejrzewając, biegają pod śniegiem. Dla nich to sprawa bez znaczenia.

Ja też czuję się dziwnie oziębła i nieporuszona. Ale może byłam taka również wtedy, gdy żyłam?

Hjalmar Krekula prostuje się przy framudze.

– To było przecież cholernie niepotrzebne – mówi.

Nogi Hjörleifura podrygują lekko, kiedy wypływa z niego życie.

– Nie zachowuj się jak baba – odpowiada Tore. – Załóż rękawiczki. Musimy tu trochę przemeblować.

WTOREK, 28 KWIETNIA

– **DLACZEGO, KURDE**, nie odpowiadasz, kiedy dzwonię?

Niezadowolony głos Månsa Wenngrena w słuchawce.

Rebeka Martinsson podjechała na krześle do drzwi i zatrzasnęła je nogą.

– Przecież dzwonię – odparła.

– Wiesz, o co mi chodzi. Próbowałem skontaktować się z tobą przez komórkę i... nie lubię, jak się mnie zrzuca.

– Przecież jestem w pracy – tłumaczy cierpliwie Rebeka. – Ty zresztą też, Måns. Czasami, kiedy telefonuję...

– Ale wtedy oddzwaniam tak szybko, jak to tylko możliwe.

Rebeka milczała. Fakt, miała zadzwonić. Ale później wypadło jej to z głowy. Albo zabrakło sił. Musiała zostać dłużej w pracy, ponieważ przed południem była z Anną Marią u Hjörleifura Arnarsona. Później Sivving zaprosił ją na kolację, a kiedy wróciła do domu, padła na łóżko i momentalnie zasnęła. Powinna była zadzwonić i opowiedzieć o Hjörleifurze. O tym, jak biegał nago po lesie i chciał jej podarować ekologiczne jajka, które wzmagają płodność. To by z pewnością Månsa rozśmieszyło.

– Nie rozumiem – ciągnął. – Chcesz się pobawić? Raz bliżej, raz dalej? No to powiedz. Jestem cholernie dobry w te klocki.

– Nie interesują mnie takie zabawy. Przecież wiesz.

– Nic nie wiem. Myślę, że pogrywasz sobie w *power game*. Ale wiesz co? Taka gra o władzę słabo na mnie działa. W rezultacie tylko stoję się oziębły.

– To nie tak, wybacz mi. Naprawdę nie interesują mnie... Jesteś kochany.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Przeprowadź się tutaj – powiedział w końcu Måns ściszym głosem. – Jeśli uważasz, że jestem kochany.

– Nie mogę. To też wiesz.

– Dlaczego nie? Mogłabyś zostać współudziałowcem kancelarii, Rebeko. Marnujesz się tam na północy w prokuraturze. A ja nie mogę się przeprowadzić do Norlandii.

– Wiem.

– Chcę być z tobą – powiedział.

– A ja z tobą – odparła. – Czy wszystko nie może zostać tak jak teraz? Przecież spotykamy się dość często.

– Na dłuższą metę tak się nie da.

– Dlaczego nie? Wielu ludziom udaje się żyć w ten sposób.

– Ale ja tak nie potrafię. Chcę cię mieć blisko cały czas. Chcę się budzić obok ciebie każdego ranka.

– Gdybym miała pracować u Meijera & Ditzingera, to i tak prawie nigdy byśmy się nie widzieli.

– Przestań!

– Ale to prawda. Wymień choć jedną kobietę w biurze, która żyje w udanym związku.

– No to zacznij pracować w sztokholmskiej prokuraturze. Nie, to ci oczywiście też nie odpowiada. Zdaje się, że najbardziej pasuje ci związek na dystans. A telefony odbierasz według własnego widzimisie, tylko wtedy gdy nie masz w planie nic ciekawszego. Przecież ja nie mam pojęcia, co robiłaś wczoraj wieczorem.

– Daj spokój. Jadłam kolację u Sivvinga.

– Tak mówisz?

Nagle w uchylonych drzwiach gabinetu ukazała się głowa Anny Marii. Rebeka wskazała na telefon i pokręciła głową, sygnalizując, że jest zajęta. Ale policjantka nie dała za wygraną, podeszła do biurka i na pierwszej lepszej kartce napisała dużymi literami: HJÖRLEIFUR ARNARSON NIE ŻYJE!!!

– Muszę kończyć – przerwała Månsowi Rebeka. – Coś się stało. Zadzwoń później.

– Nie trudź się – powiedział. – Nie będę ci się narzucał.

Odczekał jeszcze sekundę, jakby z nadzieją, że Rebeka coś powie.

Ale ona milczała.

Zakończył więc rozmowę.

– Problemy z facetem? – spytała Anna Maria.

Rebeka się skrzywiła, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, policjantka zaproponowała:

– Wiesz co? Olejmy na chwilę facetów. Dwie minuty temu dowiedziałam się od Sonii w centrali, że Göran Sillfors znalazł martwego Hjørleifura Arnarsona. Sven Erik i Tommy Rantakyrö są już na miejscu. Ciekawe, dlaczego do mnie nie zadzwonili, kurza dupa, ale nie mam zamiaru się tym teraz przejmować.

Sven Erik z pewnością się wkurzy, pomyślała. Będzie kwaśny jak diabli, kiedy się dowie, że byliśmy tam wczoraj, a on nic o tym nie wiedział.

Wilma Persson została pochowana 28 kwietnia przed południem. Żałobnicy stali wokół grobu. Hjalmar Krekula rozglądał się dokoła. Rano nie musiał wyciągać z szafy swojego ciemnego garnituru. Wiedział, że wyrósł z niego wiele lat temu.

Stał przed lustrem w łazience i goląc się, rozmyślał, że temu wszystkiemu nie podoła. Nie wytrzyma tak dłużej.

Później skroił cały bochenek chleba. Posmarował grubo masłem. Jadł na stojąco przy kuchennym blacie. W końcu się uspokoił. Serce przestało mu walić młotem.

Teraz, stojąc przy trumnie spuszczonej do grobu, nie czuł się zbyt komfortowo w bojówkach i kurtce; dobrze, że starczyło mu rozumu, by nie włożyć kurtki roboczej. Obok niego zebrała się spora grupa młodych ludzi. Każdy z czerwoną różą w dłoni. Kwiaty za chwilę miały spocząć na trumnie. Te wszystkie czarne ubrania i kolczyki w brwiach, uszach i wargach, ten czarny makijaż wokół oczu; nic nie zdołało ukryć gładkich twarzy i krągłych policzków.

Jacyż oni młodzi, pomyślał. Wszyscy tacy młodzi. Wilma też.

Z prochu powstałeś.

Ze Sztokholmu przyjechała matka Wilmy. Głośno płakała. Krzyczała raz za razem: „O Boże!”. Po jednej stronie trzymała ją pod ramię siostra, po drugiej – kuzynka.

Anni stała z zaciśniętymi ustami jak zeschnięty jesienny liść. Jej smutek tutaj się nie mieścił. Matka Wilmy wypełniła całą przestrzeń donośnym płaczem i przeraźliwym zawodzeniem. Hjalmara ogarnęła złość, właśnie ze względu na Anni. Chciałby wyprowadzić stąd tę krzykaczkę. Żeby Anni też mogła zapłakać.

A Wilma leżała w trumnie.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Musi stąd odejść. Zanim on też zacznie krzyczeć przy ludziach.

Jeszcze nie tak dawno jej policzki były równie krągłe jak u tych dziewcząt, które stały nieopodal i trzymały się za ręce. Nie miał odwagi na nie spojrzeć. Wiedział, co wyraziłyby ich oczy, gdyby spotkały jego wzrok: obleśny, tłusty, perwersyjny.

Jeszcze tak niedawno Wilma siedziała u niego w kuchni. Jej włosy, tak samo rude jak u wszystkich kobiet w rodzinie – matki, babci, prababci Anni i jego własnej mamy, Kerttu – opadały po obu stronach twarzy, kiedy pochylona nad zeszytem, walczyła z równaniami. Wilma rozmawiała z nim jak... no... jak z każdym innym człowiekiem.

Później...

Jej ręce tłukące w łód pod jego stopami, tam na jeziorze.

Teraz waliła rękami w wieko trumny. W środku jego czaszki.

To wkrótce minie, pocieszał się. Przecież nic po mnie nie widać.

Po ceremonii pogrzebowej, w trakcie stypy, pochłonął kilka ogromnych kawałków tortu kanapkowego. Widział oczywiście, jak ludzie na niego patrzą. Wiedział, co myślą. Powinien się ograniczać, nic dziwnego, że jest taki gruby.

Niech sobie patrzą, pomyślał, wkładając do ust kilka kostek cukru. Rozgryzł je na miazgę, poczuł roztapiającą się słodycz. Jedzenie łagodziło ból i przynosiło ulgę. Przywracało mu spokój.

KOMISARZ TOMMY RANTAKYRÖ siedział w kucki na podwórzu przed domem Hjörleifura Arnarsona i głaskał psa, kiedy Anna Maria i Rebeka parkowały skuter kawałek dalej.

Wstał i wyszedł im na spotkanie.

– Za nic nie chce się stąd ruszyć – powiedział, wskazując głową sukę zmarłego.

Anna Maria odnotowała z niezadowoleniem, że koledzy zostawili swój pojazd przed samym gankiem.

– Odjedź skuterem trochę dalej – poleciała krótko Tommy’emu. – Musimy ogrodzić

teren, żeby technicy mogli zabezpieczyć ślady. Ile osób dotknęło klamki u drzwi wejściowych?

Tommy wzruszył ramionami.

Anna Maria wkroczyła do środka.

Rebeka podeszła do psa.

– Dzień dobry, dziewczyno – powiedziała miękko i pogłaskała sukę po piersi. – Nie możesz tutaj zostać, wiesz?

– Będziemy ją musieli uspić – odezwał się Tommy.

No, pewnie tak, pomyślała Rebeka.

Pieściła jej miękkie, trójkątne uszy; jedno stojące, drugie lekko załamane. Gładziła czarną sierść z białymi znaczeniami i niewielką łatką wokół oka.

– Co z ciebie za mieszaniec? – zastanawiała się głośno.

Suka polizała kilka razy powietrze, sygnalizując, że jest życzliwie nastawiona. Rebeka wysunęła język i oblizała kąciki ust. Ona też nie miała złych zamiarów.

– Poznajesz mnie? – spytała. – No jasne, że mnie poznajesz.

A po chwili usłyszała siebie mówiącą do Tommy'ego:

– Myślę, że te mądre ślepia ma po border collie; widzisz to bystre spojrzenie? Wcale nie czuje się zagrożona, mimo że patrzę jej w oczy. Prawda, dziewczyno? I grzeczna jak labrador, nie? Nie usypiajcie jej. Zajmę się nią. Jeżeli jakiś krewny Hjörleifura będzie chciał ją przygarnąć, to wiecie, gdzie jej szukać, a jeżeli nie, to...

Måns raczej się nie ucieszy, pomyślała.

– OK – powiedział Tommy z radością i wyraźną ulgą. – Ciekawe, jak się wabi.

– Vera. Tak wczoraj powiedział.

– Aha. Czyli to ty byłaś tu wczoraj z Mellą? Sven Erik jest trochę wkurzony. Zresztą nie dziwię mu się.

Sven Erik rozmawiał w kuchni z Göranem Sillforsem.

Hjörleifur leżał na plecach przed spiżarnią. Obok niego – przewrócona drabinka kuchenna. Szafka pod sufitem była otwarta. Na podłodze stały dwa plecaki.

– Noż, kurwa! – wybuchła Anna Maria, wchodząc do środka. – Przecież nie możecie zadeptywać śladów. Technicy dostaną szału. Musimy ogrodzić teren.

– Przyszłaś tutaj, żeby mnie pouczać? – fuknął Sven Erik.

– Jasne, wolałbyś, żebym w ogóle się tutaj nie pojawiła – odpowiedziała opryskliwie Anna Maria. – Przychodzę do pracy i dowiaduję się o Hjörleifurze od Sonii w centrali.

– A ja się dowiaduję, że byłaś tutaj i przesłuchiwałaś Hjörleifura, od Görana Sillforsa. I to jest w porządku, tak? Nie przyszło ci do głowy, żeby wspomnieć o tym kolegom na wczorajszej naradzie?

Göran Sillfors patrzył to na niego, to na nią.

– Hjörleifur zadzwonił do mnie wczoraj, po tym jak u niego byliście – wyjaśnił przeprasząc. – Sprezentowałem mu telefon komórkowy na kartę. On uważa, że korzystanie z takich urządzeń to pewna śmierć...

Umilkł i spojrzał na Hjörleifura, który leżał martwy na podłodze.

– Oj, przepraszam. Czasem coś się wypnie... W każdym razie nie chciał używać telefonu. Powiedziałem mu, że pewnego pięknego dnia złamie nogę i będzie potrzebował pomocy, a telefon przecież nikomu nie szkodzi, jak leży wyłączony w szufladzie. W OnOffie mieli akurat specjalną ofertę, nie kosztował więc dużo. Nieraz jak człowiek kupuje telefon, to dadzą mu rower albo jakiś inny prezent, chociaż wtedy oczywiście trzeba wykupić abonament. Ale pomyślałem, że warto wydać te parę groszy, żeby pomóc bliźniemu. Poza tym dostawaliśmy od niego miód i olejek przeciwko komarom. Nie sądzę, żeby ten olejek... No, w każdym razie wczoraj z niego skorzystał, to znaczy z telefonu; zadzwonił i zdał relację z waszej wizyty. Chciał wiedzieć, co powiedzieliśmy policji, musiałem go uspokajać. A co państwo mu powiedzieliście? Dzisiaj rano pomyślałem, że pojadę do niego, zobaczę, czy odzyskał spokój. Chciałem się upewnić, czy zrozumiał, że nic na niego nie nagadaliśmy. Pies leżał przed domem, drzwi były otwarte. Od razu wyczułem, że coś się stało.

– Technicy nie mają tu nic do roboty – stwierdził Sven Erik. – Przecież to oczywiste, co się tutaj wydarzyło.

Podniósł pierwszy plecak z brzegu i pokazał Annie Marii nalepkę po wewnętrznej stronie klapy; widniała na niej: „Wilma Persson”.

– Jeden stał na podłodze, drugi leżał tam na górze.

Wskazał na szafkę nad spizarnią.

– Zabił ich. Zabrał im plecaki – mówił dalej. – Wystraszony twoimi wczorajszymi pytaniami, postanawia się ich pozbyć. Wchodzi na górę, żeby je wyjąć z szafki, spada z drabiny, uderza się w głowę i umiera.

– Dziwne miejsce na przechowywanie plecaków – skomentowała komisarz Mella, przyglądając się szafce pod sufitem. – Ciasne i niewygodne. To nie w jego stylu. To się zupełnie nie trzyma kupy.

Sven Erik patrzył na Annę Marię tak intensywnie, jakby chciał ją odwrócić do góry nogami i wytrzepać. Wąsy stanęły mu dęba.

– Daj spokój! – powiedział. – Postępowanie przygotowawcze możemy umorzyć od razu.

Anna Maria wyprostowała się.

– Wynoś mi się stąd! – nie wytrzymała. – Jestem twoją przełożoną. To jest przypuszczalne miejsce zbrodni. Technicy zrobią badanie kryminalistyczne, a później pałeczkę przejmie Pohjanen.

Po południu komisarz Mella pojawiła się w drzwiach sali sekcyjnej. Odnotowała zirytowane spojrzenie technika, Anny Granlund. Ta kobieta bardzo nie lubiła, gdy ktoś nachodził i męczył jej szefa.

Sposób, w jaki troszczyła się o Larsa Pohjanena, przywodził Annie Marii na myśl opiekę nad zawodnikami sumo. Bynajmniej nie dlatego, że wymizerowany i poszarzały lekarz pod jakimś względem przypominał japońskiego zapaśnika, ale tak w ogóle. Anna Granlund dbała o to, żeby zjadł lunch, dzwoniła do jego żony z informacją o aktualnych podróżach służbowych, a kiedy zasypiał na kanapie w pokoju wypoczynkowym dla personelu, przykrywała go pledem i wyjmowała mu z ręki rozżarzonego papierosa. Przejmowała tyle jego obowiązków, ile tylko mogła. I nie pozwalała, żeby ktokolwiek go stresował i wyprowadzał z równowagi.

„Ma się zajmować tym, w czym jest najlepszy, i nie przejmować się niczym innym”, zwykła mawiać.

Ani słowem nie komentowała jego palenia. Cierpliwie wsłuchiwała się w rzęzący oddech i przeczekiwała kolejny gwałtowny atak kaszlu. Zawsze miała pod ręką chusteczkę do nosa, którą podawała mu, gdy musiał wykrztusić flegmę.

Anna Maria Mella zupełnie nie brała takich rzeczy pod uwagę. Jeśli człowiek chciał

mieć wyniki, to musiał naciskać. Przypominać, ponaglać, mękolić. Jeżeli jakiś podejrzany zgon następował w weekend, Anna Granlund wolała poczekać z sekcją zwłok do poniedziałku. I nigdy nie chciała, żeby Pohjanen pracował wieczorami. Czasami o takie rzeczy się sprzeczali.

„Musimy ich nauczyć, że przyznanie pierwszeństwa policji w Luleå ma swoją cenę – tłumaczyła Anna Maria kolegom. – Jeżeli dadzą im priorytet, to nie będą mieli lekko”.

– Czego znów chcesz? – spytał opryskliwie Pohjanen.

Stał pochylony nad żyłastym ciałem Hjörleifura Arnarsona. Z otwartej jamy czaszki uwolnił mózg i położył go na metalowej tacy na stoliku obok.

– Chcę się dowiedzieć, jak ci idzie – odparła policjantka.

Ściągnęła czapkę i rękawiczki, weszła do środka. Anna Granlund skrzyżowała ręce na piersiach, przemilczając tysiąc słów. Zimno jak zwykle. Zapach mokrego betonu, stali i martwych ciał.

– Nie sądzę, żeby to był wypadek – powiedziała Anna Maria, wskazując głową zmarłego.

– Spadł z kuchennej drabinki, słyszałem – oznajmił Pohjanen, nie podnosząc wzroku.

– Kto tak powiedział? – spytała Anna Maria zirytowanym głosem. – Sven Erik?

Lekarz wyprostował się i spojrzał na nią.

– Ja też nie sądzę, że chodzi o nieszczęśliwy wypadek. Uszkodzenia mózgu wskazują na gwałtowny uraz czaszki, który nie został spowodowany upadkiem.

Anna Maria wzmogła czujność.

– Może uderzeniem? – zapytała.

– Prawdopodobnie tak. Przy upadku zawsze mamy do czynienia z urazem typu *contre coup*...

– Czy mogę zadzwonić po tłumacza? Wiesz, łaciną posługiwałam się w jakimś innym życiu...

– Jeżeli wysłuchasz mnie do końca, Mella, to może czegoś się nauczysz. Zacznijmy od tego, że mózg jest jakby zawieszony w skrzyneczce. W wyniku upadku prawie zawsze powstaje kontralateralne uszkodzenie tkanki mózgowej, czyli uszkodzenie po

stronie przeciwnej względem miejsca uderzenia. Tutaj tego nie ma. A poza tym w ranie znalazłem kawałeczek kory.

– Uderzenie szczapą drewna?

– Może. Co powiedzieli technicy?

– Mówią, że ktoś wytarł futrynę drzwi w kuchni; to widać wyraźnie, cała jest bardzo brudna i nagle w jednym miejscu niezmiernie czysta, akurat na tej wysokości, na której człowiek położyłby rękę, gdyby się opierał...

Przerwała. Przypomniała sobie Hjalmara Krekulę, stojącego w drzwiach kuchni Kerttu Krekuli.

– No i? – zapytał Lars Pohjanen.

– Wygląda na to, że zwłoki zostały przeniesione. Arnarson miał na sobie niebieski kombinezon roboczy. Plecy kombinezonu były wyraźnie przesunięte w stronę karku, co może świadczyć o tym, że ciągnięto zmarłego za nogi. Ale to oczywiście nic pewnego. Sam wiesz. Może nie umarł od razu. Może próbował się podnieść. Może to w wyniku drgawek przedśmiertnych.

– Krew na podłodze?

– W jednym miejscu, wytarta.

Anna Maria przyglądała się Hjörleifurowi. To smutne, że nie żył, ale teraz przynajmniej było wiadomo, że chodzi o morderstwo. Teraz mogła odłożyć na bok wszystkie inne dochodzenia i poświęcić się wyłącznie temu. Sven Erik nie będzie zachwycony. Okazało się, że to ona miała rację. On zaś deptał po śladach w miejscu zbrodni. Technicy kryminalni byli cholernie poirytowani.

Ale przecież to nie ja ponoszę za to odpowiedzialność, pomyślała. A on niech sobie teraz pracuje nad czymś innym, jeśli ma ochotę.

Zasunęła zamek w kurtce.

– Muszę lecieć.

– Rozumiem. A dokąd...

– Do Rebeki Martinsson. Potrzebuję decyzji o rewizji mieszkania.

– Słuchaj, ta Rebeka Martinsson – zaczął Pohjanen z zaciekawieniem. – Co to za jedna?

Ale Anna Maria zdążyła już zniknąć za drzwiami.

W kiruńskiej komendzie policji Anna Maria streściła Rebecę Martinsson wstępne wyniki sekcji zwłok Hjörleifura Arnarsona. Obecni byli również Sven Erik Stålnacke, Fred Olsson i Tommy Rantakyrö.

U stóp Rebeki leżała Vera. Tommy przywiózł ją ze sobą, zostawił w gabinecie prokuratora i pogalopował do najbliższego sklepu po karmę dla psów. Vera nie chciała jeść, wypła tylko trochę wody i położyła się na podłodze.

À propos psów, pomyślała Rebeka, przyglądając się policjantom tłoczącym się w jej pokoju. Co za stado!

Anna Maria emanowała teraz zupełnie innym rodzajem energii niż ostatnim razem, gdy Rebeka ją widziała. Znowu była samicą alfa i zapalonym myśliwym. Nie ściągnęła nawet czapki, relacjonowała sprawę na stojąco. Fred Olsson i Tommy Rantakyrö machali żwawo ogonami. Pełni nadziei i zapału, wywiesili języki. Niecierpliwie szarpali za smycz. Tylko Sven Erik siedział apatycznie na krześle dla gości i patrzył w okno martwym wzrokiem.

– Poza tym dostaliśmy odpowiedź z SKL-u co do resztek farby za paznokciami Wilmy Persson. Odpowiadają farbie z drzwi Sillforsów. A tą samą farbą Göran Sillfors pomalował drzwi do drewnutni, czyli te, które im skradziono. Teraz więc z całą pewnością możemy stwierdzić, że ktoś przykrył drzwiami otwór w lodzie, pod którym nurkowali Simon Kyrö i Wilma Persson. Ci młodzi ludzie zostali zamordowani.

– Simon Kyrö w dalszym ciągu jest uważany za osobę zaginioną – wtrąciła się Rebeka.

– Jak chcesz. A odnośnie do Hjörleifura Arnarsona: potrzebne mi pozwolenie na rewizję u Hjalmara i Torego Krekulów.

Rebeka westchnęła.

– Nie mamy żadnych podstaw, aby przypuszczać, że... – zaczęła.

– No i co z tego? – wybuchła Anna Maria. – Nie mamy uzasadnionego przypuszczenia, że popełnili przestępstwo, ale przecież nie chcę ich zatrzymać ani aresztować. Podejrzewać możemy kogoś nawet wtedy, gdy na przykład... robił zakupy w tym samym konsumie co ofiara. No, nie wygłupiaj się, Martinsson. Björnfort nie robiłby z czegoś takiego problemu.

Prokurator rejonowy Alf Björnfort był przełożonym Rebeki. Obecnie pracował

głównie w Luleå, zostawiając sprawy w Kirunie na jej głowie.

– Ach tak? Tylko że teraz masz do czynienia ze mną, a nie z nim – odparła powoli Rebeka.

Fred i Tommy spuścili ogony. Polowanie odwołane.

– Próbowali mnie zastraszyć groźbami. Chcieli, żebym odstąpiła od dochodzenia – powiedziała Anna Maria.

– Nie potrafimy tego udowodnić – upierała się Rebeka.

– Zadzwoiłam do Görana Sillforsa. Przyznał się, że powiedział jednemu z mieszkańców Piilijärvi o naszej wizycie u Hjörleifura Arnarsona. Jednemu! Przecież to oczywiste, że jak wie jeden, to po chwili będzie wiedziała cała wieś! Informacja o tym, że rozmawialiśmy z Hjörleifurem, z pewnością dotarła do braci Krekulów. Myślę, że pojechali do niego zaraz po tym, jak się spotkaliśmy na parkingu.

– Ale tego nie wiemy – odparła Rebeka. – Jeżeli to udowodnisz... Jeżeli ktoś widział ich w pobliżu, albo chociażby w Kurravaarze, to dostaniesz zezwolenie.

– No nie... – jęknęła komisarz Mella.

Wszyscy członkowie stada, oprócz Svena Erika, spojrzeli błagalnie na Rebeke.

– Od razu złożono by na nas skargę do rzecznika sprawiedliwości – dodała prokuratorka. – A bracia Krekulowie byliby oczywiście zachwyceni.

– Nigdy ich nie złapiemy – powiedziała z niechęcią Anna Maria. – Będziemy mieli nowego Petera Snella.

Piętnaście lat wcześniej w sobotni wieczór zaginęła Ronja Larsson, trzynastoletnia dziewczynka, która po kilku godzinach spędzonych u koleżanek już nigdy nie wróciła do domu. Peter Snell był znajomym jej rodziców. Według zeznań przyjaciółki, Ronja opowiadała o tym, jak mężczyzna się do niej dobierał i że to było „ohydne”. Na drugi dzień po zniknięciu dziewczynki Peter Snell pojechał do lasu, oblał bagażnik benzyną i podpalił samochód. W trakcie przesłuchania nie przyznał się do zarzucanego mu przestępstwa, ale nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zniszczył własne auto.

„I wcale nie musi niczego wyjaśniać – Alf Björnfot powiedział wtedy Annie Marii. – Człowiek ma prawo spalić swój samochód, jeśli ma na to ochotę. To niczego nie dowodzi”.

Na próżno szukano śladów biologicznych wśród zwęglonych resztek. Ciało nigdy

nie odnaleziono. Sprawa została umorzona; policja nie była w stanie zrobić nic więcej. Znano mordercę, zabrakło jednak dowodów, żeby go oskarżyć. Peter Snell prowadził firmę pomocy drogowej. Policja w Kirunie, która wcześniej korzystała z jego usług, kiedy na przykład trzeba było odholować samochód po wypadku, po zakończeniu sprawy Ronii Larsson przestała z nich korzystać. Wówczas właściciel firmy zagroził policji sądem.

Rebeka stała w milczeniu, by po chwili uśmiechnąć się psotnie.

– Jakoś to załatwimy – oznajmiła. – Powiążemy braci z miejscem zbrodni, a później przeprowadzimy rewizję.

– W jaki sposób? – spytała podejrzliwie Anna Maria.

– Wyznają mi to z własnej woli – odparła Rebeka. – Svenie Eriku?

Komisarz Stålnacke spojrział na nią nie bez zdziwienia.

– Masz w komórce bezpośredni numer do mnie?

Dwudziestego ósmego kwietnia, kwadrans po piątej, Sven Erik i Rebeka wjechali na podwórze Torego Krekuli. Otworzyła im jego żona.

– Nie ma go w domu – obwieściła. – Myślę, że jest w garażu dla ciężarówek. Mogę po niego zadzwonić.

– Przejedziemy się tam – powiedział dobrotliwie Sven Erik. – A pani może zabrać się z nami i pokazać, gdzie to jest.

– Tego garażu nie sposób przeoczyć. Zawrócą państwo tylko przez wieś i...

– Pani pojedzie z nami – przerwał jej Sven Erik tonem życzliwym, acz nieznoszącym sprzeciwu.

– Wezmę tylko kurtkę.

– E tam – powiedział i delikatnie pchnął ją w kierunku samochodu. – W aucie jest ciepło.

Jechali w milczeniu.

– Proszę wybaczyć zapach psa – przerwała ciszę Rebeka. – Wieczorem ją wykąpię.

Laura Krekula bez zainteresowania rzuciła spojrzenie na Verę, leżącą w tylnej części samochodu.

Rebeka wystukała SMS do Anny Marii: „LK z domu”.

Garaż był zbudowany z bloków betonu komórkowego. Na zewnątrz stało kilka autobusów i pługów śnieżnych oraz nowusieńki mercedes kombi E270.

– O, tam, zaraz na prawo, jest biuro – wyjaśniła Laura Krekula i wskazała na osobliwie wysoko osadzone drzwi. – Mogę już iść? Nie jest tak zimno.

Rebeka zerknęła na telefon. SMS od Anny Marii: „Stoimy przed domem”. Skinęła nieznacznie.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Sven Erik.

Pani Krekula ruszyła w drogę powrotną wzdłuż szosy. Sven Erik i Rebeka przestąpili wysoki próg. Pachniało lekko olejem napędowym, gumą i smarami.

Po prawej stronie znajdowało się biuro. Drzwi były otwarte. W niewielkim pokoiku mieściło się jedynie biurko z komódkami i krzesło. Tore Krekula siedział przed komputerem. Słyszając za sobą kroki, odwrócił się z krzesłem ku nadchodzącym.

– Tore Krekula? – spytała Rebeka.

Mężczyzna skinął głową. Sven Erik, zakłopotany, utkwiał wzrok w podłodze. Ręce trzymał w kieszeniach kurtki. Rozmowę miała przeprowadzić Rebeka.

– Nazywam się Rebeka Martinsson i pracuję jako prokurator, a to komisarz Sven Erik Stålnacke.

Sven Erik uczynił lekki ruch głową na przywitanie. Ręce ciągle trzymał w kieszeniach.

– Spotkaliśmy się wczoraj – powiedział Tore Krekula do Rebeki. – Zresztą jest pani w mieście dość znana, trudno więc tak od razu zapomnieć.

– Zajmuję się dochodzeniem w sprawie śmierci Hjörleifura Arnarsona. Mamy podstawy, by sądzić, że to nie był nieszczęśliwy wypadek. Chciałabym pana zapytać...

Przerwało jej brzęczenie telefonu. Zerknęła na komórkę wyjętą z torebki.

– Przepraszam – zwróciła się do Krekuli. – Muszę odebrać.

Wzruszył ramionami na znak, że jest mu to zupełnie obojętne.

– Dzień dobry! – powiedziała Rebeka do słuchawki, wychodząc z pokoju. – Tak, przesłałam wczoraj materiały...

Potem zamknęła za sobą drzwi wejściowe i zrobiło się cicho.

Sven Erik uśmiechnął się przeproszająco. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił.

– A więc Hjörleifur Arnarson nie żyje – odezwał się w końcu Tore. – O co jej chodziło z tym nieszczęśliwym wypadkiem?

– No, to jest, kurde, niezła historia – odpowiedział Sven Erik. – Wygląda na to, że ktoś go zabił. I właściwie nie wiem, co tu robimy, ale szefowa jest w zмовie z tutejszą prokuratorką...

Kiwnął głową w stronę, w którą odeszła Rebeka.

– A pan podobno rozzłościł moją przełożoną – mówił dalej. – Nie wiem, ile jest prawdy w tym, co mówi, ale ona potrafi drzeć koty z ludźmi.

Tore Krekula milczał.

– Ja cię pierdo... – westchnął policjant. – Słyszał pan o strzelaninie w Regli?

– Tak. Pisali o tym sporo w gazetach.

– Odpowiedzialność za nią ponosi właśnie ta kobieta – powiedział Sven Erik popędliwie. – Kompletnie bezmyślnie naraża podwładnych na niebezpieczeństwo. Po tym wszystkim poszedłem na zwolnienie chorobowe...

Przerwał nagle, jakby pogрузzył się we wspomnieniu tamtego wieczoru.

– A teraz nie może się doczekać, aż technicy skończą robotę. Jeżeli ktoś był u Hjörleifura, to wkrótce się o tym dowiemy. Boże drogi, teraz wystarczy zgubić włos. Technicy z pincetą i pałeczkami higienicznymi przeczesują dom Hjörleifura centymetr po centymetrze.

Tore Krekula przeciągnął ręką po czuprynie. Należał do mężczyzn, którym włosy nie przerzedziły się z wiekiem.

– Nie żeby to od razu czegoś dowodziło – mówił dalej Sven Erik, wpatrzony w sufit, jak gdyby zapomniał o obecności Torego. – Fakt, że byłem u kogoś w domu, nie oznacza przecież, że jestem mordercą.

W tej samej chwili otwarły się drzwi wejściowe. Wróciła Rebeka.

– Przepraszam – zwróciła się oficjalnym tonem do Torego Krekuli. – Wracając do naszej rozmowy. Znalaziono nieżyjącego Hjörleifura Arnarsona w jego własnym domu. Czy panowie tam byli? Pan i pański brat?

Mężczyzna spojrział na nią chytrze.

– Nie zaprzeczam, że byliśmy – powiedział po chwili. – Ale go nie zabiliśmy. Chcieliśmy się tylko dowiedzieć, co zaobserwował. No bo, wie pani, policja to

ludziom we wsi nie piśnie, kurde, ani słowa. A przecież ten chłopak i dziewczyna w końcu tutaj mieszkali. Moja ciotka Anni była prababką Wilmy. Przynajmniej jej się coś należy, jakaś informacja.

– A więc byli panowie u Hjörleifura Arnarsona – stwierdziła Rebeka. – Co panom powiedział?

– Nic. Pewnie myślał, że się wkurzycie, jak zacznie coś mówić. Nie, pani kochana, wróciliśmy z pustymi rękami.

Rebeka spojrzała na swój telefon.

– Jest siedemnasta pięćdziesiąt sześć. Podejmuję decyzję o przeszukaniu mieszkań Torego i Hjalmara Krekulów; wobec obydwu mężczyzn istnieje uzasadnione podejrzenie o popełnienie zabójstwa Hjörleifura Arnarsona.

Zwróciła się do Torego Krekuli.

– Niech pan ściągnie ubranie. Weźmiemy je ze sobą. Slipy proszę zachować. W samochodzie mamy bluzę i spodnie, które może pan pożyczyć.

Policja przeprowadza rewizję u braci Krekulów. Siedzę na dachu ganku Torego. Obok mnie usiadł kruk. Widzi mnie, mogę przysiąc. Przechyliła głowę w bok i przygląda mi się, choć przecież mnie nie widać. Robi krok w moją stronę i zaraz się odsuwa. Na podwórzu stoi zmarznięta żona Torego. Kiedy wróciła z garażu do domu, policja już na nią czekała; ta niewysoka kobieta z jasnym warkoczem i trzech umundurowanych kolegów. Nie pozwolili Laurze wejść do domu. Później zadzwonił telefon policjantki. Nie rozmawiała długo. Powiedziała tylko: „okej” i zaraz potem weszli do środka.

Teraz wynoszą stamtąd ubrania Torego. Rozumiem, że chcą na nich znaleźć ślady krwi Hjörleifura.

Właśnie wtedy przyjeżdża Tore i przygląda się temu wszystkiemu w milczeniu. Usiłuje przyciągnąć wzrokiem policjantkę, na próżno. Uśmiecha się więc szyderczo do jej kolegów i pyta, czy nie zechcą pogrzebać w kubie na śmieci. I policjanci przeszukują odpadki. Żona Torego się nie odzywa. Nie ma odwagi zapytać, czego szukają. Nauczyła się nie drażnić męża.

Kruk kląska i kracze, i skrzeczy, jak gdyby chciał sprawdzić, który dźwięk wywoła u mnie reakcję. Nie potrafię mu odpowiedzieć. Podrywa się więc z dachu i odlatuje

sto pięćdziesiąt metrów dalej. Przysiada na brzozie przy domu Hjalmara. Woła mnie do siebie. W okamgnieniu jestem obok niego na gałęzi.

Mężczyzna otwiera policjantom, którzy dzwonią do drzwi. Wygląda na zaspanego. Wieniec włosów niczym zmierzwiona kępa pozimowej trawy. Brudne plamy zarostu na policzkach i szyi. Brzuch wystający spod ogromnego podkoszulka jak przekarmione prosię. Kiedy funkcjonariusze proszą uprzejmie Hjalmara, by przeczekał rewizję na dworze, wychodzi z domu tylko w slipach. Starszy policjant, zdjęty litością, pozwala mu usiąść w samochodzie służbowym.

Przysiadam na głowie prokurator. Jak kruk. Szarpię pazurem ciemne pasemka włosów. Obracam jej twarz w stronę Hjalmara. W końcu dostrzega go w radiowozie. Otwiera drzwi, rozmawia z nim. A ja dziobię ją w głowę. Obudź się!

Fred Olsson, Tommy Rantakyrö i Sven Erik Stålnacke wynieśli ubrania z domu Hjalmara Krekuli i przeczesał garaż w poszukiwaniu ewentualnego narzędzia zbrodni. Po półtorej godziny zameldowali, że są gotowi.

Rebeka przyglądała się mężczyźnie siedzącemu w samochodzie. Oparty o szybę, sprawiał wrażenie, jakby miał lada moment zasnąć. Przymknął powieki.

Nagle jakby poczuł, że ktoś go obserwuje. Niespiesznie obrócił głowę i spojrzał na Rebeke.

I schwycił ją. Chwycił ją wzrokiem niczym szczupak, który bez namysłu zaciska szczęki na przynęcie. A ona przeszyła go drapieżnym spojrzeniem jak haczyk przeszywający rybi przełyk.

Przebłąski obrazów w jej świadomości.

Nikt go nie dotykał, odkąd był bardzo małym chłopcem. Ból i udręka otulone całym tym tłuszczem. Nie ucieknie od nich, choćby jadł jeszcze więcej. Doszedł do końca drogi.

Ale ja go dotknęłam, pomyślała; choć to właściwie nie była myśl, tylko przecucie. Był mały. A ja niewiele starsza. Nastoletnia. Podtrzymując go za ramiona, wznosiłam ku niebu. Słońce w zenicie. Sucha ziemia pod bosymi stopami. Spał na moim ramieniu. Był moim młodszym bratem? Synem? Siostrzyczką?

Serce omal nie pękło jej z żalu. Chciała położyć dłoń na szybie. Z nadzieją, że on przyłoży do niej swoją po drugiej stronie szkła.

– Halo! – odezwał się obok niej Fred Olsson. – Powiedziałem, że jesteśmy gotowi. Podążył za jej wzrokiem i spojrzał na Hjalmara.

– Kawał sukinsyna – wycedził przez zęby. – Niech się teraz pomęczy. Myśleli, że te zabawy z Mellą ujdą im na sucho? Niech sobie teraz siedzi bez gaci.

Rebeka skinęła głową, nieobecna duchem. Podeszła do samochodu i otworzyła tylne drzwi.

– Jesteśmy gotowi – oznajmiła Hjalmarowi Krekuli.

Siedział uwięziony w opasłym cielsku i patrzył na nią bez słowa. Gołe nogi przykrył kraciatym kocem, który wcześniej dostał od Svena Erika.

Ci mężczyźni przecięli Annie Marii opony, beształa się w duchu. Zwędzili jej telefon i zwabili Jenny do przydworcowego parku, żeby ją zastraszyć. Muszę się wziąć w garść.

– Pojedzie pan z nami na komendę, żeby odpowiedzieć na kilka pytań – zadecydowała. – Nie jest pan zatrzymany, po przesłuchaniu odwieziemy pana do domu.

Wzbraniała się przed uczuciem litości. Nie dała niczego po sobie poznać. Zatrzymała wzrok na kruku siedzącym na dachu ganku.

– Przyniesiemy panu jakieś spodnie.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA Torego Krekuli. Miejsce: Komenda Policji w Kirunie. Data i godzina: 28 kwietnia, 19.35. Obecni: komisarze Anna Maria Mella i Sven Erik Stålnacke oraz prokurator Rebeka Martinsson.

A.M.M.: Jest dziewiętnasta trzydzieści pięć. Zaczynamy przesłuchanie. Proszę podać imię i nazwisko.

T.K.: Tore Krekula.

A.M.M.: Oświadczył pan policji, że razem z bratem Hjalmarem Krekulą odwiedził pan Hjörleifura Arnarsona. Dlaczego panowie do niego przyszli?

T.K.: Słyszeliśmy, że była u niego policja i wypytywała o Wilmę Persson i Simona Kyrö. Z tą dziewczyną to nawet jesteśmy spokrewnieni. Mieszkała u swojej prababci Anni Autio. Anni i nasza matka są siostrami. Ale policję głównie to obchodzi

i o niczym nas nie informuje. Chcieliśmy się, kurde, czegoś dowiedzieć.

A.M.M.: Czy może pan opowiedzieć o wizycie u Hjörleifura Arnarsona?

T.K.: Co pani chce wiedzieć?

A.M.M.: Proszę po prostu opisać przebieg wydarzeń.

T.K.: Zapytaliśmy go, o czym rozmawiał z policją. Odpowiedział: „O niczym szczególnym”. Powiedział, że pytaliście o Wilmę i Simona, ale że on nic nie wie.

A.M.M.: Kto pytał, pan czy pański brat?

T.K.: Ja. To ja zadawałem pytania. Hjalmar nie jest specjalnie rozmowny.

A.M.M.: A później?

T.K.: Później? Później nic. Później zwinęliśmy żagle. Przecież on nic nie wiedział.

A.M.M.: Czy dotykali panowie czegoś u niego w domu?

T.K.: Możliwe, nie pamiętam.

A.M.M.: Proszę się zastanowić.

T.K.: Mówię, że nie pamiętam. To wszystko? Może nie wiecie, ale niektórzy muszą pracować, żeby starczyło na wasze pensje.

A.M.M.: Przesłuchanie zakończone. Jest dziewiętnasta czterdzieści dwie.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA Hjalmara Krekuli. Miejsce: Komenda Policji w Kirunie. Data i godzina: 28 kwietnia, 19.45. Obecni: komisarze Anna Maria Mella i Sven Erik Stålnacke oraz prokurator Rebeka Martinsson.

A.M.M.: Jest dziewiętnasta czterdzieści pięć. Zaczynamy przesłuchanie. Proszę podać imię i nazwisko.

H.K.: –

A.M.M.: Proszę podać swoje imię i nazwisko.

H.K.: Hjalmar Krekula.

A.M.M.: Razem z bratem odwiedził pan wczoraj Hjörleifura Arnarsona. Czy mógłby pan opowiedzieć o tej wizycie?

H.K.: –

A.M.M.: Mógłby pan opowiedzieć o tej wizycie?

H.K.: –

A.M.M.: Czy mam tłumaczyć pańskie milczenie jako...

H.K.: Nic nie powiedział. Mogę już iść?

A.M.M.: Nie, nie może pan. Właśnie... Proszę usiąść!

R.M.: Mogę z tobą zamienić parę słów?

A.M.M.: Godzina dziewiętnasta czterdzieści siedem. Robimy przerwę w przesłuchaniu podejrzanego.

– Pozwolimy im odejść – Rebeka oznajmiła Annie Marii i Svenowi Erikowi. – Mamy ich ubrania i nadzieję na pozytywne wyniki analiz.

Stali w korytarzu przed pokojem przesłuchań.

– Przecież nic nie powiedzieli! – wybuchła Anna Maria. – Nie możemy ich wypuścić!

– Nie są zatrzymani. Powiedzieli to, co mieli do powiedzenia.

– Tak czy owak mamy prawo trzymać ich sześć godzin w związku z przesłuchaniem. Niech sobie skurwiele odsiedzą te sześć godzin!

– Chcesz, żeby ci zarzucono przewinienie służbowe? – spytała spokojnie Rebeka. – Nie mamy podstaw, żeby ich tu dłużej trzymać.

Fred i Tommy pojawili się w korytarzu, zwabieni podniesionymi głosami.

– Rebeka mówi, że musimy ich wypuścić – wyjaśniła Anna Maria.

– Prędzej czy później ich złapiemy – pocieszył ją Fred.

Anna Maria kiwnęła głową.

Musimy, pomyślała. Bo inaczej nie wytrzymam. Boże, spraw, żeby na tych ubraniach coś się znalazło.

– W każdym razie udało się nam przeszukać ich domy – powiedział Tommy. – Dobra robota, Svempa!

Sven Erik wbił oczy w podłogę. Chrząknął na potwierdzenie, że nie puścił pochwały mimo uszu.

– No, ja cię smole! – wykrzyknął Tommy, próbując zmienić ponury nastrój. – Wszystko bym dał, żeby tam być.

– Rzeczywiście, świetnie to wyszło – powiedziała Rebeka, spoglądając z uznaniem na Svena Erika. – A telefon zadzwonił w najbardziej odpowiednim momencie. Teraz chwilowo żegnamy się z braćmi. Anno Mario, masz u siebie akta sprawy Wilmy, Simona i Hjörleifura?

– Oczywiście – odparła Anna Maria z ociąganiem.

– Teraz kiedy formalnie przejmuję postępowanie przygotowawcze, muszę przejrzeć cały materiał. Pomyślałam, że zrobię to dziś wieczorem.

Wszyscy zeszywnieli, wpatrzeni w Rebeke.

– Podejmując decyzję o rewizji, przejęłam odpowiedzialność za postępowanie przygotowawcze, to was chyba nie dziwi?

Trzy męskie spojrzenia spoczęły teraz na Annie Marii.

– Oczywiście, że nie dziwi – odpowiedziała komisarz Mella nienaturalnie lekkim tonem. – Tylko nie mamy w zwyczaju być tacy formalni. Z Alfem Björnfotem jest *business as usual*, a później zdajemy mu raport z przebiegu dochodzenia.

– Jak już wcześniej zaznaczyłam – zaczęła Rebeka i teraz słowa wysypywały się z jej ust – obecnie nie pracujecie z Alfem Björnfotem, tylko ze mną. Chcę przeczytać cały materiał. Oczekuję również, że będziecie mi dostarczać regularne raporty, gdy tylko coś się wydarzy.

– Oczekuję – powtórzyła Anna Maria, zanim ugryzła się w język.

A potem zanurkowała w swoim pokoju, chwyciła leżące na stole akta i wyszła z nimi do Rebeki Martinsson, która nie odstępując policjantki ani na krok, przejęła je w drzwiach. Policyjni koledzy zamykali orszak.

– Może nie ma w tych papierach najlepszego porządku... – zaczęła Anna Maria.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Rebeka.

Rzuciła okiem na korkową tablicę w pokoju komisarz Melli. Wisiały na niej zdjęcia Wilmy, Simona i Hjörleifura, a pod nimi daty zniknięcia pary, odnalezienia dziewczyny i zabójstwa Arnarsona. Były też mapy okolicy, w której znaleziono Wilmę, i okolic Vittangijärvi. Na samej górze widniały imiona braci Krekulów.

– A to – powiedziała, wskazując na tablicę – przeniesiemy jutro do sali konferencyjnej. Będziemy mieć wszystko zebrane w jednym miejscu. Na którą umawiamy się jutro na naradę? Na ósmą?

Niech sobie myślą, co chcą, stwierdziła Rebeka, odchodząc z aktami pod pachą. Odpowiedzialność spoczywa teraz na mnie i chcę, żeby wszystko odbywało się jak należy. To nie w moim stylu stać z boku i tylko się przyglądać. Jeżeli prowadzę postępowanie przygotowawcze, to ja decyduję.

– Wow! – wykrzyknęła Anna Maria, gdy Rebeka zniknęła. – Myślicie, że jutro rano będziemy musieli ustawić się w rzędzie? Według alfabetu? Jak w szkole?

– Ale przecież dzisiaj odwaliła kawał cholernie dobrej roboty – odezwał się Sven Erik. – Bez niej Tore Krekula...

– Okej, okej – przerwała mu niecierpliwie Anna Maria. – Myślę tylko, że nie zaszkodziłaby odrobina pokory.

Zapadła nieskończenie długa sekunda ciszy. Sven Erik patrzył na Annę Marię. Nie spuszczała z niego oczu, w każdej chwili gotowa się bronić.

– No, to chyba pora się zbierać – powiedział Fred.

Tommy przytaknął ochoczo i dodał, że jego dziewczyna jest już pewnie nieźle wkurzona, bo ponad godzinę temu dzwoniła, że czeka z obiadem, a on obiecał, że w drodze do domu wypożyczy film.

Słowo niesie się po niewielkiej Kirunie. Medyk sądowy Lars Pohjanen opowiada swojej asystentce o tym, jak Rebeka Martinsson – ujrawszy Wilmę we śnie – powiedziała mu, że dziewczyna nie zginęła w rzece. To dlatego pobrał próbki wody z płuc zmarłej.

Anna Granlund mówi, że wierzy w takie rzeczy, i wspomina o kuzynce babci, która potrafiła zamawiać krwotoki. Wprawdzie obowiązuje ją tajemnica służbowa, ale nie może się powstrzymać i opowiada o śnie Rebeki swojej siostrze, z którą właśnie je lunch w pizzerii Laguna.

Siostra obiecuje, że zachowa to dla siebie, ale przecież rodzina się nie liczy, więc wieczorem opowiada o tym mężowi.

Mąż siostry zaś zupełnie w takie rzeczy nie wierzy. I właśnie dlatego opowiada o tym koledze, kiedy po treningu na siłowni siedzą w saunie. Może potrzebuje zmierzyć się z myślą. Czy to naprawdę możliwe? Chce zobaczyć reakcję kolegi.

Kolega nie mówi dużo. Jeszcze raz polewa wodą rozgrzane kamienie.

Kolega ma w zwyczaju polować razem z byłym mieszkańcem Piilijärvi, Stigiem Rautio. Właśnie spotkał go przypadkowo przed sklepem Coop. Opowiada. Pyta, czy Stig znał Wilnę Persson. Podobno została zamordowana. Podobno prokuratorka Martinsson, ta, która parę lat temu zabiła tych trzech pastorów, podobno ona...

A Stig Rautio poluje na terenach należących do braci Krekulów. Przyszedł teraz do Isaka i Kerttu, żeby zapłacić Toremu dzierżawne, bo dowiedział się od jego żony, że Tore siedzi u rodziców. Do terminu płatności jest jeszcze sporo czasu, ale Stiga pali ciekawość. Mówią we wsi, ba, w całej Kirunie, że policja zrobiła rewizję u braci i że to ma związek z morderstwem Wilmy Persson i Hjörleifura Arnarsona. Isak, jak zawsze ostatnimi czasy, leży w sypialni. Kerttu zrobiła synom purée z brukwi i ziemniaków, teraz smaży kiełbasę. Hjalmar je, Tore pije kawę; obiad zjadł w domu. Ma przecież żonę, która mu gotuje.

Kerttu nie proponuje gościowi poczęstunku. Wszyscy wiedzą, że przyszedł na przeszpiegi, ale nie mogą mu tego wytknąć, kiedy wręcza Toremu pieniądze. Banknoty leżą w kopercie, pierwszej lepszej, jaką Stig znalazł w domu. Tylko że ta pierwsza lepsza jest jedną z luksusowych kopert, które żona kupiła na jarmarku w Kirunie. Suszone kwiaty wtopione w ręcznie czerpany papier. Tore patrzy na nie z drwiną. „No, no – mówi jego spojrzenie – niektórzy to się chcą wyróżnić”.

Stig żałuje, że nie poszukał innej koperty, nawet używana z okienkiem byłaby lepsza, ale teraz to już, kurde, wszystko jedno. Zagaja rozmowę. Słyszał, że była u nich policja, te gliny to przecież idioci, kompletne zera, co oni sobie, kurwa, wyobrażają, ani się człowiek obejrzy, a zapukają i do jego drzwi. Później opowiada o Rebecie Martinsson, która najpierw śniła o Wilmie, a potem poszła do Pohjanena, medyka sądowego.

– Niedługo pewnie zaczną kupować kryształowe kule, zamiast łapać złodziei – żartuje.

Nikt oczywiście nie reaguje nawet nikłym uśmiechem. Żart zawisa w powietrzu, niezręczny i płaski. Krekulowie zachowują się zupełnie normalnie. Hjalmar je purée i kiełbasę, Tore stuka paznokciem w filiżankę, Kerttu dolewa mu kawy.

Jakby przed paroma godzinami nie wydarzyło się nic szczególnego. Nie komentują ani słowem tego, co Stig mówi o policji. Przez dłuższą chwilę w kuchni panuje potworna cisza. Tore liczy banknoty w pedalskiej kopercie i pyta, czy Stig ma jeszcze

jakąś sprawę. A ponieważ nie ma, wycofuje się z podwiniętym ogonem. Nie będzie miał o czym opowiadać na mieście.

Kiedy Stig znika za progiem, Tore rzuca za jego plecami:

– Co za pieprzone bzdury! Że Wilma przyszła we śnie do prokuratorki!

Kerttu mówi:

– Jeszcze chwila i ojciec umrze. To go ostatecznie wykończy.

– Ludzie gadają – odpowiada Tore. – Zawsze gadali. A ty się tym nie przejmuj.

Wtedy Kerttu wali dłonią w stół. Krzyczy:

– Łatwo ci powiedzieć!

Zaczyna sprzątać talerze. Chociaż Hjalmar nie dokończył obiadu. Wyraźny sygnał, że to koniec dyskusji.

Zawsze jest koniec dyskusji, myśli Hjalmar. Wtedy też. Jesienią, kiedy stary dostał zawału. Kiedy Johannes Svarvare zaczął pleść bzdury po pijaku. Wtedy też był koniec dyskusji, prawie od razu.

Koniec września. Słońce po drugiej stronie jeziora chyli się ku zachodowi. Hjalmar pomógł ojcu wnieść do domu silnik zaburtowy. Motor leży teraz na stole przykrytym grubą warstwą gazet. Czekają na Johanna Svarvarego, który jak zwykle go rozkręci i przejrzy. Odetka zapchany gaźnik.

Johannes dłubie w silniku. W podzięce za pomoc Isak częstuje go wódką. Żona Torego jest na prezentacji Tupperware, Tore przyszedł więc na obiad do matki. Hjalmar też siedzi w kuchni. Na stole panuje niesamowita ciasnota. Talerze z mielonymi i makaronem w białym sosie upchnięto wśród mnóstwa innych rzeczy. Są tu obudowy silnika, śrubokręty, klucze, finka, plastikowa olejarka z olejem do przekładni, nowe świece zapłonowe i puszka z benzyną, do której Isak ma włożyć filtr.

Johannes rozpuszcza język na dobre. Rozprawia o wszystkim, począwszy od starych motorówek, które kiedyś miał lub budował, aż do historii o tym, jak razem z kuzynem załadowali do łodzi stryja pięć owiec, które w lecie pasły się na jednej z wysepek na rzece Rautas, jak wpłynęli na kamień przy Kutukoski i jak wszystkie owce się potopiły, a oni sami też omal nie utonęli.

Mimo że bracia znają opowieść o owcach, słuchają jej teraz – podobnie jak w dzieciństwie – w milczeniu i z ustami pełnymi jedzenia.

– A jeśli już mowa o zatopionych... – dodaje Johannes, odkręcając gaźnik. – Pamiętasz jesień czterdziestego trzeciego, jak czekaliśmy w nieskończoność na transportowiec, który nigdy nie przyleciał?

– Nie – odpowiada Isak z naciskiem.

Ale Johannes wypił za dużo i nie słyszy ostrzegawczego tonu.

– No, gdzieś zniknął. Zawsze się zastanawiałem gdzie. Leciał z Narviku, to myślałem, że na pewno wzdłuż rzeki Torne, przez Jiekajärvi i Alajärvi. Ale przecież pytałeś ludzi, którzy tam mieszkają, i nikt ani nie słyszał, ani nie widział żadnego samolotu. Wiesz co, myślę, że pobłądził i wziął kurs na południe, wzdłuż Taalojärvi, a później coś się musiało stać i pilot zaczął przymusowe lądowanie w Övre Vuolusjärvi albo Harrijärvi, albo Vittangijärvi. Nie sądzisz? Musieli się potopić jak szczury, cała załoga.

Tore i Hjalmar nie odrywają oczu od jedzenia. Kerttu stoi do nich plecami, zajęta czymś przy blacie kuchennym. Isak bez słowa podaje Johannesowi klucz ósemkę, potrzebny do odkręcenia pływaka.

– Powiedziałem Wilmie – mówi dalej niezrażony Johannes – bo przecież nurkuje razem z Simonem Kyrö, że tam mogliby mieć ciekawy obiekt, gdyby tylko go znaleźli. Spróbujcie w Vittangijärvi, powiedziałem. Bo jakby samolot wpadł do Övre Vuolusjärvi, tobyśmy coś słyszeli. A Harrijärvi jest takie małe. Gdzieś trzeba zacząć, no nie?

Odkręca dyszę, wkłada między wargi i wydmuchuje z niej opiłki metalu. Potem, trzymając ją w palcach, kieruje do światła i sprawdza, czy otworek jest czysty. Spogląda na Torego i Hjalmara.

– Miałem tylko trzynaście lat, ale wasz ojciec wziął mnie ze sobą. Wtedy dzieci też musiały pracować.

– A co na to Wilma? – pyta Isak lekkim tonem, jakby mu nie zależało na odpowiedzi.

– Strasznie się zapaliła, chciała od razu pożyczyć wszystkie mapy.

W głosie Johannesesa ton zadowolenia. Widocznie chodzi o jakieś miłe wspomnienie.

Młoda dziewczyna, pełna entuzjazmu, zainteresowana tym, co on ma do opowiedzenia. Ich palce wodzące po mapie.

Wkłada filtr do puszki z benzyną. Wyciera ręce w spodnie i opróżnia szklaneczkę.

Ale zamiast napełnić literatkę gościa, Isak zakręca butelkę z wódką.

– Dziękuję, na dzisiaj wystarczy – oznajmia.

Johannes sprawia wrażenie zdziwionego. Był pewien, że wychyli jeszcze parę setek, kiedy będą skręcać silnik. Zawsze tak było.

Ale zna Isaka od dziecka i wie, co to znaczy, gdy ten mówi: „na miejsce”.

Dziękuję więc i na niepewnych nogach wychodzi z kuchni. Rusza do domu.

Kerttu stoi nieruchomo z rękami na blacie, plecami do rodziny. Nikt nie mówi ani słowa.

– Co jest, ojciec? – pyta Tore.

Isak próbuje się podnieść od stołu. Przerażliwie blady na twarzy. I nagle pada bez czucia. Zanim dosięga podłogi, uderza głową o kant stołu.

Tore chowa do kieszeni pedalską kopertę z dzierżawnym. Hjalmar notuje, jak zwykle, że spora część pieniędzy przechodzi mu koło nosa. Nie wie, jakie zyski przynosi firma. Nie wie, ile mają hektarów lasu i ile na nim zarabiają. No tak, ale żywicielem rodziny jest Tore, nie on.

Nagły szcęk porcelany. To Kerttu niezbyt ostrożnie wkłada do zlewu talerz, sztućce i filiżankę.

– Dwóch synów ma Isak – odzywa się, nie patrząc na nich. – I jaki ma z nich pożytek?

Hjalmar widzi, jak słowa matki ranią brata. Wbijają się weń jak nóż. On sam przyzwyczał się do tego od dziecka. Do tych wszystkich wyzwisk. Bezwartościowy, głupi, gruby, idiota. Najczęściej wychodziły z ust Torego i Isaka. Kerttu milczała. I nigdy nie patrzyła mu w oczy.

To już koniec, mówi bezgłośnie Hjalmar.

I czuje niemal ulgę. Myśli o prokuratorce Martinsson, która zobaczyła Wilmę po śmierci.

Tore przygląda się bratu. Hjalmar jest cichy jak zwykle. Mimo to jest jakiś inny.

Coś się w nim zmieniło.

– Chory jesteś? – pyta szorstko.

Tak, myśli Hjalmar. Jestem chory.

Wstaje i wychodzi z kuchni, z domu, na szosę. Wlecze się do własnego nieciekawego mieszkania, pełnego cudzych sprzętów, mebli i firanek.

A później porozmawialiśmy ze Svarvarem, myśli. Stary leżał na OIOM-ie.

W jego wspomnieniach Tore szarpie za drzwi. Wkracza do kuchni Johannesesa.

– Ty skurwysynie – mówi, wyciągając nóż zza pasa.

Hjalmar stoi na progu. Johannes prawie robi w gacie ze strachu. Leży na ławie, skacowany, dzień wcześniej rozkręcał u Krekulów silnik łodzi. Teraz siada z mozołem.

Tore wbija nóż w kuchenny stół. Aby pokazać, że to nie żarty.

– O co, kurwa...? – wyrzuca z siebie Johannes.

– Ten zaginiony samolot – mówi Tore. – I wszystko, co się wtedy zdarzyło. Kłapiesz o tym jak jakaś cholerna baba. A przecież to poszło w zapomnienie i ma być zapomniane. Omal nie wyprawileś naszego starego na tamten świat. Leży w szpitalu. Jeżeli się z tego nie wykaraska albo jak tylko usłyszę, że pisnąłeś na ten temat choćby jedno słowo...

Wyrywa nóż ze stołu i przykłada do oka Johannesesa.

– Gadałeś z kimś jeszcze?

Johannes kręci przecząco głową. Zezuje w kierunku ostrza.

Później po prostu wychodzą.

– Teraz na pewno zamknie jadaczkę – mówi Tore.

– A Wilma i Simon? – pyta Hjalmar.

Ale brat kręci głową.

– I tak nigdy nic nie znajdą. Niech sobie wierzą w te bujdy. Będziemy ich mieć na oku. Żeby przypadkiem nie zaczęli tam nurkować.

Hjalmar Krekula stoi na podwórzu. Odpycha od siebie myśli o Johannesie, Wilmie, Simonie, wszystkich. Nagle odechciewa mu się wejść do własnego domu. Ale jaki ma

wybór? Nocleg w drewnutni?

Sven Erik Stålnacke i Airi Bylund jadą do Puoltsy, gdzie Airi ma niewielki domek letniskowy. Chcą sprawdzić, czy wszystko w porządku, a przy okazji wykorzystać piękny wieczór.

W samochodzie Sven Erik opowiada o tym, jak Rebecce i jemu udało się wciągnąć Torego w pułapkę.

Airi słucha, choć chyba niezbyt uważnie. Komentuje: „O, to dobrze”.

Nagle Sven Erik traci humor. Pozornie zupełnie bez przyczyny. Dodaje: „Całe szczęście, że człowiek przynajmniej raz zrobił coś jak należy”.

Próbuje zapomnieć o tym, jak deptał podłogę u Hjörleifura i perorował o przyczynie jego śmierci.

Chciałby, żeby Airi powiedziała coś w stylu: „Zawsze robisz wszystko jak należy, mój ty mężczyzno”, ale Airi nic nie mówi.

Sven Erik ma nieodparte wrażenie, że dla nikogo nic nie jest wart. Czuje, że zwycięża w nim przygnębiony i zgryźliwy milczek.

Airi też milczy.

Ale to nie jest milczenie, w którym można odpocząć. Takie zwykłe, pogodne nicniemówienie, cisza wypełniona spojrzeniami, uśmiechem i radością ludzi, którzy odnaleźli się jak w korcu maku. Cisza przerywana od czasu do czasu przez Airi, która wdaje się w pogawędkę z kotem, kwiatami, samą sobą albo ze Svenem Erikiem.

Teraz, w tym uciążliwym milczeniu, jak echo rozbrzmiewa jego myśl: przecież ona mnie rzuci. To wszystko nie ma sensu.

Czuje nieomal, jak Airi ma dość jego utyskiwania na pracę. Jego zrzędenia na Annę Marię, na strzelaninę w Regli i mnóstwo innych rzeczy. Tylko że Airi tam nie było. Ona tego nie potrafi zrozumieć.

W końcu dojeżdżają na miejsce. Airi wysiada z samochodu.

– Zrobię kawę. Napijesz się? – pyta.

Sven Erik nie czuje się na siłach, by powiedzieć coś więcej niż tylko:

– Jeśli już parzysz...

Airi znika za drzwiami, a on stoi bezradny na dworze i nie ma pojęcia, co ze sobą

zrobić.

Brnie w śniegu. Na tyłach domu Airi urządziła prawdziwy koci cmentarz. Pochowała tam wszystkie swoje zmarłe koty oraz kilka należących do znajomych. Spod topniejącej bieli wyglądają niewielkie drewniane krzyże i piękne kamienie. W lecie, kiedy był na zwolnieniu lekarskim, pomógł jej tu posadzić różę syberyjską. Ciekawe, czy przeżyła zimę. O, jakże chciałby usiąść na werandzie i posłuchać opowieści o kotach, które spoczywają tutaj w ziemi.

Kiedy tak stoi pogrążony w myślach, Airi wyrasta u jego boku. Podaje mu kubek z kawą.

Sven Erik nie chce, żeby obróciła się na pięcie i poszła, prosi więc:

– Opowiedz o Tiggem Tygrysku.

Jak dziecko, które znów chce usłyszeć ulubioną bajkę.

– Od czego by tu zacząć? – zastanawia się głośno Airi. – On był pierwszy. Wówczas zdecydowanie nie byłam kociarą. Mattias skończył piętnaście lat i strasznie chciał mieć kotka. Albo przynajmniej papużkę. Albo cokolwiek. A ja stanęłam okoniem. Tylko że właśnie wtedy zaczął do nas przychodzić ten prążkowany burasek. Mieszkaliśmy na Bangatan. Oczywiście nie wpuszczałam go do środka, ale za każdym razem, gdy wracałam z pracy, kociak siedział na płocie. I miauczał. Miauczał tak, że się serce krajało. Kończyła się jesień, a on wyglądał jak siedem nieszczęść.

– Niektórzy ludzie... – mruknął Sven Erik. – Niektórzy sprawiają sobie zwierzątko, a później je wyrzucają.

– Obeszłam sąsiadów, pytałam, ale nikt się do niego nie przyznawał. A ten chudzielec zaczął mnie prześladować. Kiedy byłam w pralni, siedział na parapecie za oknem i nie spuszczał ze mnie oka. Kiedy byłam w kuchni, siedział na postumencie, mieliśmy w ogrodzie taką kolumnę na kwiaty, i cały czas się gapił. Wskakiwał na drzwi wejściowe, zwieszał się z nadokiennika i miauczał. Myślałam, że oszaleję. Ten mały po prostu okupował nasz dom. Każdego dnia, kiedy jechałam z pracy, myślałam: żeby tylko nie było kota.

Pewnego dnia Mattias wrócił do domu późnym wieczorem. Kot siedział przed drzwiami i naprawdę przeraźliwie płakał. „Nie możemy go przygarnąć?“, poprosił Mattias. I w końcu się poddałam. „Dobrze, możemy, ale będzie mieszkał u ciebie, OK? To będzie twój kot“, powiedziałam. Myślisz, że kot się tym przejął? Chodził za

mną jak cień. Tylko u mnie leżał na kolanach. Czasami, w drodze wyjątku – u Mattiasa. Później, kiedy Mattias wyprowadził się z domu, a ja gdzieś wyjeżdżałam, kot siedział w domu i wpatrywał się w Örjana. Dopiero czwartego wieczoru kapitulował i rozkładał się na jego kolanach. A kiedy wracałam do domu, jak wtedy z Maroka... Nigdy tego nie zapomnę, jak pacnął mnie łapą i podrapał, tak... ani za lekko, ani za mocno, jakby tylko chciał zademonstrować swoją złość.

– No, bo przecież go zostawiłaś – wtrącił Sven Erik.

– Tak, ale zawsze mi wybaczał. Tylko że najpierw mnie bił i drapał. Pamiętam, jak kiedyś w wigilię święta Walpurgii Örjan był w dołku i na nic nie miał ochoty, więc Tigge Tygrys i ja przygotowaliśmy razem ognisko. Przez cały dzień pracował ze mną dzielnie w ogrodzie. Później siedzieliśmy razem na dworze, wpatrzeni w ogień. A jaki był z niego akrobata! Kiedy wieczorem chciał wejść do domu, zwieszał się z rynny i jakby całym sobą pukał w szybę. Wtedy mu otwierałam, a on zeskakiwał na górną część okna i stamtąd do środka. Na parapecie zawsze stało mnóstwo kwiatów. Nigdy nie stracił żadnej doniczki. Ani razu.

Stoją w milczeniu, wpatrzeni w brzozę, pod którą spoczywa Tigge Tygrys.

– A później się zestarzał i umarł – kończy Airi. – Zrobił ze mnie kociarę.

– Człowiek się przywiązuje – mówi Sven Erik.

Wtedy Airi bierze go za rękę. Jakby chciała podkreślić, że czuje się do niego przywiązana.

– Zbyt krótko żyjemy, żeby żyć w niezgodzie.

Sven Erik ściska jej dłoń. Wie, że ona ma rację. Ale co począć z tą kulą gniewu, która ciągle uciska go w piersi?

Godzina 20.32. *You have reached Måns Wenngren at Meijer & Ditzinger. I can't take your call right now. Please leave a message after the beep.*

Rebeka: Cześć, to ja. Chciałam tylko powiedzieć, że myślę o tobie i lubię cię bezgranicznie. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miał możliwość.

Patrzy na Verę, która właśnie przykucnęła na dworze, żeby zrobić siku. Jest jasny wiosenny wieczór. Słyszać wiosenne trele kulika. Powietrze wypełnia miłosna tęsknota.

– Dlaczego to wszystko musi być takie uciążliwe? – pyta Rebeka psa.

Godzina 21.05. SMS od Rebeki Martinsson do Månsa Wennngrena:

„Hej, serce. Czytam akta sprawy morderstwa. Wolałabym pójść z tobą do łóżka. Nie złość się, proszę”.

Rebeka odkłada telefon na pokrywę sedesu i odkręca prysznic. Spłukuje sierść Vera, spienioną od szamponu.

– A teraz obiecaj, że przestaniesz się tarzać w różnych świństwach, dobrze?

Vera z wdzięcznością lizę ją po rękach. Obiecuje.

Godzina 23.16. *You have reached Måns Wennngren at Meijer & Ditzinger. I can't take your call right now. Please leave a message after the beep.*

Rebeka nie zostawia wiadomości. Odkłada telefon. Daje jeść Verze.

– Nie zasłużyłam na karę – mówi.

Vera podchodzi do niej i wyciera pysk w nogawkę spodni.

Godzina 4.36. Rebeka budzi się i wyciąga rękę po telefon. Żadnej wiadomości od Månsa. Żadnych nieodebranych połączeń. Wokół niej leżą porozrzucane akta śledztwa w sprawie morderstwa. W nogach chrapie Vera.

Jest okej, przekonuje samą siebie. A teraz tss i lulu.

ŚRODA, 29 KWIETNIA

PIĘĆ MINUT PO SZÓSTEJ rano Rebeka zadzwoniła do Anny Marii. Komisarz Mella odpowiedziała ściszym głosem, żeby nie obudzić męża, który na dźwięk telefonu przysunął się do niej jeszcze bliżej. Po chwili ponownie zapadł w sen, z ciepłym oddechem na jej karku.

– Przeczytałam twoje notatki, które zrobiłaś po rozmowie z Johannesem Svarvarem – zaczęła Rebeka.

– Mhm.

– Piszesz, że miałaś wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zakończył rozmowę, położył się na sofie i zamknął oczy.

– Tak, chociaż najpierw wyjął z ust sztuczną szczękę i wrzucił ją do szklanki z wodą.

Rebeka się zaśmiała.

– Co ty na to, abym poprosiła go, żeby włożył zęby i porozmawiał teraz ze mną?

Anna Maria popadła w rozterkę. To oczywiste, że muszą go jeszcze raz przesłuchać. Czuła się poirytowana, ponieważ nie wymyśliła tego sama; ba, czuła się cholernie poirytowana, ponieważ Rebeka chciała naprawić jej zaniedbanie. Nawet jeżeli miała rację. Jednocześnie rozumiała, że Rebeka dzwoni, aby podać jej fajkę pokoju. To było bardzo w porządku. Martinsson jest jednak dobrym człowiekiem. Anna Maria postanowiła, że nie będzie się dąsać.

– Nie ma sprawy! Kiedy z nim rozmawiałam, mieliśmy jeszcze do czynienia ze zgonem, który wyglądał na wypadek, choć trochę niejasny.

– Piszesz też, że rozmawiał z Wilmą i że powiedział za dużo.

– Tak.

Anna Maria czuła coraz większy niesmak. Nie popisała się tym przesłuchaniem.

– Ale nie powiedział, o czym rozmawiali?

– Nie. Może powinnam go była bardziej przycisnąć, nie wiem. Tylko że wtedy, jak już wspomniałam, nie chodziło o sprawę zabójstwa.

Zamilkła.

Przestań się usprawiedliwiać, upomniała siebie samą.

– Słuchaj – odezwała się Rebeka. – Odwaliłaś kawał dobrej roboty. Zapisłaś przebieg wizyty, łącznie z wrażeniem, że Svarvare nie wszystko ci powiedział. Dzięki temu łatwo się zorientować, do kogo powinniśmy wrócić i rozpocząć drugą rundę, kiedy będziemy wiedzieć trochę więcej.

– Dziękuję – powiedziała Anna Maria.

– Ja też dziękuję.

– Za co?

– Za to, że okazujesz mi zaufanie i pozwalasz porozmawiać z Johannesem Svarvarem.

– Zawsze mogę poprowadzić trzecią rundę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kiedy chcesz go przesłuchać?

– Teraz.

– Teraz? Godzina jest...

– Wczesna, wiem. Ale wiesz, jak to jest ze starymi ludźmi. Kiedy w końcu mogą się wysypiać, o czym marzyli całe życie, wtedy właśnie budzą się o czwartej rano. On już jest na nogach.

– Miejmy nadzieję, że masz rację.

– Mam. Siedzę w samochodzie przed jego domem. Już trzeci raz spogląda na mnie zza firanki w kuchni.

– Ta kobieta jest szalona – powiedziała Anna Maria, odkładając telefon.

– Kto? – wymamrotał Robert, błędząc ręką po piersi żony.

– Rebeka Martinsson. Teraz ona prowadzi postępowanie przygotowawcze. I, kurde, lubię ją, no. W końcu uratowałam jej życie, wtedy w Jiekajärvi. W takich sytuacjach z człowiekiem dzieje się coś specjalnego... Dobrze się z nią rozmawia, kiedy nie jest spięta. Dosyć się różnimy, ale to cholernie zdolna prokuratorka.

Robert pocałował ją w kark i przycisnął podbrzusze do jej pupy.

Anna Maria westchnęła.

– Męczy mnie świadomość, że ona naprawdę chce to wszystko przejąć. Najchętniej robiłabym to sama.

– Powinna zrozumieć, że to ty jesteś samicą alfa – powiedział Robert, szczypiąc lekko brodawki żony.

– Żebyś wiedział – odparła radośnie.

– Nie czytałaś tej książki? No, jakież ona miała tytuł... „W piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które wzajemnie sobie nie pomagają”.

– Nie. Myślisz chyba o tej: „W piekle jest specjalne miejsce dla mężczyzn, którzy nie mają dość rozumu, żeby potakiwać żonom, kiedy te zachowują się jędzowato”. Hej, co zamierzasz zrobić z tym tam...?

– Nie wiem – wymamrotał jej do ucha. – A czego chce samica alfa?

Johannes Svarvare poczęstował Rebekę poranną kawą. Podziękowała za odświętną filiżankę i poprosiła o zwykły kubek. Odmówiła kanapki. Mężczyznę było czuć starym, niedomytym człowiekiem; chyba niespecjalnie dbał o higienę. Miał na sobie podkoszulek i wełnianą kamizelkę zrobioną na drutach. Czarne spodnie od garnituru, z tyłu potwornie wyświecone, podtrzymywała para szelek. Rebeka nie mogła przestać myśleć o tym, że miałyby włożyć do ust coś, czego dotykał. Kiedy na przykład ostatnio mył ręce? Już sama myśl, że trzymał sztuczną szczękę w palcach, którymi później brał chleb i ser... Rebeka się wzdrygnęła.

A jednocześnie pozwalam, żeby obcy pies lizał mnie po twarzy, pomyślała.

Uśmiechnęła się, spoglądając na Verę, która obwąchała podłogę pod stołem, zmiotła wszystkie okruchy i stare, zaschnięte resztki jedzenia, a teraz oblizywała nogę sofy, po której kiedyś coś spłynęło.

Szczególnie ty, moja ohydna paskudo, dodała w myślach. Człowiek naprawdę ma źle poukładane w głowie.

– Znał pan Wilnę, prawda?

– Tak – odparł Johannes i wypił kolejny łyk kawy.

Są pytania, których ten mężczyzna się obawia, uświadomiła sobie Rebeka. Zaczniemy więc od najprostszych.

– Mógłby pan trochę o niej opowiedzieć?

Mężczyzna chyba się zdziwił. Ale też odczuł ulgę.

– Była taka młoda – powiedział i pokręcił głową. – Stanowczo za młoda. Ale rozumie pani, jak to miło, kiedy do takiej wsi zawita młodzież. Bo gdy Wilma zamieszkała u Anni, zaczął tu też przyjeżdżać Simon Kyrö, odwiedzał przy okazji stryja. Wszyscy jakby odżyliśmy. Sami staruszkowie tu mieszkają. A ona i jej koleżanki, i koledzy, ha, ha, wyglądali jak...

Johannes podniósł ręce, zagiął palce niczym szpony i wykrzywił twarz w przerażającym grymasie.

– Czarne obwódki wokół oczu i czarne ubrania. Ale byli zabawni. I nie mieli złych zamiarów. Kiedyś pożyczyci od staruszków sanki fińskie i wtedy dopiero zaczęła się jazda. Było ich chyba z dziesięcioro. Hulali po wsi, roześmiani. Ganiali i wozili się nawzajem. Stado wron. A mówią, że młodzi tylko siedzą w domu przed komputerem. Ale nie ona.

– Często u pana bywała?

– Tak. Lubiła słuchać o starych czasach. Chociaż dla mnie one wcale nie takie stare. Mam wrażenie, jakby wszystko wydarzyło się całkiem niedawno. Kiedyś to pani zrozumie. Starzeje się tylko ciało. A tutaj ciągle czuję się...

Popukał się w skroń i uśmiechnął.

– ...jak siedemnastoletni chłopak.

– Opowiedział jej pan coś, czego pan żałuje?

Johannes zamilkł, wpatrzony w głębokie nacięcie na środku stołu.

– Lubił ją pan?

Skinął głową.

– Została zamordowana. Nurkowała w towarzystwie Simona, a ktoś uniemożliwił im wyjście spod lodu. W każdym razie ona nie wydostała się na powierzchnię. Formalnie rzecz biorąc, Simon w dalszym ciągu uważany jest za osobę zaginioną, ale najprawdopodobniej leży na dnie Vittangijärvi.

– To nie znaleziono jej w rzece, poniżej Tervaskoski?

– Owszem, znaleziono, ale ktoś ją tam przeniósł. Nie sądzi pan, że jest pan nam winien wyjaśnienie, co pana gryzie?

Nie spuszczał oczu z nacięcia.

– Stare dzieje trzeba puścić w niepamięć – powiedział.

Wtem ręka Rebeki, jakby sama z siebie, przykryła szczerbę w stole.

– Ale czasami przeszłość nas dogania – odparła prokurator. – Wilma nie żyje. Nie wątpię, że jest pan człowiekiem honoru. Proszę pomyśleć o Wilmie. I o Anni Autio.

Ostatnie nazwisko wymieniła na chybił trafił. Nie miała pojęcia, w jakich stosunkach są ci ludzie.

Johannes dolał sobie kawy. Rebeka zauważyła, że położył lewą dłoń na prawej, żeby ukryć jej drżenie.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Ale proszę nie mówić, że dowiedziała się pani tego ode mnie. Opowiedziałem jej o samolocie, który zniknął w czterdziestym trzecim. Musiał się tu gdzieś rozbić. Dużo o nim myślałem. O tym, gdzie się mógł podziać. Powiedziałem Wilmie, że spadł albo do Vittangijärvi, albo do Harrijärvi, albo do Övre Vuolusjärvi.

– Co to był za samolot?

– Nie wiem, nigdy go przecież nie widziałem. W każdym razie niemiecki. Niemcy mieli duże magazyny w Luleå. Jeden znajdował się zaraz przy katedrze. Zarządzał nim oberlejtant Walther Zindel. Niemieckie oddziały w północnej Norwegii i fińskiej Laponii potrzebowały sprzętu i prowiantu. Niemcy korzystali więc z portu w Luleå. Brytyjczycy mieli zdecydowanie lepszą flotę, dlatego Niemcy nie mogli polegać na transportach idących wzdłuż norweskiego wybrzeża.

– Wiem tylko, że Niemcy korzystali z naszej kolei – powiedziała niespiesznie Rebeka. – Żeby przewozić żołnierzy, którzy jechali na przepustkę albo z niej wracali.

Johannes Svarvare popatrzył na nią, jakby była niedorozwinięta. Possawszy protezę, zaczął mówić dalej.

– Isak Krekula był przewoźnikiem. Zacząłem u niego pracować, gdy skończyłem szkołę, miałem dwanaście lat. Byłem silny, nadawałem się na tragarza. Czasami robiłem za kierowcę, w tamtych czasach nie przejmowano się takimi drobiazgami jak prawo jazdy. Tamtego jesienno wieczoru czterdziestego trzeciego roku... Isak prowadził jedną z ciężarówek do Kurravaary, siedziałem z nim w kabinie. Tego lata szwedzkie koleje zaprzestały niemieckich transportów, więc nie groziło nam

bezrobocie, zresztą wcześniej też nie. Wojsko musi mieć zaopatrzenie. No więc czekaliśmy, czekaliśmy i czekaliśmy. Isak, ja i kilku wynajętych chłopaków, którzy mieli pomóc przy rozładunku i załadunku. Nad ranem daliśmy za wygraną. Isak zapłacił jednemu chłopczkowi we wsi, żeby obserwował niebo i dał znać, gdyby pojawił się samolot. Ale maszyna przepadła jak kamień w wodę. Po jakimś czasie Isak się dowiedział, że samolot nigdy nie doleciał na miejsce, ale wie pani, o czymś takim głośno się nie mówiło. Zwłaszcza wtedy, a tym bardziej później. To była delikatna sprawa, rozumie pani.

Jak bardzo delikatna? – zastanawiała się Rebeka. Wystarczająco drażliwa, żeby zabić dwie młode osoby? Tylko po to, żeby przeszkodzić w odgrzebaniu tej historii? To niemożliwe.

– To było tak dawno temu – powiedział Johannes. – Było i się zbyło. Nikt nie chce o tym pamiętać. A ci, którzy jeszcze pamiętają, wkrótce odejdą. Dziewczyny, które stały przy torach i machały niemieckim żołnierzom jadącym do Narviku; ci wszyscy, którzy świętowali po zamachu na redakcję „Norrskensflamman”^[8]; ci wszyscy, którzy nieustannie kręcili się wokół Niemców stacjonujących w Norrbotten... ożeż, jak tam się podlizywano konsulowi Weilerowi... wszyscy górnicy, którzy nie musieli iść do wojska, bo sprzedawali stal Hitlerowi, wie pani, oni raczej nie płakali z tego powodu. Nie, to dopiero później zaczęto mówić, że mieliśmy nóż na gardle. Przecież sam król sympatyzował z Niemcami.

Johannes wytarł odrobinę kawy, która wylała mu się z ust.

– Myślałem tylko, że szukanie wraku samolotu będzie dla tych młodych ludzi pasjonującą przygodą.

Zapadła cisza.

– Poprosił mnie pan, żebym nie mówiła, że z panem rozmawiałam. Komu mam tego nie mówić? Boi się pan konkretnej osoby?

Johannes milczał. Po chwili wyprostował plecy i spojrzał Rebecce w oczy.

– Krekulów – odpowiedział. – Isak nigdy przed niczym się nie zawahał. Mógłby podpalić dom, kiedy człowiek śpi. A synowie nie lepsi. Strasznie się wkurzyli, jak się dowiedzieli, że opowiedziałem Wilmie o samolocie. Koniec gadania! – dali mi do zrozumienia. Przez tyle lat dla nich pracowałem, pomagałem w tylu sprawach. Zawsze służyłem wsparciem. A oni przychodzą do mnie i...

Ręka, opadła na stół, dokończyła zdanie. Vera, która leżała pod spodem, uniosła głowę i zaszczeła.

– Dlaczego? Czy ten samolot był w jakiś sposób wyjątkowy?

– Nie mam pojęcia. Proszę mi wierzyć. Powiedziałem pani wszystko, co wiem. Myśli pani, że Krekulowie mają coś wspólnego ze śmiercią Wilmy?

– A pan myśli, że mają?

Oczy mężczyzny wezbrały łzami.

– Nie powinienem był jej nic mówić. Chciałem, żeby zobaczyła we mnie kogoś wyjątkowego. Chciałem ją zachęcić do rozmowy. Człowiek jest tu tak piekielnie samotny. To wszystko moja wina!

Trochę później, na ganku, Rebeka wzięła głęboki oddech.

Biedni ludzie, pomyślała. Nie chcę umrzeć w samotności.

Spojrzała na Verę, czekającą ufnie przy samochodzie.

Pies to za mało, powiedziała bezgłośnie.

Włączyła telefon. Dziesięć po siódmej. Żadnych wiadomości. Żadnych nieodebranych połączeń.

Spadaj, odezwała się w myśli do Månsa. Bzykaj się z inną laską, jeśli masz ochotę.

SIEDZĘ NA PARAPECIE u Hjalmara Krekuli. Patrzę na niego, jak wzdrygając się, otwiera oczy. Kołacze w nim niepokój. Niepokój jest żyłasty i ma twarde knykcie jak ojciec Isak. Właśnie wyciągnął ze szlufek skórzany pas.

Hjalmar dużo teraz sypia. Czuje się zmęczony. Na nic nie ma sił. Ale sen jest przerywany i niepewny. Niepokój stawia Krekulę na nogi. Najczęściej już o trzeciej, czwartej rano. Hjalmar przeklina jasne noce, mówi, że to dlatego, choć przecież wie. Serce tłucze się jak szalone. Czasami ogarnia go strach, że naprawdę umrze. Ale zaczyna się przyzwyczajać. Wie, że po chwili serce się uspokoi.

I pomyśleć, że ja już nigdy nie będę spała.

Czasami o mnie śni. O tym, jak wykłułam dziurę w tafli lodu. Śni o wodzie, która z niej wypłynęła, kiedy wyciągnęłam rękę. We śnie woda przybiera, a on w niej tonie. Wtedy zrywa się ze snu i gwałtownie wciąga powietrze w płuca.

Czasami śni, że nie potrafi się uwolnić z żelaznego uścisku mojej dłoni i że wciągam go w głębinę.

Śni o cienkim lodzie. Lodzie, który się pod nim załamuje. A tam już tylko czarna woda.

Nie starcza mu sił, żeby o sobie zadbać. Jakżeż on wyglądał na moim pogrzebie! Niedomyty, z tłustymi włosami.

Hjalmar Krekula spojrział na zegarek w telefonie. Dziesięć po siódmej. Już od dawna powinien być w pracy. Tore nie zadzwonił z pytaniem, gdzie on się, kurwa, podziewa.

Może zasłużył sobie na dzień wolnego, kiedy pomógł w... O, nie. Odsunął wszystkie obrazy i myśli o Hjörleifurze Arnarsonie. To było niepotrzebne. Jakież to wszystko cholernie niepotrzebne!

Robię, co mi każe Tore, z przyzwyczajenia. Najpierw byłem zmuszany. A później się przyzwyczaiłem. To się musiało stać po tej naszej wyprawie do lasu. Przestałem samodzielnie myśleć. Przestałem się zastanawiać. Robiłem, co mi kazano, i tyle.

Jest październik 1957 roku. Sobota. Starsi chłopcy we wsi mają grać w bandy.

Tore pyta tatę, czy może obejrzeć mecz. Tak, może. Bierze ze sobą kijek do bandy i rusza w drogę. Hjalmarowi też wolno pójść, ale najpierw musi nanieść drewna i wody do sauny nad jeziorem. Isak pali w piecu, aż huczy. Szykuje się prawdziwa kąpiel! Wypiłował przy pomoście przerębłę, z której Hjalmar czerpie wiaderkiem wodę i przelewa ją do ogromnego kotła, opalanego drewnem.

Hjalmar nosi. Tore nie musi, choć tej jesieni zaczął chodzić do szkoły. Zaraz na początku roku szkolnego Isak chwycił Hjalmara za ucho i powiedział:

– A teraz zaopiekujesz się bratem jak trza, zrozumiano?

Od wydarzeń w lesie minął ponad rok. Tore ciągle jeszcze dostaje paczki, chociaż już nie tak często. Nowusieńki tornister to prezent od sztokholmskiego Klubu Orientacji Sportowej.

Hjalmar opiekuje się młodszym bratem. A to oznacza, że Tore w szkole ma władzę nie tylko nad rówieśnikami, ale również nad uczniami ze starszych klas. Zabiera im pieniądze, grozi, bije ich i decyduje, kto po lekcjach ma systematycznie dostawać

w skórę. Tym kimś jest ostatnio Alvar, wątły chłopiec w okularach. Gdy tylko ktoś się postawi, albo po prostu odda, Tore wzywa brata. Alvar też ma starszego brata, ale nikt nie chce mierzyć się z Hjalmarem, więc on również nie próbuje. Ojciec chłopców utonął dwa lata temu. Tore i jego kompani zabawiają się kosztem Alvara zupełnie bezkarnie. W trakcie ostatniej lekcji któryś z nich podnosi rękę i prosi o pozwolenie na wyjście do ubikacji. Kiedy później dzwonek oznajmia koniec nauki, buty Alvara są wypełnione wodą, rękawy kurtki zaś – mokrym papierem. Po lekcji gimnastyki dręczyciele zabierają mu spodnie i Alvar musi iść do domu w slipkach. Nieustannie się boi. Wraca ze szkoły biegiem. Żebrze u pani, by mu pozwoliła wyjść z klasy przed dzwonkiem. Mówi, że go boli brzuch. Z pewnością nie kłamie. Przychodzi do mamy w potarganym ubraniu i ze zniszczonymi książkami, ale nie ma odwagi powiedzieć, kto się za tym kryje. Starszy brat też milczy.

Taki jest ten mały bohater, Tore z Piilijärvi. Sztokholmski Klub Orientacji Sportowej oczywiście nie ma o tym pojęcia.

W każdym razie Hjalmar przyniósł teraz wystarczająco dużo wody i drewna na wieczorną kąpiel w saunie i może pobiec na drugi koniec wsi, by popatrzeć na mecz. Brzozowe gałęzie służą za słupki bramek. Nie wszyscy gracze mają łyżwy, niektórzy biegają po lodzie w butach. Większość kijków jest domowej roboty.

Na widok brata Tore się rozpromienia, choć udaje, że go nie zauważył. Hjalmar czuje, że zanosí się na coś nieprzyjemnego. Jakiś wewnętrzny głos mówi mu, że jak najszybciej powinien wrócić do domu, ale nie wraca.

Wtem Hans Aho strzela na bramkę, Yngve Talo broni, ktoś inny robi dobitkę, wszczyna się tumult. I właśnie wtedy Tore wbiega na lód ze swoim kijkiem i piłeczką. Strzela do pustej bramki po drugiej stronie.

– Słuchaj no, chłopcze, zejź z boiska! – woła bramkarz, zmuszony ruszyć do ataku.

– Przestań, Tore! – woła jedna z dziewcząt oglądających mecz.

Ale Tore nie przestaje. Bramkarz podjeźdźa więc bliżej i upomina go raz jeszcze. Tore zaśmiewa się i schodzi, ale po chwili wraca. Zaczyna dryblować.

Uczestnicy meczu przerywają grę. Nalegają, żeby Tore poszedł do domu. Tore pyta, czy aby na pewno jezioro należy tylko do nich. Nic mu o tym nie wiadomo.

– Hjalmar! – woła. – To ich jezioro czy jak? Wiesz coś o tym?

Kiedy starsze chłopaki grają, gówniarze mają stać na uboczu, to niepisana reguła.

Gracze spoglądają w kierunku Hjalmara. Kilku jest w jego wieku, pozostali są starsi. Ciekawi, czy Hjalmar zamierza się w to wmieszać. Wszyscy wiedzą, że bracia Krekulowie trzymają się razem. Nie żeby Hjalmar miał jakąś szansę przeciw całej drużynie, choć zazwyczaj nie odstrasza go nawet to, że jest na straconej pozycji. Chodzi raczej o to, jak duża z tego będzie chryja.

Hjalmar jest wkurzony. Po jaką cholere ten smarkacz ciągle się wdaje w bezsensowne awantury? Niech sobie teraz radzi sam, myśli Hjalmar i odwróciwszy głowę, patrzy na jezioro.

Chłopaki pojmują sygnał. Starszy brat nie ma zamiaru się wtrącać.

Jeden z graczy, Torgny Ylipää, od dawna zły na Torego, trąca go w pierś.

– Spadaj do domu, do mamy – mówi.

Tore oddaje. Mocno. Pac, i Torgny siada na tyłku.

– Sam spadaj!

Torgny błyskawicznie staje na nogi. Tore zamierza się kijkiem, ale któryś z chłopaków chwyta go za rękę i uniemożliwia cios. Torgny wykorzystuje szansę, by huknąć Torego prosto w nos.

– Spadaj do domu, powiedziałem!

Tore zaczyna płakać. Może leje mu się krew z nosa. Nikt nie zdąży tego zauważyć, ponieważ ucieka, zasłaniając ręką twarz. Na lodzie leży jego kijek do bandy. Ktoś go podnosi i odkłada na bok.

– No to co, gramy?

Mecz trwa w najlepsze.

Mija kwadrans. Nagle pojawia się ojciec Krekulów. Idzie prosto przez boisko ku Hjalmarowi. Pobielały na twarzy z wściekłości. Mecz znów zostaje przerwany i teraz wszyscy patrzą, jak Isak chwyta starszego syna i nic nie mówiąc, prowadzi brutalnie przed sobą. Trzyma go za kołnierz kurtki.

Nie wypowiada ani słowa, gdy wlecze go wzdłuż wiejskiej drogi. Słyszą tylko jego sapanie, przepełnione złością. Kiedy przecinają podwórze przed domem, Hjalmar zaczyna się bać nie na żarty. Ojciec ciągnie go dalej, do sauny. Co chce zrobić?

– Tato – mówi chłopiec. – Poczekaj. Tato!

Ale Isak każe mu się zamknąć. Nie ma ochoty na żadne tłumaczenia.

Stają przy pomoście. Nad przerębłą, z której przed niespełną godziną Hjalmar wybierał wodę.

Isak zrywa synowi czapkę. Rzuca ją na brzeg. Hjalmar się opiera, ale przyciskany coraz silniej przez ojca, pada w końcu na kolana. I nagle jego głowa znajduje się pod wodą.

Wymachuje rękami. Czuje, jak czaszka pęka mu z zimna. Jest silny, na moment udaje mu się unieść głowę nad powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, lecz już po chwili Isak znów zwycięża.

Hjalmar myśli, że zaraz umrze.

I umiera. Spływa weń światło słońca. Jest późnoletnie popołudnie, a on idzie boso przez las. Pod stopami igliwie i szyszki; nie szkodzi, bo podeszwy ma stwardniałe. Idzie po konie, pasące się w lesie. Stoją tam wśród sosen, pocierają się nawzajem szyjami, odganiają ogonami muchy, które im dokuczają. Pachnie dzikim rozmarynem i ziemią rozgrzaną słońcem. Korą, mchem, żywicą. Mrówki, podążając swoją dróżką, przecinają leśną ścieżkę. Konie rżą życzliwie na jego widok.

Kiedy odzyskuje przytomność, leży na podłodze w przedsionku sauny. Słyszy ogień buzujący w kominku. Podnosi się i na czworakach wymiotuje wodą z jeziora. Potem kładzie się na plecach.

Isak stoi nad nim z papierosem w ustach.

– W tej rodzinie trzymamy się razem – mówi. – Zapamiętaj to sobie.

Rebeka Martinsson otworzyła ciężkie wrota magistratu. Z przyjemnością dotykała pięknych uchwytów, rzeźbionych niczym bębny szamanów.

Wewnątrz budynku rozwarła się nad nią ogromna przestrzeń; wysoki sufit, ozdobne ściany z cegły, *Bęben Słońca* – kobierzec ze wszystkimi barwami górskiego lata i jesieni.

Zameldowała się w recepcji.

– Chciałabym odwiedzić archiwum miejskie – oznajmiła chłopakowi za kontuarem.

Nie czekała długo, już po chwili podszedł do niej mężczyzna w czarnych dżinsach i czarnej marynarce. Miał brązowe, wypucowane buty i ciemne, zaczesane do tyłu

włosy.

– Jan Viinikainen, kierownik archiwum – powiedział i na szwedzką modłę wyciągnął rękę na powitanie. – A więc w czym mogę pomóc władzy?

Rebeka podniosła pytająco brwi.

– Och – dodał – jest tu pani znana. Dość sporo pisano o tym, jak pani zabiła tych pastorów. W obronie własnej, wiem.

Rebeka stłumiła w sobie chęć, by obrócić się na pięcie i uciec.

On tego nie rozumie, pomyślała. Ludzie nie rozumieją. Uważają, że mogą wszystko powiedzieć, że to nie boli.

– Nie jestem pewna, czego szukam – zaczęła z wahaniem. – Chciałabym dowiedzieć się jak najwięcej o starej firmie przewozowej z Piilijärvi założonej przez Isaka Krekulę.

Rozłożyła ręce i uniosła ramiona w geście bezradności.

– W jakim okresie? – spytał mężczyzna.

– Firma powstała w latach czterdziestych, wezmę wszystko, co pan ma.

Przez moment zastanawiał się w milczeniu. Później dał jej znak ręką, żeby podążyła za nim. Zeszli krętymi schodami do piwnicy, minęli pokój, który prawdopodobnie był miejscem pracy Viinikaina, dokładnie naprzeciw białej, metalowej furki do archiwum. Mężczyzna otworzył bramkę prowadzącą do tego świętego miejsca i zamasztywym ruchem ręki zaprosił Rebeke do środka.

Szli wzdłuż rzędów regałów z szarej stali. Wokół roило się od skoroszytów najprzeróżniejszych rodzajów i rozmiarów; miały grzbiety z tkaniny, grzbiety z plastiku, grzbiety z metalu. Były tam rejestry zszywane i rejestry w twardej oprawie, stare materiały elegancko przepasane sznurkiem i zaplombowane pieczęcią z laku. Na ciężkich dębowych szafach aktowych stały elektryczne maszyny do pisania marki Triumph i Facit, dawno przeniesione na emeryturę. W specjalnych szufladach spoczywały plany miasta. Niewielkie szafki kartotekowe walczyły o miejsce z tekturowymi pudłami archiwizacyjnymi. Tu i ówdzie leżały papierowe tuby we wszystkich możliwych rozmiarach. W jednym z wewnętrznych pomieszczeń znajdowały się przesuwane metalowe regały z półautomatycznym napędem, uruchomionym właśnie przez Viinikaina.

– Manewruje pani w ten sposób – powiedział i pociągnawszy za długi uchwyt z gałką, sprawił, że najbliższy regał powoli zaczął przesuwać się w bok. – Na pani miejscu przejrzałbym rejestry działalności gospodarczej, może *Przewodnik handlowy*. Tam dalej ma pani materiały koncernu Tekniska Verken.

Rebeka ściągnęła płaszcz. Jan Viinikainen wrócił za biurko.

To dopiero szukanie igły w stogu siana, pomyślała. Przecież na dobrą sprawę nawet nie wiem, czego szukam. Spacerując między regałami, zerkiała a to na artykuły o frenologii napisane w latach trzydziestych i czterdziestych, a to na rejestry zasiłków wypłacanych przez Urząd Opieki nad Biednymi w Jukkasjärvi, a to na dzienniki zajęć praktycznych w archiwum szkolnym.

Przestań narzekać, upomniała sama siebie. Zakasuj rękawy i do roboty!

Po godzinie i dziesięciu minutach trafiła na nazwę firmy przewozowej Krekulów. Znalazła ją w spisie przewoźników w gminie municypalnej Kirunie, razem z danymi o liczbie i rodzaju pojazdów, danymi przedstawiciela firmy oraz adresami.

Szukała energicznie, rozwiązywała tasiemki nie rozwiązywane od sześćdziesięciu lat, marszczyła nos, gdy z półek podrywały się obłoczki kurzu, otwierała pudełka nie otwierane od równie długiego czasu. Nawdychała się tyle pyłu i skruszałej celulozy, że w końcu zaczęła odczuwać potworny ból głowy.

Kierownik archiwum przyszedł zapytać, jak jej idzie.

– Dobrze – odparła. – W każdym razie coś znalazłam.

Vera czekała w samochodzie na parkingu. Podniosła się w klatce i zaczęła wymachiwać przyjaźnie ogonem, kiedy Rebeka wsiadła do środka.

– Dzięki za cierpliwość – powiedziała Rebeka. – Teraz zrobimy sobie spacer.

Wjechała na zbocze góry Luossavaara i wypuściła sukę, która natychmiast przykucnęła.

– Rozumiem, moja mała, przepraszam – zwróciła się do zwierzęcia; w jej głosie pobrzmiwało poczucie winy.

– Wyrzuty sumienia? – usłyszała za plecami znajomy głos.

Krister Eriksson. Ubrany jak do biegania. Pomarańczowa kurtka wiatroodporna gryzła się z jego różową, pergaminową twarzą.

Uśmiechając się, obnażył zęby, białe i równe. Tylko one wydawały się nie uszkodzone przez ogień.

– A kogoż tutaj mamy?! – wykrzyknął życzliwie, patrząc na Verę. – Tintin będzie zazdrosna.

– To pies Hjörleifura Arnarsona. Byłam zmuszona ją przygarnąć, inaczej dostałaby bilet do psiego nieba.

Krister z powagą kiwnął głową.

– A ty teraz prowadzisz postępowanie przygotowawcze. Wilma Persson z pewnością jest zadowolona.

– Nie wierzę w takie rzeczy – odpowiedziała Rebeka niechętnie.

Pokręcił głową i zamrugnął powiekami.

– Przyszedłeś tutaj pobiegać? – spytała, żeby zmienić temat.

– Mhm. Robię krótkie podbiegi do starej wieży szybowej. Ale właśnie skończyłem.

Rebeka spojrzała w górę na opuszczoną konstrukcję, bezoką i szarą.

Jeżeli budowle potrafią zamieniać się w duchy, to ta do nich należy jak nic, pomyślała. Nocą na pewno tutaj straszy.

– Prawda, że jest niesamowita? – spytał Krister, jak gdyby czytając w jej myślach. – Chcesz się przejść na szczyt? Lekkie rozluźnienie mięśni mi nie zaszkodzi. Poczekaj chwilę, skoczę tylko do auta po coś cieplejszego.

Wrócił w tanim miętowym kombinezonie, który miał jakieś dwadzieścia lat i z pewnością zaliczył niezliczone prania.

Boże ty mój! – krzyknęła w myślach Rebeka. Ale może on z tym swoim wyglądem po prostu nie dba o to, co na siebie wkłada?

Szkoda, pomyślała. Szedł kilka kroków przed nią, bawiąc się z Verą.

Miał szczupłe i wytrenowane ciało, które prezentowałoby się świetnie w każdym ubraniu. No, może z wyjątkiem zużytych kombinezonów z lat osiemdziesiątych...

– Do czego się uśmiechasz? – spytał wesoło.

– Do wszystkiego – skłamała bez skrępowania. – Kocham Luossavaarę. Widok stąd.

Zatrzymali się i spojrzeli na miasto. W tle wydrążona Kirunavaara, z kopalnianymi

tarasami ze skały płonnej. Na północnym wschodzie typowa piramidalna sylwetka szczytu Ädnamvaary. Elektrownia wiatrowa na terenie nieczynnej kopalni miedzi Viscaria. Drewniany czerwono-brunatny kościół, który wyglądem przypomina lapoński namiot. Magistrat z charakterystyczną wieżą zegarową w czerni. Żelazna konstrukcja z wystającymi ozdobami. Zawsze kojarzył się jej z grupką ciemnych górskich brzoź zimą albo płataniną reniferowych poroży. Lokomotywnia w kształcie podkowy z przyległymi domkami, w których dawniej mieszkali pracownicy kolei. Punktowce przy Gruvvågen i Högalidsgatan.

– Popatrz! Dzisiaj widać cały masyw Kebnekaise!

Wskazał przed siebie, na niebieskawy łańcuch gór na północnym zachodzie.

– Nigdy nie wiem, która z nich to Keb – przyznał. – Podobno nie ta najwyższa.

Rebeka wyciągnęła rękę, a on przechylił głowę ku jej głowie, by łatwiej podążyć wzrokiem w kierunku wytyczonym przez jej palce.

– Widzisz Tuolpagorni? – spytała. – Z tym niewielkim kraterem. Pierwsza po prawej to właśnie Kebne.

Nagle odsunął się od niej.

– Przepraszam – powiedział. – Wiszę nad tobą i śmierdzieć potem.

– Nie szkodzi – odparła, czując, jak przepływa przez nią fala ciepła.

– Najwyższy szczyt w Szwecji – oznajmił radośnie i mrużąc oczy, przyglądał się całemu łańcuchowi górskiemu.

– Najładniejsza budowla w Szwecji w roku dwa tysiące pierwszym – powiedziała Rebeka i wskazała na kościół.

– Najładniejsza budowla w Szwecji w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym – powiedział Krister i wskazał na budynek magistratu.

– Najładniejsze szwedzkie miasto – odparowała ze śmiechem.

Architekt miejski chciał rzeczywiście zaprojektować Kirunę jak jedno wielkie dzieło sztuki. W tamtych czasach budowano miasta z regularną siatką ulic i aleją prowadzącą do rynku z ratuszem. Tutaj ulicom pozwolono swobodnie opasywać podnóże góry.

– Trudno mi zrozumieć, że wkrótce to wszystko przeniosą – odezwał się Krister.

– Mnie też. Haukivaara to przecież perfekcyjne miejsce pod miejską zabudowę.

– No, ale jeśli jęzor rudy żelaza leży pod miastem...

– ...to miasto musi się przeprowadzić.

– Żeby nie było: ja stąd nie pochodzę. Ale mam wrażenie, że ludzie się specjalnie nie przejmują. Kiedy pytam, co czują w związku z planem przeniesienia miasta, najczęściej tylko wzruszają ramionami. Moja sąsiadka, osiemdziesięcioletnia staruszka, mówi, że powinni przesunąć Kirunę na zachód, bo wtedy będzie miała bliżej do sklepu. Trochę mnie to dziwi. Jediną osobą mającą jakieś zdanie jest ta, która zdąży spocząć w ziemi, zanim te przenosiny w końcu dojdą do skutku.

– A ja myślę, że... ludzie się przejmują – powiedziała Rebeka z wahaniem. – Tylko że my, mieszkańcy Kiruny, zawsze mieliśmy świadomość, że jesteśmy tu dzięki kopalni. I że kiedy ona przestanie być opłacalna, nie będziemy mieli z czego żyć. Więc jeżeli zarząd spółki postanowił, że przeniesie miasto, to nie ma o czym dyskutować. Akceptujemy zmianę i już. A jeśli akceptujemy, to nam się wydaje, że nie mamy prawa nad tym boleć.

– Chociaż jedno nie wyklucza przecież drugiego.

– Tak, wiem. Ale myślę, że musi upłynąć trochę czasu, żebyśmy to zrozumieli. Że mimo tej przymusowej sytuacji możemy żałować miasta, które już nigdy nie będzie takie samo.

– Powinno się organizować koncerty przy domach przeznaczonych do rozbiórki – rozmarzył się Krister. – Płaczliwe party. Muzyka. Recytacje. Opowiadanie historii.

– Jasne, przyszedłbym na pewno – uśmiechnęła się Rebeka.

Przypomniało jej się, jak była tu kiedyś z Månsem. Marzył i nie potrafił sobie znaleźć miejsca. A ona chciała pokazać mu miasto i porozmawiać. Tak jak teraz.

REBEKA MARTINSSON siedziała na ławie kuchennej w kotłowni Sivvinga. Miała na sobie zrobiony na drutach sweter, który kiedyś należał do jej ojca, a na nogach grube wełniane skarpety.

Sivving stał przy piecu, odziany w jeden z fartuchów żony, którego Rebeka jeszcze nigdy nie widziała. Ten był w niebiesko-białe paski i miał falbanki na dole oraz na ramionach.

Na żeliwnej patelni podgrzewał się wędzony szczupak. Na rączce wisiała łapka

kuchenna, zrobiona szydełkiem przez Maj-Lis. W aluminiowym garnku gotowały się ziemniaki.

– Muszę zadzwonić – powiedziała Rebeka. – Mogę?

– Obiad będzie gotowy za dziesięć minut.

Wybrała numer Anny Marii. Policjantka odpowiedziała momentalnie. Gdzieś w tle słychać było płacz dziecka.

– Przepraszam – zaczęła Rebeka. – Przeszkadzam?

– Nie, nie przeszkadzasz – odparła Anna Maria i westchnęła. – To Gustav. Zamknęłam się na dłuższe posiedzenie w ubikacji, chciałam sobie przy okazji poczytać „My w willi”, a mały uczeplił się klamki i wpadł w histerię. Poczekaj chwilę.

– Robert! – krzyknęła. – Możesz się zająć swoim synem?

Jasny męski głos zaczął nawoływać zachęcająco:

– Gustek, Gustek, chodź do tatusia!

– No, chyba rozumiesz, że on sam nie... Weź go spod tych drzwi! – wrzasnęła Anna Maria. – Zanim się potnę!

Po chwili Rebeka usłyszała, jak wyjące dziecko zostaje przeniesione w inne miejsce.

– No, nareszcie! – westchnęła komisarz Mella. – Teraz możemy porozmawiać.

Rebeka streściła w kilku zdaniach, czego się dowiedziała od Johanna Svarvarego o samolocie i o groźbach braci.

– Myślę, że miałaś rację od samego początku – powiedziała. – To z pewnością Hjalmar i Tore Krekulowie.

Anna Maria mruknęła, potwierdzając, że słucha.

– Po południu byłam w archiwum miejskim – kontynuowała Rebeka – żeby zdobyć trochę informacji o firmie przewozowej.

– No i?

– Znalazłam spis takich firm w gminie. No wiesz, ile w każdej było pojazdów, zatrudnionych kierowców i tak dalej. W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Krekula miał dwie ciężarówki, w czterdziestym drugim – cztery, rok później osiem, a w czterdziestym czwartym – jedenaście.

– Aha... I co?

– W ciągu tych kilku lat nastąpił dość gwałtowny rozwój firmy. Właściciel powiększył stan posiadania o prawie pięćset procent. Oprócz tego sprawił sobie pięć furgonetek z chłodnią. Kiedy porównałam jego wyniki z innymi przewoźnikami, okazało się, że żaden z nich nawet nie dorastał do tego poziomu.

– Aha.

– Isak Krekula był w dobrych stosunkach z armią niemiecką. To w zasadzie nic dziwnego, nie był odosobniony. Na przykład w Luleå Niemcy mieli potężne magazyny ze sprzętem i prowiantem. Potrzebowali pojazdów, żeby transportować to wszystko na front wschodni. Znalazłam kopię umowy między armią niemiecką a spółką Szwedzkie Centrale Samochodów Dostawczych. Ponieważ zimą z czterdziestego pierwszego na czterdziesty drugi żołnierze zamierzali w fińskiej Laponii, niemiecki attaché wojskowy w Szwecji zamówił w szwedzkich fabrykach partię drewnianych baraków. Żeby przewieźć te baraki na front, potrzebowali kontraktu z przedsiębiorstwem transportowym. Właśnie o takich dostawach traktowała umowa z SCSD. Tej zimy więc między Norrbotten a frontem nieustannie kursowały szwedzkie samochody. Na załączniku do umowy figuruje nazwa firmy przewozowej Isaka Krekuli. A sama umowa została podpisana za przyzwoleniem MSZ-etu i szwedzkiego rządu.

– Okej – mruknęła Anna Maria, usiłując oderwać wzrok od artykułu o przechowywaniu rzeczy.

– W końcu wszystkie baraki dostarczono na miejsce, ale transporty dla Niemców nie ustały. Przewożono teraz również broń, chociaż o tym nie było ani słowa w umowie z SCSD. Znalazłam też list od oberlejtanta Walthera Zindla, który był stacjonującym w Luleå oficerem odpowiedzialnym za niemieckie zapasy w regionie, do Martina Waldenströma, dyrektora LKAB-u^[9]. Zindel żąda, by LKAB zwolnił Isaka Krekulę z umowy z koncernem; chodziło o cztery ciężarówki pracujące w kopalni, które Niemcy chcieli wynająć do transportów w fińskiej Laponii.

– Wybacz, jeśli jestem ciężko myśląca... – zaczęła Anna Maria.

– Nie jesteś ciężko myśląca. To przecież jeszcze nic nie znaczy. Ale myślę tak: jak to się stało, że firma Krekuli rozrosła się o wiele szybciej niż konkurencja? Firma przewozowa w czasie wojny to lukratywny interes. To jasne, że wszyscy chcieli

inwestować i się rozwijać. Ale skąd Krekula miał pieniądze na tak duże inwestycje? Sama firma nie mogła wygenerować tyle środków, bo w takim razie przynajmniej jeden z jego konkurentów rozwinąłby się w podobnym tempie. A mój sąsiad Sivving twierdzi, że Krekulowie od dawien dawna byli zwykłymi wyrobnikami folwarcznymi i nie mieli w rodzinie dużych pieniędzy.

– Myślisz, że zajmował się czymś nielegalnym?

– Może. Skądś te pieniądze brał. Zastanawiam się skąd. Zastanawiam się też, dlaczego oberlejtant Zindel żądał od dyrektora kopalni zwolnienia Krekuli z trzyletniego kontraktu. Dlaczego właśnie jego? Przecież LKAB miał umowy także z innymi przewoźnikami.

– Więc?

– Więc... nie wiem – westchnęła Rebeka. – Nie wiem nawet, jak się do tego zabrać, żeby sprawdzić, co z tego Isaka za gagatek albo czy miał jakieś nie załatwione interesy z Waltherem Zindlem. A poza tym i tak nic by nam to nie pomogło. Nawet jeżeli dowiedzimy, że w jego firmie doszło do jakichś nieprawidłowości, to przecież same nieprawidłowości nie świadczą o tym, że jego synowie mają coś wspólnego ze śmiercią Wilmy Persson i Simona Kyrö.

– Jeżeli Simon Kyrö nie żyje – wtrąciła mechanicznie Anna Maria.

– Jasne, że nie żyje – odparła Rebeka, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Jak tylko stopnieje lód na Vittangijärvi, to go znajdziemy.

– Dzięki! Sama się wręcz zmuszałam, żeby nie wykluczać innych możliwości. Na przykład, że to on mógł ją zabić.

– A później jeszcze Hjörleifura Arnarsona? Nie sądzę. Skoncentrujmy się raczej na jednej hipotezie. Nie dysponujemy nieograniczonymi środkami.

– Teraz pozostaje nam tylko czekać – stwierdziła Anna Maria. – Mam nadzieję, że badania zwłok Hjörleifura Arnarsona i jego mieszkania albo ubrań braci Krekulów przyniosą jakiś rezultat. Mam nadzieję, że jak tylko lód stopnieje, znajdziemy Simona Kyrö i drzwi i że będą na nich odciski albo coś.

Sivving chrząknął i spojrzał wymownie na Rebeke.

– Muszę kończyć – powiedziała Rebeka. – Zobaczymy się jutro na porannej naradzie.

– Johannes Svarvare powiedział mi, że Isak Krekula dostał zawału jakiś tydzień przed zniknięciem Wilmy i Simona – mówiła dalej Anna Maria. – I kiedy to z siebie wyrzucił, miałam wrażenie, że chce powiedzieć więcej, ale coś go powstrzymało.

– On się ich boi.

– Zastanawiam się, czy stary Krekula nie dostał zawału po tym, jak się dowiedział, że Wilma i Simon chcą nurkować, żeby znaleźć samolot. Ten cholerny samolot odgrywa tu z pewnością jakąś rolę. Że też musimy teraz, kurza dupa, mieć do czynienia ze zmurszałym lodem, nie da się wejść na jezioro. Musimy czekać. Nie cierpię czekać!

– Ja też nie cierpię czekać.

– Ja też! – oznajmił Sivving, z hukiem stawiając na stole garnek pełen ziemniaków.

– Nie cierpię czekać z obiadem, aż w końcu wystygnie.

Anna Maria się zaśmiała.

– Co będziecie jeść?

– Wędzonego szczupaka.

– Wędzony szczupak, nigdy takiego nie próbowałam.

– Pyszny! A wy?

– Już jedliśmy – odpowiedziała Anna Maria. – Gustav decydował, więc padło na „mordadelę”.

– No i jak? – spytał Sivving, kiedy Rebeka odłożyła telefon. – Jak wam idzie?

– Tak sobie; myślę, że winę ponoszą bracia Krekulowie, ale...

Wzruszyła ramionami.

– Cała nadzieja w wynikach badań technicznych.

Sivving jadł w milczeniu. Słyszał, jak Rebeka mówiła o firmie Krekuli i Niemcach w czasie wojny. Wiedział, z kim mogłaby porozmawiać, żeby dowiedzieć się tego i owego. Pytanie tylko, czy ta osoba miałaby ochotę coś powiedzieć.

Måns Wenngren siedzi po ciemku w swoim mieszkaniu na Floragatan. Zgasił wszystkie lampy. Jedyńm źródłem światła jest drgająca poświata telewizora. Pokazują któryś ze znanych mu już odcinków *Kronik Seinfelda*.

Minął dzień, a Rebeka nie zadzwoniła. Żadnego SMS-a, nic. Poprzedniego

wieczoru esemesowała, dzwoniła. Måns nie odbierał. Zostawiła wiadomość.

Teraz żałuje, że nie odpowiedział. Ale to zawsze ona dyktuje warunki. Chce mieszkać w Kirunie. Pracuje i nie ma czasu na rozmowy.

Wczoraj. Miał chyba jakieś mgliste przekonanie, że powinien dać jej nauczkę. Uświadomić, jak mu daleko do zakochanego idioty, który będzie stał i czekał tam, gdzie ona go postawi.

– Tak, jestem wściekły! – mówi głośno w pustą przestrzeń mieszkania. – I mam ku temu powód.

Odkłada telefon. Jeżeli ona jutro się nie odezwie, to on zadzwoni.

– Ale nie zamierzam przeproszać – dodaje.

Tęskni za nią. Wierzy, że się pogodzą. Chce do niej pojechać na weekend. Weźmie wolne w piątek. Nie ma zaplanowanych żadnych spotkań.

CZWARTEK, 30 KWIETNIA

ZERWAŁA SIĘ burza śnieżna. Kwiecień plecień w Kirunie. Rebeka zbudziła się rano i nie mogła przez okna dojrzeć nic więcej niż tylko biały wiatr, który gnał śnieg wokół domu.

O wpół do szóstej, kiedy nalała sobie kawy, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczyła nazwisko Marii Taube, byłej koleżanki z pracy w kancelarii Meijer & Ditzinger. Pracowały razem dla Månsa, zanim Rebeka przeprowadziła się do Kiruny.

Nacisnęła „odbierz” i wydała teatralny jęk osoby dopiero co wyrwanej ze snu.

– Oj, przepraszam – złączyła się Maria. – Obudziłam cię?

Rebeka wybuchnęła śmiechem.

– Nie, no co ty. Żartuję. Już nie śpię.

– Wiedziałam, neurotyczna pracoholiczko! Do ciebie można dzwonić śmiało skoro świt. Chociaż nie wykluczam, że może jednak zaraziłaś się tym słynnym norlandzkim spokojem.

– Tak, zaraziłam się, ale tutaj kobiety wyskakują z łóżka przed świtem.

– No tak, wiem; ta, która zerwie się najwcześniej, dostanie medal. Moje ciotki są takie. Siedzą na przyjęciu i licytują się, która wcześniej wstała. „Obudziłam się o piątej i pomyślałam, że w zasadzie od razu mogę machnąć okna”. „A ja się obudziłam o wpół do czwartej. Pomyślałam, że się zmuszę, żeby jeszcze trochę poleżeć, i koniec końców wstałam dopiero godzinę później”.

– Czyli mniej więcej tak jak my – stwierdziła Rebeka i upiła trochę kawy. – Jesteś w pracy?

– W drodze. Idę pieszo. Posłuchaj!

Ze sztokholmskiej ulicy dochodziły wiosenne trele ptaków.

– A u nas potworna śnieżnica...

– Żartujesz! Tutaj właściciele restauracji powyciągali meble ogrodowe, a szefowie

naszej firmy wyliczają, ile tulipanów wzeszło na trawnikach w ich wiejskich posiadłościach.

– Masz czas na wąchanie tulipanów, serduszko?

– Nie, kochana. Utknęłam w pewnym schemacie: zapracowuję się na śmierć i tkwię w destruktywnych relacjach.

– Możesz ten schemat zmienić – odparła Rebeka dziarskim głosem pogodynki. – Twoje ciało potrafi robić inne rzeczy, przeszkadza mu jedynie świat twoich myśli. Odważ się spróbować. Załóż zegarek na drugą rękę. Chodziłaś dzisiaj tyłem?

– Jesteś z ciemnej strony mocy – powiedziała głucho Maria. – Faktycznie, czytałam książkę o *mindfulness*. Autorzy twierdzą, że trzeba żyć w terażniejszości. Ale czy oni kiedykolwiek próbowali żyć w terażniejszości u Meijera & Ditzingera?

– Czy to znaczy, że Måns jest upierdliwy?

– Owszem. Pokłóciliście się czy co? Facet jest w cholernie złym humorze. Wczoraj dostał szału, ponieważ na wniosku o odroczenie płatności podatku zapomniałam umieścić firmę Alea Finans.

– Nie, nie pokłóciliśmy się tak wprost. Ale jest na mnie zły.

– Dlaczego? Nie wolno mu się dąsać. A ty spraw, żeby był radosny, syty i zaspokojony, bo może wtedy przestanie się, kurde, przejmować Aleą Finans, która musi wyłożyć pięć kafli za zwłokę. Przecież oni mają ponaddwumiliardowe obroty! Tylko mi nie mów o nadszarpniętym prestiżu kancelarii, bo właśnie wysłuchałam całego wykładu na ten temat. No, to dlaczego jest zły?

– Uważa, że się za bardzo dystansuję. I nie podoba mu się, że tyram tutaj na północy. A co mam robić? Przeprowadzić się do niego? Poczekać, aż – znudzony mną – zacznie chodzić po knajpach i rwać aplikantki?

Maria Taube milczała.

– Wiesz, że mam rację. Niektórzy właśnie tacy są. Faceci i psy. Przylatują do ciebie, machając ogonem, tylko wtedy gdy na nich nie patrzysz i sygnalizujesz totalny brak zainteresowania.

– Ale przecież on cię kocha... – próbowała oponować Maria.

Wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Jej przeprowadzka do... hm... Kurrkivare dobrze mu zrobiła. Måns należał do mężczyzn, którym bliskość nie wychodzi na

zdrowie. Zarówno Maria, jak i Rebeka nieraz widziały, jak topniała jego fascynacja kobietami pięknymi i zdolnymi, które za bardzo się do niego przywiązały.

– A gdyby taki nie był... Mogłabyś wrócić do Sztokholmu?

– Myślę, że bym się rozchorowała – powiedziała Rebeka bez radości w głosie.

– No to zostań. Bądźcie ze sobą na odległość. Fajnie jest trochę potęsknić.

– No – przyznała Rebeka.

Chociaż na dobrą sprawę już nie tęsknię, uświadomiła sobie. Lubię go. Lubię, jak tutaj przyjeżdża. Dobrze nam ze sobą. Czasami tęsknię za seksem. Chcę spać na ramieniu tego mężczyzny. A teraz, kiedy się nie odzywa... Jasne, że czuję się mała i śmiertelnie przerażona, że go utracę. Ale jeśli on już po trzech dniach nie może sobie tutaj znaleźć miejsca... Strasznie trudno mi to wytrzymać. Że muszę wymyślać nie wiadomo co, żeby wprawić go w dobry nastrój. Że on nie potrafi zrozumieć, dlaczego chcę tu mieszkać. A teraz stroi fochy i nie odbiera telefonów.

Przeszło jej przez myśl, żeby zapytać przyjaciółkę, czy nie znalazł sobie innej. Czy nie ma jakiejś kandydatki w kancelarii.

Zapytam, kurde! Dawniej nie spałabym pół nocy, tworząc w głowie setki obrazów. Ale teraz nie mam siły. Nie chcę.

– Już jestem w pracy – oznajmiła Maria, dysząc. – Słyszysz, jak idę po schodach, zamiast jechać windą?

Rebeka już miała odpowiedzieć: „W każdej chwili powinniśmy zadawać sobie pytanie: co zrobiłaby nasza guru, Blossom Tainton?”, ale nagle straciła ochotę na żarty. Czasami w rozmowach z Marią było tych żartów za dużo. Czasami może nawet z tego powodu obie ociągaly się z dzwonieniem do siebie. Robiło się zbyt wesołkowato.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś – powiedziała po prostu.

– Brakuje mi ciebie – wyznała z westchnieniem Maria. – Nie możemy się spotkać, kiedy przyjedziesz następnym razem? Bo chyba cały czas nie musisz być w pozycji horyzontalnej?

– A kto zawsze...

– Dobra, dobra. Zadzwoń. Pa!

Vera wstała i szczerknęła.

Po chwili na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki Sivvinga. Bella drapała już w drzwi do sieni na piętrze.

Rebeka wpuściła ją do środka. Wylizca natychmiast podbiegła do psich misek w kuchni. Wylizła je na wszelki wypadek, mimo że były puste, a potem zawarczała w stronę Very, trzymającej się dostojnie na odległość. Kiedy w końcu suki się przywitały, zaczęło się radosne przekomarzenie i miętoszenie gałgankowych dywaników.

– Co za pogoda – westchnął Sivving. – To śnieżne diabelstwo zacina prosto z boku. Popatrz!

Ściągał z ramion skorupy zlodowaciałego śniegu.

– Mhm – mruknęła Rebeka. – Jutro w Sztokholmie będą śpiewać *Witaj, piękny maju*.

– No tak – burknął Sivving, zniecierpliwiony. – A potem, jak będą wracać z ogniska, to ktoś ich zabije na ulicy i tyle.

Nie lubił jej porównań Sztokholmu z Kiruną, kiedy wypadały na korzyść stolicy. Bał się, że znów ją straci na rzecz wielkiego miasta.

– Masz czas? – spytał.

Rebeka zrobiła przeproszącą minę i chciała powiedzieć, że musi wrócić do pracy.

– Nie chodzi o pomoc w odśnieżaniu ani nic w tym rodzaju – zachnął się. – Ale myślę, że powinnaś się spotkać z pewną osobą. Dla własnego dobra. Albo raczej – dla dobra Wilmy Persson i Simona Kyrö.

Dom opieki nazywał się Górskie Domostwo. Już na progu Rebeke ogarnęło przygnębienie. W żółciutkim holu otrzepali się jako tako ze śniegu i weszli na górę po schodach. Wszystko wokół sygnalizowało, że oto znaleźli się w instytucji: wypolerowane szare podłogi, malowane tapety tekstylne, praktyczne sosnowe meble.

W kuchni dwie osoby na wózkach inwalidzkich siedziały pochylone nad śniadaniem. Kobieta była podparta poduszkami, żeby nie przewróciła się na bok. Mężczyzna coraz bardziej podniesionym głosem powtarzał: „tak, tak, tak”. Ucichł dopiero wtedy, gdy opiekunka uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu. Sivving i Rebeka minęli ich w pośpiechu, starając się nie patrzeć.

Spraw, bym nie musiała, modliła się Rebeka. Spraw, bym nie musiała siedzieć wśród zwiędłych i ciekących starców. Zaparkowana przed telewizorem, podcierana przez personel o jasnych głosach i obolałych kręgosłupach.

Mijali kolejne drzwi w korytarzu. Sivving szedł przodem, tak szybko jak potrafił, wyraźnie nieswój. Wyglądało na to, że i jego dopadły nieprzyjemne myśli.

– Nazywa się Karl Åke Pantzare – powiedział cicho. – Znajomy mojego kuzyna. W młodości przebywali dużo w swoim towarzystwie. Wiem, że w czasie wojny należał do ruchu oporu, wiem, że mój kuzyn też był członkiem takiej grupy, chociaż od dawna nie żyje. Nigdy o tym nie mówił. To tutaj.

Zatrzymał się przed drzwiami ze zdjęciem starszego mężczyzny i napisem: „Tu mieszka Kula”.

– Poczekaj chwilę – wysapał Sivving i chwycił za poręcz biegnącą wzdłuż ściany; miała ułatwiać poruszanie się starcom, którzy jeszcze potrafili chodzić. – Muszę ochłoniąć.

Przejechał dłonią po twarzy i głęboko odetchnął.

– To wszystko działa na mnie tak cholernie przygnębiająco – wyznał. – Kurde mol! A przecież to i tak jest dobre miejsce. Słyszałem o znacznie gorszych. Dziewczyny, które tu pracują, są przemiłe, ale co z tego? Czy właśnie tak ma wyglądać moja przyszłość? Obiecuj, że podarujesz mi kulkę w łeb, zanim... Oj, przepraszam.

– Nie ma sprawy.

– Zapominam, no wiesz. Zapominam, że faktycznie byłaś zmuszona strzelać... To tak, jakby w domu wisielca zacząć mówić o sznurze.

– Nie musisz uważać na słowa. Rozumiem.

– Strasznie mnie to przygnębia – powiedział Sivving. – Sporo o tym myślę, chociaż staram się nie myśleć. Szczególnie teraz, gdy to ramię i cała reszta...

Wskazał głową swoją osłabioną stronę ciała. Tę, która nie nadąza. Z ręką wypuszczającą przedmioty. Której trudno ufać.

– Tak długo, jak tylko będę mogła...

– Wiem, wiem.

Sivving powstrzymał ją gestem dłoni.

– Dlaczego tego typu miejsca zawsze mają takie dziarskie nazwy? – wysyczał. –

Górskie Domostwo, Słoneczne Wzgórze, Rozarium?

Rebeka się zaśmiała.

– Prześwit – dorzuciła.

– To brzmi jak tytuł gazetki baptystów. Wchodzimy. Musisz wiedzieć, że z pamięcią krótkotrwałą trochę u niego krucho. Ale nie daj się zwieść jego lekkiej dezorientacji. Pamięć długotrwałą ma w porządku.

Zapukał i weszli do pokoju.

Karl Åke Pantzare miał zupełnie białe włosy, elegancko zaczesane do tyłu. Krzaczaste brwi i baki były – jak to u starszych mężczyzn – grube i kłujące. Nosił koszulę, kamizelkę, krawat i nienagannie czyste spodnie, wyprasowane na kant. Nie ulegało wątpliwości, że kiedyś był bardzo przystojny. Rebeka spojrzała na jego dłonie; paznokcie były czyste i krótko obcięte.

Przywitał gości uśmiechem i uściskiem dłoni. Na dnie życzliwego spojrzenia czaił się niepokój: Czyżbym już kiedyś spotkał tych ludzi? Powinienem wiedzieć, kim są?

Sivving pospieszył z odpowiedzią na niezadane pytanie.

– Sivving Fjällborg. Z Kurravaary. Jako chłopiec miałem na imię Erik. Arvid Fjällborg jest moim kuzynem. Albo raczej był, bo od wielu lat nie żyje. A to jest Rebeka Martinsson. Wnuczka Teresii i Alberta Martinssonów. Też z Kurravaary. Wiem, że się nie znacie.

Karl Åke wyraźnie się rozluźnił.

– Erik Fjällborg! – wykrzyknął radośnie. – Jasne, że cię pamiętam. Ale wiesz co? Strasznie się postarzałeś.

Mrugnął okiem na znak, że to żart.

– Phi! – Sivving udawał obrażonego. – A ty ciągle młodzik?

– No dobrze, dobrze – zaśmiał się starzec. – Młodzik... to dawne dzieje.

Goście przystali na kawę. Sivving zaczął od wspomnienia o dramatycznej zimowej wyprawie na ryby nad jezioro Jiekajaure, w której uczestniczyli jego kuzyn i Karl Åke.

– Arvid opowiadał mi o tym, jak w soboty jeździliście na rowerach na tańce. Te trzynaście kilometrów z Kurry do miasta to nic, ale jak się spotkało dziółkę z Kaalasluspy, to najpierw trzeba ją było odwieźć w przeciwnym kierunku, no i droga

do domu robiła się strasznie długa. A rano pobudka o szóstej i dojenie krów; Arvid mówił, że zdarzało mu się zasnąć, kiedy siedział na stołku przy krowie. Wujek Algot się wtedy wkurzał.

Później, zgodnie z tradycją, przeszli do wyliczania wspólnych krewnych. Tak więc siostra Karla Åkego wynajmowała dom w Lahenperä. Sivving myślał, że od Utterströmów, ale okazało się, że od Holmqvistów. Wyszło też w rozmowie, że inny kuzyn Sivvinga, brat Arvida oraz jeden z braci Karla Åkego byli obiecującymi narciarzami, startowali nawet w zawodach w Soppero i wygrywali z najlepszymi chłopakami z Vittangi. Nie zabrakło informacji o tym, kto jest chory, kto przeniósł się w zaświaty albo tylko do miasta i kto w takim razie przejął rodzinną zagrodę.

W końcu Sivving uznał, że Karl Åke jest wystarczająco rozgrzany, i postanowił przejść do rzeczy. Oznajmił bez ogródek, że wie od kuzyna o ich wspólnej działalności w ruchu oporu w Norrbotten. Wyjaśnił, że Rebeka jest prokuratorką. Opowiedział o zamordowanych młodych ludziach, którzy nurkowali w Vittangijärvi w poszukiwaniu niemieckiego samolotu.

– Mówię bez owijania w bawełnę, bo wiem, że to zostanie między nami. Istnieją przesłanki, by podejrzewać, że maczał w tym palce Isak Krekula, właściciel firmy przewozowej w Piilijärvi.

Karl Åke Pantzare się zachmurzył.

– Dlaczego przychodzicie z tym do mnie?

– Ponieważ potrzebujemy pomocy – odparł Sivving. – Nie znam nikogo innego, kto by nam mógł opowiedzieć o tamtych czasach.

– Najlepiej w ogóle o tym zapomnieć – odparował Karl Åke. – Arvid nie powinien był ci nic opowiadać, co mu strzeliło do głowy?

Mężczyzna wstał i ściągnął z półki stary album fotograficzny.

– Coś wam pokażę.

Spomiędzy kartek wyjął wycinek z gazety. Sądząc po dacie, artykuł miał pięć lat.

Emeryci ofiarami zabójstwa rabunkowego, brzmiał tytuł. Mężczyzna liczący sobie dziewięćdziesiąt sześć lat i jego osiemdziesięciodwuletnia żona zostali zamordowani w swoim domu pod Boden. Rebeka z odrazą czytała o tym, jak znaleziono kobietę z poduszką wciśniętą w twarz. Brutalnie pobita, zmarła w wyniku uduszenia, a jej

ciało zostało zbezczeszczone.

Zbezczeszczone, pomyślała Rebeka. O co tutaj chodzi?

Jak gdyby czytając w jej myślach, Karl Åke wyjaśnił:

– Wcisnęli jej do pochwy rozbitą butelkę.

Rebeka czytała dalej. Mężczyzna żył jeszcze o siódmej rano, kiedy dochodząca opiekunka przysłała do nich, żeby zrobić kobiecie zastrzyk insuliny. Zmarł jednak wkrótce w szpitalu w wyniku obrażeń spowodowanych całą serią ciosów i kopnięć. Policja rozmawiała ze wszystkimi sąsiadami, ale jak na razie bez rezultatu. O ile wiadomo, starsze małżeństwo nie przechowywało w domu większych sum pieniędzy ani wartościowych przedmiotów.

– On był jednym z nas – odezwał się Karl Åke. – Znałem go. I to nie było, kurde, żadne zabójstwo na tle rabunkowym, jestem tego absolutnie pewien. To musieli być naziści albo zwolennicy NRP^[10], albo jacyś inni prawicowi ekstremiści. Dowiedzieli się, że należał do ruchu oporu. Człowiek nie czuje się bezpiecznie, mimo że od tamtego czasu upłynęło tyle lat. Młodziki chcą w ten sposób zaimponować starym nazistom. Zatlukli kobietę na śmierć na oczach męża, kazali mu na to patrzeć. Dlaczego jacyś zwykli rabusie mieliby bezcześcić jej martwe ciało? Chodziło o to, żeby go udręczyć. Ciągle jeszcze nas szukają. A kiedy nas znajdą...

Pokręcił tylko głową.

Jasne, że on się boi, pomyślała Rebeka. Łatwiej ryzykować życie, kiedy się jest młodym, zdrowym i nieśmiertelnym, niż teraz, kiedy nie pozostaje nic innego, jak tylko beczynnienie siedzieć i czekać.

– Musieliśmy przecież coś robić – mówił dalej, jakby do siebie. – Niemcy wprowadzali do portu w Luleå statek za statkiem. Wiele z nich nigdy nie zostało odnotowanych w dziennikach portowych. Wywożono oczywiście rudy żelaza. A rozładowywano transporty z prowiantem, sprzętem, bronią i żołnierzami. Oficjalnie żołnierze wracali z przepustki. Gówno prawda! Widziałem całe oddziały SS, które równym krokiem wchodziły na pokład albo z niego schodziły. Później te oddziały przewożono pociągiem do Norwegii i w drugą stronę – na front wschodni. Wielokrotnie myśleliśmy o sabotażu. Tylko że wtedy wypowiedzielibyśmy wojnę własnemu państwu. Pilnowaniem portów i magazynów czy eskortą transportów zajmowali się przecież szwedzcy celnicy, policjanci i żołnierze. Gdybyśmy byli pod

okupacją, to co innego. Niemcy mieli o wiele więcej kłopotów z norweskim ruchem oporu i trudno dostępnym terenem w tym okupowanym kraju niż z potulną, tak zwaną neutralną Szwecją.

– No więc co mógłbyś powiedzieć o Isaku Krekuli i jego firmie przewozowej? – nalegał Sivving.

– Nie mam pojęcia, tych firm było mnóstwo. Wiem tylko, że któryś z przewoźników, co najmniej jeden, donosił Niemcom. Nie wiedzieliśmy, kto to był, ale dostaliśmy informację, że najprawdopodobniej chodzi właśnie o przewoźnika. Mieliśmy trochę pietra, bo przecież w ramach naszej działalności zbudowaliśmy Kari i zapewnialiśmy jej serwis.

– Kari? Co to znaczy? – spytała Rebeka.

– Norweska organizacja wywiadowcza, XU, miała swoją bazę w Szwecji, niedaleko jeziora Torneträsk. Nazwano ją Kari. Znajdująca się tam radiostacja nosiła imię Brunhilda. Kari pośredniczyła w przekazywaniu informacji do Londynu z dziesięciu stacji wywiadowczych w północnej Norwegii. Energii dostarczała turbina wiatrowa, ale baza była ukryta w dolince i widoczna dopiero wtedy, gdy podeszło się na odległość piętnastu metrów.

– Norwegia miała bazę wywiadowczą w Szwecji?

– Miała ich kilka. Bazy powstałe w ramach operacji Sepals prowadzono na terytorium Szwecji przy wsparciu brytyjskiej Secret Service i amerykańskiej OSS. Pracujący w nich ludzie zajmowali się wywiadem, sabotażem, rekrutacją oraz kształceniem strzelców, saperów i minerów.

– To dzięki tym bazom Brytyjczycy mogli zatopić Tirpitz – dodał Sivving.

– Zarówno radiostacje, jak i turbina wiatrowa wymagały przeglądów i napraw – mówił dalej Karl Åke – a ludzie potrzebowali sprzętu i prowiantu. Przewoźnicy byli niezbędni i za każdym razem, gdy angażowaliśmy nowego, czuliśmy niepokój, bo wiedzieliśmy, że wśród nich jest kapuś. Boże ty mój, kiedyś jechałem do Pältsy z takim nowym, chłopak był z Råneå. Ciężarówka pełna pistoletów maszynowych. Chcieliśmy skrócić sobie drogę i przecięliśmy szosę do Kilpisjärvi, kontrolowaną przez Niemców. Zatrzymali nas przy zaporze. I nagle kierowca zaczyna mówić z dowódcą po niemiecku. Myślałem, że właśnie mnie wydaje w ich ręce, przecież nawet nie wiedziałem, że władza niemieckim; no więc już się przymierzałem, żeby

wyskoczyć z szoferki i uciekać, ale wtedy Niemiec zaśmiał się serdecznie i po chwili nas przepuścił; najpierw dostał od nas parę paczek papierosów. Okazało się, że chłopak sypnął tylko jakimś dowcipem. Ależ go zbeształem! Mógł mi przynajmniej powiedzieć, że umie szprechać! Chociaż wówczas sporo ludzi umiało. Niemieckiego uczono wtedy w szkole, tak jak was teraz angielskiego. No, tamtym razem nam się udało.

Karl Åke zamilkł. W jego oczach pojawiło się na moment cierpienie.

– Były sytuacje, w których wam się nie udawało? – spytała Rebeka.

Starzec sięgnął ponownie po album i otworzył go.

Wskazał na fotografię pochodzącą najprawdopodobniej z lat czterdziestych. Przedstawiała uśmiechniętego młodego mężczyznę. Stał oparty o sosnę. Lato. Słońce w jasnych lokach. Ubrany niezobowiązująco, w koszulę z podwiniętymi rękawami i luźne spodnie z niedbałym mankietem. Jedną ręką obejmował swoje ramię, a w drugiej trzymał fajkę.

– Axel Viebke – objaśnił Karl Åke. – Należał do naszej grupy.

Westchnął głęboko i mówił dalej:

– Z niemieckiego statku towarowego, który zawinął do portu w Luleå, uciekło kiedyś trzech duńskich jeńców. Znaleźli schronienie u nas. Stryj Axela miał na wschód od Sävast szalas dla żniwiarzy, akurat wtedy pusty, więc chłopak ich tam zaprowadził. Spłonęli w nim wszyscy trzej. Gazety pisały o nieszczęśliwym wypadku.

– A co się stało naprawdę? – spytał Sivving.

– Moim zdaniem to była regularna egzekucja. Niemcy dostali informację o kryjówce i po prostu zabili uciekinierów. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kto ich wydał.

Mężczyzna zacisnął usta.

Rebeka spojrzała na album, przewróciła kartkę.

Na kolejnym zdjęciu między Viebkem a Pantzarem stała piękna i bardzo młoda kobieta w kwiecistej sukience. Jedno oko przesłaniał misternie ufryzowany lok.

– No proszę, starzy znajomi – odezwała się Rebeka. – A kim jest ta panna?

– Och, to pewnie któraś z lokalnych piękności – odpowiedział Karl Åke, nie patrząc na fotografię. – Axel miał słabość do kobiet. A one przychodziły i odchodziły.

Rebeka powróciła do zdjęcia mężczyzny przy sośnie. Album musiał być często otwierany na tej stronie. Jej róg był zgnieciony i ciemniejszy niż pozostałe. Cień fotografa wkomponował się w obraz.

Czarujący młodzieniec, pomyślała. Umie pozować. Leniwie wsparty o drzewo, fajka w ręku.

– Czy to pan zrobił zdjęcie? – spytała.

– Tak – odparł starzec chrapliwym głosem.

Rozejrzała się po pokoju. Żadnych zdjęć dzieci. Żadnych ślubnych pamiątek wśród fotografii na półce z książkami.

Musiałeś go bardziej niż lubić, pomyślała, przyglądając się Karlowi Åkemu.

– Myślę, że on by się ucieszył z tego, że zechciał pan z nami porozmawiać – powiedziała głośno. – Że ciągle jest pan odważny.

Karl Åke pokiwał głową. Oczy mu błyszczały.

– Nie wiem zbyt dużo... To znaczy o przewoźniku. Anglicy powiedzieli, że jeden z przewoźników donosi Niemcom i że powinniśmy mieć się na baczności. To jasne, że szczególnie uważali na stacje wywiadowcze. Nazywali go Lisem. A Isak Krekula bez wątplenia był w dobrych stosunkach z Niemcami, dużo dla nich jeździł i zawsze liczyły się dla niego tylko pieniądze.

– **WEŹŹE SIĘ W KOŃCU** w garść! – krzyknął Tore Krekula.

Stał w sypialni Hjalmara i patrzył na brata leżącego w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę.

– Wiem, że nie śpisz. Nie jesteś wcale chory. Przestań się wygłupiać!

Podciągnął żaluzje tak gwałtownie, że omal nie zerwał sznurka. Chciał, żeby się zerwał. Za oknem sypał śnieg.

Kiedy brat nie pojawił się w pracy, Tore poszedł do niego z zapasowym kluczem. Właściwie nie wiedział, dlaczego go ze sobą wziął. Nikt we wsi nie zamykał przecież domu na noc.

Hjalmar nie odpowiadał. Leżał jak nieżywy pod kołdrą. Tore miał ochotę ją z niego zderzyć. Coś go jednak powstrzymywało. Zabrakło mu odwagi. Ten leżący w pościeli

człowiek był nieobliczalny. A spod spodu wydobywał się wyimaginowany głos: daj mi powód, daj mi dostateczny powód!

To już nie ten dawny Hjalmar, którym można było rządzić wedle uznania.

Nagle Tore poczuł się bezsilny. Nie mógł się pogodzić z tym, że ktoś nie spełnia jego żądań. Nie był do tego przyzwyczajony. Najpierw ta pieprzona baba z policji. A teraz Hjalmar.

Czym teraz będzie groził innym? Zawsze groził starszym bratem.

Zniecierpliwiony, przeszedł się po domu. Stosy brudnych naczyń. Puste opakowania po chipsach i ciastkach. W kuchni skisły odór śmieci. Walające się wszędzie ogromne, puste butelki po oranżadzie. Na podłodze – ubrania. Slipy, zażółcone z przodu, zbrązowiałe z tyłu.

Tore wrócił do sypialni. Pod kołdrą ciągle żadnego ruchu.

– Ja cię, kurwa!... – krzyknął. – Jak ty żyjesz?! Co za chlew. A ty... brzydzisz mnie. Jak zdechły gnijący waleń, którego morze wyrzuciło na brzeg. Fuj!

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Hjalmar usłyszał trzaśnięcie drzwiami.

Nie wytrzymam dłużej, pomyślał. Nie mam innego wyjścia.

Przy łóżku leżała otwarta torebka chrupek serowych. Pochłonął kilka garści.

W głowie głos profesora Fernströma: „To ty decydujesz o swojej przyszłości”.

Nie, Fernström nie miał pojęcia, o czym mówi.

Hjalmar nie chciał o tym myśleć. Ale na cóż zdawało się jego niechcenie. Myśli wlewały się do środka jak przez otwartą furtę dziobową.

Hjalmar ma trzynaście lat. W radiu można posłuchać przedwyborczej debaty Kennedy’ego z Nixonem. Kennedy to playboy, nikt nie wierzy w jego zwycięstwo. Ale Hjalmar wcale nie jest zainteresowany polityką. Siedzi oparty łokciami o polakierowany pulpit szkolnej ławki. Głowę wsparł na rękach, dłońmi obejmuje kości policzkowe. W klasie są tylko on i profesor Fernström. Kiedy wraz z dziećmi znika z pomieszczenia zapach mokrej wełny i obory, pojawia się woń szkoły. Pachnie książkowym kurzem i kwaśną ścierką, używaną do wycierania tablicy. Szarym mydłem i starym budynkiem.

Nauczyciel siedzi za katedrą i poprawia klasówki. Hjalmar od czasu do czasu czuje na sobie jego wzrok, ale nie podnosi oczu. Wodzi nimi po wzorach słójów w drewnianym pulpicie. Jeden z nich przywołuje mu na myśl leżącą kobietę. Trochę dalej na prawo przycupnęło fantazyjne zwierzę, może pardwa? Oko jest z sęka.

W końcu do klasy wkracza dyrektor Bergvall. Profesor Fernström zamyka zeszyt i odsuwa go na bok.

Dyrektor się wita.

– A więc tak. Rozmawiałem z lekarzami w Kirunie i z matką Elisa Sevä. Założyli mu sześć szwów. Nos nie jest złamany, ale chłopiec ma wstrząs mózgu.

Robi pauzę, czekając na jakąkolwiek reakcję Hjalmara. Ale Hjalmar zachowuje się jak zwykle: milczy, wbija wzrok w jakiś przedmiot, patrzy na planszę z mapą Palestyny, na organy, na rysunki uczniów przypięte do ściany. Tore zabrał Elisowi rower. Elis kazał mu się odwalić. Tore zapewniał: „Daj spokój, przecież to tylko pożyczka”. Doszło do przepychanki. Któryś z kolegów Torego pobiegł po Hjalmara. Elis Sevä rzucał się jak wściekły.

Profesor Fernström kręci nieznacznie głową na znak, że czekanie na odpowiedź Hjalmara Krekuli mija się z celem.

Dyrektor, sprowokowany milczeniem ucznia, czerwienieje na twarzy i zaczyna sapać. Mówi, że sprawy mają się źle, bardzo źle. Że to się kwalifikuje jako pobicie. Żeby tak po prostu uderzyć kolegę kluczem krzyżakowym, Boże drogi, przecież istnieją przepisy, które tego zabraniają, i owe przepisy obowiązują również w szkole.

– To on zaczął – odpowiada rutynowo Hjalmar.

Głosem podwyższonym o jeszcze jeden ton dyrektor oskarża Hjalmara o kłamstwo. Twierdzi, że Hjalmar mówi tak tylko dlatego, iż broni własnej skóry. Że koledzy przyjmują jego wersję zdarzeń, ponieważ się go boją.

– Pan Fernström uważa, że Krekula jest uzdolniony matematycznie – mówi nagle dyrektor.

Hjalmar się nie odzywa. Wygląda przez okno.

Dyrektor traci cierpliwość.

– Tylko co z tego, skoro będzie miał niedostateczny z niemal wszystkich innych przedmiotów. A szczególnie z obowiązkowości i zachowania.

Ostatnie zdanie wypowiada dwukrotnie.

– A szczególnie z obowiązkowości i zachowania.

Wtedy Hjalmar podnosi wzrok. Jego spojrzenie jest pełne pogardy.

Dyrektora ogarnia niepokój, bo może właśnie w tej chwili zarobił na rozbite okna we własnym domu.

– Krekula musi zacząć się pohamowywać – mówi łagodniej.

Po czym oznajmia, że Krekula przez dwa tygodnie będzie towarzyszył nauczycielowi nadzorującemu. Że przez jakiś czas nie będzie miał wstępu do klasy. Żeby zdążył przemyśleć swoją sytuację.

Potem wychodzi.

Profesor Fernström wzdycha. Hjalmar ma wrażenie, że chodzi o dyrektora.

– I po co ty się bijesz? – pyta nauczyciel. – Przecież nie jesteś kapuścianą głową. Masz prawdziwy talent, jeśli chodzi o matematykę. Powinieneś się kształcić dalej. Ciągłe jeszcze masz szansę, żeby się podciągnąć w innych przedmiotach i zdawać do szkoły realnej.

– E tam – odpowiada Hjalmar.

– Co: e tam?

– Ojciec i tak by się nie zgodził. Chce mieć nas w firmie, brata i mnie.

– Porozmawiam z twoim tatą. To ty decydujesz, co chcesz robić. Rozumiesz? Jeżeli przestaniesz się bić i...

– Zwisa mi to! – przerywa mu chłopiec. – I tak nie chce mi się zakuwać. Lepiej mieć robotę i własne pieniądze. Mogę już iść?

Profesor Fernström ponownie wzdycha. Tym razem chodzi o Hjalmarą.

– Idź – mówi. – Idź sobie.

Mimo wszystko nauczyciel rozmawia ze starym Krekulą. Pewnego dnia, kiedy Hjalmar wraca do domu, Isak jest potwornie rozjuszony. Kerttu smaży naleśniki z surową miną. Isak rzuca w kuchni przekleństwami.

– A ten twój profesor wyleciał stąd na zbity pysk! – krzyczy do Hjalmarą. – Nie będzie mi tu, kurwa, przerabiał syna na wybladłego rachmistrza, tak mu powiedziałem. Matematyka, co? A co ty, kurwa, sobie myślisz, że kim ty jesteś? Za

delikatny, żeby wziąć robotę u ojca? Nie pasuje paniczowi? To moja firma zapewniała ci chleb na stole. Przez całe twoje życie!

Wciąga łąpczywie powietrze w płuca, jakby duszony złością, która niczym poduszka zatyka mu usta.

– Jak nie masz ochoty zostać w rodzinie, to nikt cię tu nie będzie utrzymywał, jasne?! Wkuwaj sobie tę swoją matematykę, ale żarcia poszukaj gdzie indziej.

Hjalmar chce mu powiedzieć, że nie zamierza iść do realnej, że to wszystko jest tylko wymysłem profesora Fernströma, ale nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Strach przed ojcem odejmuje mu mowę. Ale nie tylko strach. Chodzi też o pewną świadomość.

Świadomość, że jest dobry z matmy. A nawet więcej: uzdolniony. Właśnie tak, jak powiedział dyrektor. Jest uzdolniony matematycznie. Fernström powiedział to dyrektorowi szkoły, a później przyjechał do Piilijärvi, żeby zakomunikować to staremu.

I kiedy Isak wrzeszczy: „No więc co chcesz robić?!”, Hjalmar milczy, a Isak daje mu w papę, raz, dwa razy, aż w głowie huczy i śpiewa, wtedy Hjalmar uświadamia sobie, że może zostać „wybladłym rachmistrzem”, że taka możliwość znajduje się poza zasięgiem umysłu każdej innej osoby w rodzinie i że to właśnie dlatego ojciec pieni się z wściekłości.

Później siedzi nad brzegiem jeziora. Odwraca twarz od jesiennego słońca; ciągle pali go zaczerwieniony policzek.

Widzi dwa kruki bawiące się w powietrzu. Jeden, z patykiem w dziobie, unosi się w górę, dając pokaz dzikich akrobacji. Drugi zaraz za nim. Robią pętle i półobroty wokół własnej osi, pikują w dół, by po chwili znad wody znów wznieść się ku niebu.

Ten z patykiem wlatuje śmiało w koronę drzewa. Można by pomyśleć, że lada moment uderzy w pień lub konar i skręci kark, lecz już sekundę później ukazuje się po drugiej stronie. Niczym czarny nóż do rzucania znalazł drogę prosto przez płataninę gałęzi. Żeglujecie nad jeziorem i w końcu wydaje z siebie zuchwałę: „koorrrp”. Patyk oczywiście wypada mu z dzioba. Oba kruki krążą jeszcze chwilę nad wodą, a potem decydują, że to już koniec zabawy, i odlatują ponad wierzchołkami sosen.

Ląduję na pomoście obok Hjalmara. Ma trzynaście lat i płonący policzek. Łzy

spływają mu po twarzy, choć przecież postanowił, że nie będzie płakał. Po jakimś czasie przychodzi złość. Ogarnia go tak gwałtownie, że chłopiec zaczyna się trząść. Nienawidzi ojca, który krzyczał, aż ślina pryskała. Nienawidzi matki, która jak zwykle odwróciła się do niego plecami. Nienawidzi profesora Fernströma; po jaką cholere przyszedł na rozmowę ze starym? Hjalmar go o to nie prosił. Nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło, żeby pójść do realnej. Odebrano mu coś, czego tak naprawdę nigdy nie miał. Dlaczego więc płacze?

Gniew pali jak gorące żelazo. Hjalmar wstaje raptownie, niemal się zatacza. Odnajduje Torego, który dłubie przy swoim zündappie, wymienia dyszę gaźnika na większą.

– Jedziemy do Svappy.

Czarny volkswagen profesora Fernströma stoi jak zwykle na ulicy, jakieś sto metrów od szkoły.

Hjalmar ma ze sobą łom. Zaczyna od przednich i tylnych świateł. Wkrótce szkło leży na asfalcie jak kupki diamentów, ale to mu nie wystarcza; w rozedrganych mięśniach ma jeszcze mnóstwo gniewu, któremu musi dać upust. Rozbija więc wszystkie szyby: przednią, boczne, tylną. Pang! Pang! Odłamki szkła fruują w powietrzu, Tore cofa się kilka kroków. Obok przechodzi kilku małych.

– Jak zakapujecie, to następnym razem pójdą wasze głowy – ostrzega Tore i dzieciaki uciekają jak wystraszone nornice.

Tore wspiera się stopą o rozbite okno, wchodzi na dach i wgniata go kilkoma podskokami; kończy na przedniej masce.

Wszystko trwa zaledwie trzy minuty. Pora zwiewać.

– No, chodź! – woła Tore, odjechawszy kawałek na skuterze.

Hjalmar czuje zmęczenie w ramionach i pot spływający po plecach. Jest wyciszony. Już nigdy nie będzie płakał.

Otwiera drzwi i zagląda do teczki leżącej na przednim siedzeniu. Tore woła z oddali, niespokojny, że wkrótce pojawi się ktoś z dorosłych. W środku nie ma portfela, tylko trzy książki. *Duża książka o rachowaniu*, *Arytmetyka stosowana*, *Podręcznik do geometrii* i zeszytowe wydanie o tytule: *Turning Point in Physics – a Series of Lectures Given at Oxford University*. Hjalmar chowa je za pazuchą, oprócz *Dużej książki o rachowaniu*, która po prostu jest za gruba; tę wkłada pod pachę.

Zostawiam ich tam. Unoszę się z prądem wstępującego powietrza. W górę, w górę.

MUSZĘ POBUDZIĆ do działania Reбекę Martinsson i Hjalmarą Krukulę.

Rebeka wróciła do gabinetu po przedpołudniowych rozprawach. Posiedzenia dotyczyły prowadzenia pojazdu bez uprawnień, niezachowania ostrożności w ruchu drogowym, pobicia i nadużycia zaufania. Teraz trzeba tylko poukładać akta i wyeksponować decyzje. Jeżeli od razu weźmie się do pracy, zajmie jej to pół godziny, nie więcej. Ale nie może się przemóc. Wypełnia ją szara niechęć.

Śnieżycą przeszła dość szybko. Jak to w górach. Właśnie wtedy gdy się wydawało, że już nigdy się nie skończy. Kiedy wiatr targał wszystkim na swojej drodze, a lepki kwietniowy śnieg kładł się mokrym lodem za kołnierzami przechodniów. Tak, właśnie wtedy wszystko ucichło. Chmury popłynęły dalej. A niebo rozjaśniło się najpiękniejszym błękitem.

Rebeka spogląda na telefon. Z nadzieją, że jej mężczyzna zadzwoni albo wyśle SMS. Za oknem słońce zalewa fasady i dachy budynków, i świeży śnieg.

Na pobliskim drzewie przysiadają dwie wrony.

Nawołują i wywołują ją ze środka. A ona zupełnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ludzie nie zwracają uwagi na ptaki. Dzięki nim nieustannie wypełniają się ogromem uczuć, ale nigdy nie zastanawiają się dlaczego. Ptaszka świergocące i szczebiocące na przedwiosennej brzozie potrafią przecież sprawić, że otwarte serce Rebeki wzbiera bezgranicznym szczęściem. Żadne szczekanie psa nie wzbudzi takiego uczucia. A kiedy człowiek wzniesie spojrzenie ku niebu i zobaczy klucz przelatujących ptaków... Te wszystkie wielkie emocje. Gdy sierpniowego wieczoru setki wronowatych zbierają się hałaśliwie w jednym miejscu. Gdy letnią nocą żałośnie kwili nur lub pohukuje sowa. Albo kiedy jaskółka z furkotem wraca pod okap do swoich krzykliwych piskląt.

Ludzie nie zadają sobie pytania, dlaczego zainteresowanie ptakami z wiekiem się zmienia. Dlaczego rośnie, im bliżej jesteśmy śmierci.

Człowiek niewiele wie, zanim umrze.

Wrony nie przestają rozrabiać. Rebeka w końcu dochodzi do wniosku, że w tak piękną pogodę powinna wybrać się na spacer. Że dawno nie była na grobie babci.

Świetnie. To znaczy, że jest już w drodze.

Na podwórzu Hjalmara Krekuli ląduje stadko kruków. Ich dzioby i pióra błyszczą w słońcu.

Ależ są diabelnie duże, myśli Hjalmar, obserwując ptaki przez okno.

Nie może się oprzeć wrażeniu, że na niego patrzą. Kiedy wychodzi na ganek, odskakują zabawnie w bok, ale żaden nie odlatuje. Kraczą z cicha chropawymi głosami. Hjalmar nie wie, czy powinien czuć się przerażony, czy oczarowany. Kruki na niego patrzą.

Odwiedzę grób Wilmy, myśli. To nie powinno nikogo zdziwić, przecież jesteśmy z tej samej wsi.

Śnieg na cmentarzu w Kirunie. Wysokie zasy między odśnieżonymi grobami i alejkami. Człowiek porusza się tu niemal jak w labiryncie. Rebeka rozgląda się dokoła. Upłynie trochę czasu, zanim zorientuje się w terenie. Śnieg sprawia, że wszystko wygląda inaczej. Po porannej zamieci prawie nikt nie zdążył usunąć śniegu z grobów. Leżą ukryte pod bielą, która iskrzy się w słońcu. Brzemienne świeżym śniegiem brzozy tworzą wymyślne portale.

Zazwyczaj Rebeka czyta inskrypcje na mijanych nagrobkach; podobają jej się te wszystkie stare tytuły: gospodarz, leśniczyna, kasjer kościelny. I zapomniane już imiona: Gideon, Eufemia, Lorentz.

Grób babci i dziadka jest totalnie zasypany. Zasypany był również przed zamiecią. Rebeka idzie po szufłę, pełna poczucia winy.

Odgarnia śnieg. Ten świeży jest lekki i puszysty, ten pod spodem zaś – mokry, zlodowaciały i ciężki jak ołów. Słońce razi w oczy i przygrzewa w plecy. Rebeka uświadamia sobie, że nigdy nie odczuwa tutaj szczególnie mocno obecności zmarłej. Spotyka ją za to w innych miejscach. Niespodziewanie w lesie, czasami po prostu w domu. Kiedy idzie na cmentarz, myśli i uczucia poświęcone babci są bardziej aktem woli.

Chociaż tobie z pewnością podobałoby się, że dbam o twój grób, zwraca się do babci w duchu, obiecując, że zatroszczy się o miejsce jej pochówku zdecydowanie lepiej niż dotąd.

Wtem przychodzą wspomnienia. Rok szkolny dobiega końca, po wakacjach Rebeka zacznie się uczyć w liceum. Teraz ma piętnaście lat, z torbą przewieszoną przez ramię pędzi motorowerem trzynaście kilometrów z miasta do Kurravaary, zajeżdża z warkotem przed dom. Minęła szósta wieczorem. Babcia jest w oborze. Rebeka przerzuca niedbale kurtkę przez krawędź żeliwnej, obmurowanej kadzi z paleniskiem. Zimą babcia podgrzewa w niej wodę dla zwierząt. Czasami wrzuca do środka pęczki witek brzozowych. Ręce babci zawsze były szorstkie i popękane. Rebeka nieraz pomagała jej obrywać z gałązek namoczone liście brzozy i dodawać je do napęczniałego owsa dla krów. Kiedy była mała, w każdą sobotę kąpała się w kadzi. Na dnie kładło się wtedy przycięte deski, żeby się nie poparzyć.

Te wszystkie dźwięki, myśli Rebeka, stojąc przy grobie. Te wszystkie spokojne odgłosy, których już nigdy nie usłyszę. Niespieszne przeżuwanie w oborze, mleko tryskające z wymion do wiaderka, szczęk łańcuchów, kiedy krowy wyciągają szyje, chcąc dosięgnąć siana, brzęczenie much i furkot dymówek. Surowy głos babci, upominającej mnie, żebym się przebrała, bo kto to widział, żeby wchodzić do obory w szkolnych ubraniach? Moje: „A kto się tym przejmuje?“, kiedy zaczynam szcztokować Punakorvę.

Babcia nie nalegała. Jej surowość ograniczała się jedynie do głosu. Czułam się przy niej wolna.

A później umarła samotnie. Podczas gdy ja zakuwałam do jakiegoś egzaminu w Uppsali. Chyba jeszcze nie dojrzałam do tych myśli. Mam wystarczająco dużo spraw, których nie potrafię sobie wybaczyć. Ta zaś boli najbardziej.

Rebeka w pocie czoła robi kolejny zamaszysty ruch szuflą i nagle widzi padający na nią cień. Wie, że ktoś za nią stoi. Odwraca się.

To Hjalmar Krekula.

Wygląda jak uciekinier. Jak człowiek sypiający na klatkach schodowych w ubraniach, których nigdy nie zmienia. Jak ktoś, kto przetrząsa pojemniki na odpadki i kosze na śmieci w poszukiwaniu puszek, za które można dostać zwrot kaucji.

Najpierw ogarnia ją strach. Lecz już po chwili robi się jej ciężko na sercu i budzi się w niej współczucie. Ten mężczyzna wygląda naprawdę żałośnie. Jakby nieustannie się staczał.

Rebeka milczy.

Hjalmar przygląda się kobiecie z szuflą. Nie przypuszczał, że spotka tu prokuratorkę. Szedł do Wilmy nową częścią cmentarza. Wszystkie nowe groby były odśnieżone i wypucowane. Rodziny zmarłych musiały tu przybiec, gdy tylko wyjrzało słońce. Może nawet zajrzeli tutaj w czasie przerwy na lunch. Na kamieniach inskrypcje: „kochany”, „nieodżałowany”. Przez głowę przemknęła mu niejasna myśl, jak będzie wyglądał jego własny nagrobek. Czy zaopiekuje się nim żona Torego? Możliwe, choćby tylko po to, żeby ludzie we wsi nie gadali. Zatrzymał się na moment przy niewielkim grobie jakiegoś dziecka. Patrząc na daty wyryte w kamieniu, obliczył szybko wiek zmarłego. W dniu śmierci Samuel miał dwa lata, trzy miesiące i pięć dni. W lewym górnym rogu nagrobka znajdowało się zdjęcie chłopca. Hjalmar nigdy czegoś takiego nie widział, ale też nie miał w zwyczaju przechadzać się po cmentarzu. Obok lampki i kwiatów leżał wieniec, a w środku niego niewielki miś.

– Aniołku – odezwał się Hjalmar, czując ucisk w piersi. – Mój ty mały aniołku.

Później zabrakło mu sił, by stanąć przy grobie Wilmy. Przeszedł tylko obok prowizorycznej tabliczki z napisem „Persson Wilma”, przymocowanej do aluminiowego drążka. Obok prezentów, kwiatów, kilku migoczących zniczy. Wracając starą częścią cmentarza i właśnie gdy zaczął się zastanawiać, co on tu w ogóle, kurwa, robi, dostrzegł prokuratorkę.

Poznał ją po płaszczu i długich, ciemnych włosach. Nie miał pojęcia, dlaczego ruszył w jej stronę. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Kiedy kobieta się odwróciła, miała w oczach strach. Widział to.

Chce jej powiedzieć, żeby się nie bała, ale nie potrafi wydobyć z siebie ani słowa. Stoi tylko jak ten idiota. Ale tym przecież był przez całe życie. Idiota, który wzbudza strach.

Kobieta milczy. Obawa w jej oczach zamienia się w coś innego. Coś, z czym trudno mu wytrzymać. Nie przywykł. Nie jest też przyzwyczajony do tego, że ludzie nic nie mówią. Zazwyczaj to on milczy i pozwala mówić innym. Pozwala innym decydować.

– Moje prochy roznieś wiatr – odzywa się w końcu.

Rebeka kiwa głową.

– Czy pani odwiedza tych, których zabiła? – pyta po chwili.

A więc wie. Czytał o niej w popołudniówkach. No i ludzie gadają.

– Nie. Przyszłam do babci. I dziadka.

Wskazuje głową grób, który właśnie odsnieża.

Dopiero później uświadamia sobie sens pytania. Gdzieś tam mieściło się „też”, choć nie wypowiedziane. Na pewno. „Czy pani też przyszła do tych, których zabiła?”

Odwraca głowę i wyciąga rękę. Dodaje spokojnym głosem:

– Ci, których zabiłam, leżą trochę dalej. O, tam. A Thomas Söderberg nie jest pochowany w Kirunie.

– Puścili panią wolno.

– Tak. Mówili, że działałam w obronie własnej.

– Jak pani się czuła?

Hjalmar podkreśla „pani”. Nie patrzy jej w oczy. Ze spuszczoną głową spogląda na śnieg, jak gdyby – stojąc przed ołtarzem – okazywał jej cześć.

O co mu chodzi? – zastanawia się Rebeka.

– Nie wiem – zaczyna niepewnie. – Na początku nie czułam nic szczególnego. Zresztą niewiele z tego wszystkiego pamiętałam. Tylko że później było coraz gorzej. Nie mogłam pracować. Próbowałam wziąć się w garść, ale pewnego dnia popełniłam błąd, który kosztował firmę masę pieniędzy i nadszarpnął jej dobre imię. Właściciele byli oczywiście ubezpieczeni od takich wypadków, ale mimo wszystko... No i w końcu wylądowałam na zwolnieniu lekarskim. Chodziłam w kółko po domu. Nie chciałam wychodzić na dwór. Źle spałam. Źle jadłam. W mieszkaniu panował potworny bezład.

– Tak – odzywa się Hjalmar.

Milkną na widok zbliżającej się kobiety. Przechodząc obok, pozdrawia ich skinieniem głowy. Rebeka odwzajemnia gest. Hjalmar jakby jej nie widział.

Rebecce przychodzi na myśl, że mężczyzna prawdopodobnie chce się przyznać do winy. Tylko co ona wtedy, kurde, ma zrobić? Oczywiście poprosić, żeby poszedł z nią na komendę. A jeżeli odmówi? Jeżeli wyzna prawdę, a później zmieni zdanie i ją zabije?

Długo patrzy mu w oczy. Przypomina sobie pewną klientkę firmy Meijer & Ditzinger, prostytutkę posiadającą mnóstwo nieruchomości. Nie kryła się ze swoją profesją, a do kancelarii zwróciła się po poradę w zakresie prawa podatkowego. Måns

zaprosił ją na popołudniowego drinka i już niezupełnie trzeźwy, zaczął nietaktownie wypytywać, czy nigdy nie boi się swoich klientów. Najwyraźniej go fascynowała; flirtował z nią, zasypywał ją komplementami. Rebeka siedziała zawstydzona, ze wzrokiem wbitym w stół. Kobieta strzegła swojej prywatności, ale była życzliwie usposobiona; widać było, że tego typu zainteresowanie nie jest jej obce. Odparła, że nie, nie odczuwa strachu. Miała w zwyczaju zaglądać nowym mężczyznom w oczy. „Wtedy wiem – powiedziała – czy powinnam się bać, czy nie. Wszystko, co musimy wiedzieć o człowieku, jest w jego oczach”.

Rebeka długo patrzy Hjalmarowi w oczy. Nie, nie musi się go obawiać.

– Wylądowała pani w psychiatryku – mówi mężczyzna.

– Tak, w końcu się tam znalazłam. Zwariowałam. To było po tym, jak Lars Gunnar Vinsa zastrzelił najpierw swojego syna, a potem siebie. Nie wytrzymałam jeszcze jednej śmierci. Bo ta jakby otwierała wszystkie drzwi, które próbowałam trzymać zamknięte.

Hjalmar czuje, że oddycha z ogromnym trudem. „Właśnie dokładnie tak”, chciałby powiedzieć. Najpierw Wilma i Simon. Nie przyszło mu to łatwo, ale udało się wytrzymać. Ale po Hjörleifurze Arnarsonie...

– Spadła pani na samo dno? Na sam dół?

– Chyba tak. Chociaż nie pamiętam dużo z tych najgorszych chwil. Byłam w strasznym stanie.

Leczyli mnie elektrowstrząsami, pomyślała. Pilnowali mnie. Nie chcę o tym mówić.

Stoją obok siebie, Rebeka Martinsson i Hjalmar Krekula. Jemu tak trudno pytać. A jej tak trudno odpowiadać. Pokonują tę rozmowę jak dwóch wędrowców, którzy przedzierają się przez śnieżną zamieć. Prą pod wiatr z pochylonymi głowami.

– Nie pamiętam – powtarza Rebeka. – Czasami myślę, że to jest tak: kiedy przypominamy sobie sytuacje, w których byliśmy smutni, automatycznie czujemy, jak ten smutek powraca. A kiedy wspominamy radosne sytuacje, na samą myśl o nich ogarnia nas radość. Jednak na wspomnienie sytuacji, w której czuliśmy lęk, nie jesteśmy w stanie przeżyć tego lęku jeszcze raz. Jak gdyby mózg odmawiał współpracy. Można tylko pamiętać, że było tak, a nie inaczej. Ale nie można odczuć tego co wtedy.

Smutny? – zastanawia się Hjalmar. Smutek? Radość?

Między nimi zapada cisza.

– A pan? – przerywa milczenie Rebeka. – Kogo pan przyszedł odwiedzić?

– Chciałem odwiedzić ją.

Rebeka rozumie, że chodzi mu o Wilmę.

– Znał ją pan?

Tak, wypowiadają jego usta, choć nie wydobywa się z nich żadne słowo. Hjalmar kiwa głową.

– Jaka ona była? – pyta Rebeka.

– Chyba zupełnie zwyczajna – odpowiada i dodaje z krzywym uśmiechem – ale miała kłopoty z matematyką.

Wilma siedzi w kuchni u Anni i z rozpaczony drze włosy nad podręcznikiem matematyki, który leży przed nią na stole. Musi nadrobić właśnie matematykę oraz szwedzki, żeby w przyszłym roku zdać do liceum. Anni zmywa naczynia. Patrzy przez okno na Hjalmar, który jeździ tam i z powrotem na traktorze i odśnieża podwórze. Jest przecież jego ciotką.

Wilma przeklina, aż uszy puchną. Aniołowie zaś dostają gęziej skórki.

– W dupę jebany szatan pierdolony! – wykrzykuje z emfazą.

– Słuchaj no, dziewczyno! – odzywa się ostrzegawczo Anni.

– Nie chcę! – jęczy Wilma. – Jestem kompletny matoł, nic nie rozumiem. Chujowa ta algebra, no! „Równania kwadratowe można przedstawić w postaci iloczynowej wprost ze wzorów skróconego mnożenia”. Olewam to. Zadzwoń do Simona i wyskoczmy gdzieś na skuterze.

– No to zadzwoń.

– Oo! Ale przecież muszę się tego nauczyć!

– No to nie dzwoń do niego.

Anni widzi, że Hjalmar niedługo skończy odśnieżać. Nastawia kawę. Pięć minut później siostrzeniec zagląda do środka i mówi: „Gotowe!”. Anni nie pozwala mu się wymknąć. Przecież właśnie zaparzyła kawę. Nie wypiją jej całej z Wilmą. Rozmroziła też drożdżówki.

Hjalmar pozwala się przekonać, siada przy stole. Nie zdejmuje jednak kurtki,

rozpina ją tylko do połowy, dając do zrozumienia, że nie zamierza zostać dłużej.

Nic nie mówi, jak zwykle. Ludzie zdążyli się do tego przyzwyczaić. Wilma i Anni konwersują, wiedząc doskonale, że nie ma sensu wciągać go w rozmowę. Nie zadają mu pytań.

– No dobrze, ale teraz idę zadzwonić do Simona – kończy Wilma i wychodzi do przedpokoju, gdzie przed lustrem, na niewielkim stoliku z drewna tekowego, stoi telefon, a obok taboret.

Anni wstaje, żeby wyjąć pięćdziesiąt koron z puszkę po kakao, umieszczonej na gzymsie nad piecem. Próba wmuszenia Hjalmarowi zapłaty za odśnieżanie to część rytuału. Hjalmar zawsze odmawia, ale w końcu wraca do domu z torebką drożdżówek, z duszoną wołowiną w plastikowym pojemniku albo jeszcze z czymś innym. Podczas gdy Anni przeszukuje puszkę, Hjalmar przysuwa do siebie podręcznik algebry. Przebiega wzrokiem po zadaniach i w ciągu niespełna minuty rozwiązuje w pamięci dziewięć równań.

– No tak – odzywa się staruszka, spoglądając na otwarty podręcznik. – I pomyśleć, że prawie o tym zapomniałam – że byłeś dobry z matematyki, jak chodziłeś do szkoły. Może mógłbyś pomóc Wilmie? Ten przedmiot doprowadza ją do rozpacz.

Nagle Hjalmarowi zaczyna się strasznie spieszyć. Zasuwa zamek w kurtce, wyrzuca z siebie niewyraźne podziękowania za kawę i wyjątkowo nie protestując, przyjmuje pięćdziesięciokoronowy banknot.

Wieczorem pojawia się u niego Wilma. W ręce trzyma podręcznik matematyki.

– Ty się na tym znasz! – mówi bez ogródek i kieruje się prosto do kuchni, siada przy stole. – Jesteś geniuszem.

– E, no, nie wiem... – zaczyna Hjalmar, ale dziewczyna nie pozwala mu dokończyć.

– Musisz mnie tego nauczyć. No bo ja, kurde, nic nie pojmuję.

– Nie, nie potrafię... – oponuje Hjalmar i czuje, jak zaczyna mu brakować tchu, ale Wilma już zdążyła ściągnąć kurtkę.

– Ależ tak! Potrafisz!

– Okej. Tylko wiedz, że nie jestem żadną panią nauczycielką.

Wilma patrzy na niego z prośbą w oczach, wręcz błagalnie. Hjalmar nie ma innego

wyjścia. Musi przy niej usiąść.

Później przez ponad godzinę pocą się obydwójce. Wilma wydziera się i krzyczy, jak zawsze, gdy coś idzie nie po jej myśli. Ku swojemu zdziwieniu on też podnosi głos. Uderza pięścią w stół i mówi, żeby spojrziała w końcu do podręcznika, a nie, kurwa, gapiała się przez okno. Medytuje czy jak? No więc co, do jasnej cholery, w ogóle tu robi? A kiedy Wilma, kompletnie wyczerpana, zaczyna płakać nad równaniami drugiego stopnia, Hjalmar głaszcze ją niezdarnie po głowie i pyta, czy nie napije się czegoś słodkiego. Po chwili wspólnie opróżniają butelkę coca-coli.

W końcu Wilma pojmuje, co ma zrobić z „tym pierdolonym pierwiastkiem kwadratowym”.

Obydwójce są zupełnie wycieńczeni. Wypruci ze wszystkiego. Hjalmar podgrzewa pierogi Gorby’ego i podaje je z lodami śmietankowymi.

– Ależ ty, kurde, masz głowę! – wykrzykuje Wilma. – Dlaczego jesteś tylko kierowcą? Powinieneś zostać profesorem!

Hjalmar się śmieje.

– Tak, profesorem matematyki na poziomie dziewiątej klasy!

Jakże mogłaby zrozumieć? Odkąd rozwiązał wszystkie zadania z podręczników, które ukradł z samochodu profesora Fernströma, nieustannie zajmował się matematyką. Zamawiał książki z księgarni uniwersyteckich i antykwariatów. Z algebry jest teraz na etapie twierdzenia Lagrange’a i grup permutacji. Już dawno zaliczył kursy korespondencyjne, nie tylko w dziedzinie matematyki. Jeździł do Sztokholmu i zdawał egzaminy. Kłamał, że musi zrobić zakupy w Finlandii. Albo odebrać silnik w Luleå. Mając dwadzieścia pięć lat, zdał maturę u Hermoda. Później pojechał na weekend do domku letniskowego. Kupił jakąś butelkę. Nie miał w zwyczaju pić, a już na pewno nie gustował w winie. Ale wtedy siedział ze szklanką z duraleksu i sączył czerwone wytrawne. Smakowało ohydnie. Hjalmar uśmiecha się na samo wspomnienie.

Pracują jeszcze chwilę, w końcu Wilma zbiera się do wyjścia. Wkłada kurtkę.

– Nie mów nic – prosi ją Hjalmar w drzwiach – no, wiesz. Toremu... i nikomu. Że znam się na matmie i...

– Jasne, że nie powiem – obiecuje radośnie Wilma.

Myślni jest już gdzie indziej. Prawdopodobnie u Simona Kyrö. Dziękuję za pomoc i znika.

Rebeka i Hjalmar stoją na cmentarzu. Rebeka ma wrażenie, że siedzi w łodzi, Hjalmar zaś wpadł do wody. Trzyma się kurczowo relingu, ale ona nie ma siły wciągnąć go na pokład. Wkrótce jego ciało kompletnie się wyziębi. Dłonie zwolnią uścisk. Hjalmar utonie. A ona nic nie może zrobić.

– Jak się pan czuje? – pyta i od razu żałuje swych słów.

Nie chce wiedzieć, jak on się czuje. Nie jest za niego odpowiedzialna.

– Mam zgagę albo coś takiego – odpowiada Krekula, uderzając się pięścią w piersi.

– Aha.

– Muszę już iść – dodaje, ale nie rusza się z miejsca.

– No tak.

Rebeka zostawiła psa w samochodzie. Też powinna iść.

– Człowiek się zastanawia, co by można zrobić... – mówi Hjalmar.

Zaczyna drgać jakiś mięsień jego twarzy.

Rebeka patrzy na drzewa. Unika jego wzroku.

– W najczarniejszych chwilach wychodziłam z domu i obcowałam z przyrodą. Czasami to pomagało.

Hjalmar oddala się niezgrabnie.

Bezsilność ciągnie jej ramiona ku ziemi.

Rebeka Martinsson wróciła na komendę kwadrans po drugiej. W drzwiach wejściowych wpadła na Annę Marię Mellę. Vera rzuciła się radośnie na policjantkę, zostawiając mokre ślady na jej dżinsach.

Oczy komisarz były błyszczące i pełne życia. Policzki zaczerwienione. Włosy, jakby z dzikiej tęsknoty za swobodą, wymykały się z warkocza i wydawało się, że za moment odfruną.

– Słyszałaś? Dostaliśmy odpowiedź z laboratorium. Na kurtce Torego Krekuli znaleziono ślady krwi Hjörleifura Arnarsona.

– Wow! – wykrzyknęła Rebeka, czując, jakby ktoś gwałtownie wyrwał ją ze snu.

Była całkowicie pogrążona w myślach i duchem ciągle jeszcze na cmentarzu. – Co zamierzacie...

– Zatrzymujemy, oczywiście, Torego Krekulę – nie pozwoliła jej dokończyć Anna Maria. – Właśnie się do niego wybieramy.

Nagle komisarz zamilkła z miną winowajczyni.

– Powinnam była, naturalnie, do ciebie zadzwonić. Ale przed południem miałam rozprawy, prawda? Chcesz teraz ze mną pojechać?

Rebeka pokręciła przecząco głową.

– Zanim pójdziesz... – zaczęła i położyła dłoń na ramieniu Anny Marii, chcąc ją zatrzymać. – Byłam na cmentarzu.

Komisarz Mella dzielnie usiłowała ukryć niecierpliwość.

– No i co? – spytała z udawaną ciekawością.

– Spotkałam tam Hjalmara Krekulę. Przyszedł na grób Wilmy. Myślę, że ten człowiek balansuje na skraju... Nie wiem. W każdym razie nie jest z nim dobrze. Miałam wrażenie, że chce mi coś przekazać.

Anna Maria zaczęła słuchać uważniej.

– Co powiedział?

– Nie wiem. Miałam tylko takie odczucie...

– Nie gniewaj się, ale czy tu nie chodzi czasem o coś w rodzaju projekcji? To wszystko wzbudza w tobie wspomnienie twojej własnej historii. Czulaś się wtedy potwornie, po tym jak... no wiesz.

Rebeka poczuła, jak ściska jej się żołądek.

– To całkiem możliwe – odparła sztywno.

– Porozmawiamy, jak wrócę. Ale trzymaj się z daleka od Hjalmara Krekuli, dobrze? To cholernie groźny sukinsyn, pamiętaj o tym.

Rebeka w zamyśleniu pokręciła głową.

– Nigdy by mnie nie skrzywdził.

– *Famous last words* – odpowiedziała Anna Maria, uśmiechając się krzywo. – Mówię poważnie, Rebeko. Od samobójstwa do zabójstwa niejednokrotnie jest cholernie blisko. Mieliśmy w tamtym roku gościa, który popełnił samobójstwo

rozszerzone. W domku letniskowym w Laxforsen uwolnił od cierpień tego świata swoją żonę, a potem dwoje dzieci, siedem i jedenaście lat. Później odebrał sobie życie za pomocą zwykłych tabletek żelaza. Przedawkował na tyle, że wysiadły mu nerki i wątroba, ale minęły dwa miesiące, zanim w końcu umarł. Leżał w Umeå, cały w rurkach i cewnikach, aresztowany za morderstwo.

Zapadła cisza. Anna Maria chciała odgryźć sobie język. Pomyślała o tym, jak Rebeka zabiła trzech mężczyzn w Jiekajärvi. Chociaż to była zupełnie inna sprawa. A później zwariowała i chciała popełnić samobójstwo. Ale to przecież też była zupełnie inna sytuacja. Dlaczego wszystko musi być tak cholernie skomplikowane? Cała ziemia wokół Rebeki była zaminowana. Że też, kurza dupa, musiała ją spotkać akurat teraz!

Tommy Rantakyrö i Fred Olsson przygnali korytarzem. Przywitali się w biegu z Rebeką i spojrzeli pytająco na szefową.

– No to idziemy zgarnąć Krekulę – powiedziała. – Chcesz być na przesłuchaniu?

Rebeka skinęła głową i tyle widziała uczestników nagonki. Zniknęli za drzwiami, szczerząc i skomląc, z nosami przy ziemi.

Stała w miejscu, wyobcowana.

– Oj, oj – powiedziała do siebie. – I znów poczułaś się mała.

Z rozmyślań wyrwało ją szczekanie Very. Przed komendą zaparkował Krister Eriksson. Wypuścił z samochodu Tintin i Roya. Rozjaśnił się na widok Rebeki i błyskawicznie do niej podszedł.

– Właśnie na ciebie polowałem – oznajmił i uśmiechnął się tak szeroko, że różowa skóra twarzy napięła się do granic możliwości. – Czy mogłabyś zaopiekować się przez chwilę Tintin? Muszę trochę potrenować z Royem, a ona byłaby nieszczęśliwa, gdyby przyszło jej czekać w samochodzie.

Vera stała grzecznie, machając życzliwie ogonem, podczas gdy psy obwąchiwały ją dokładnie z przodu, z tyłu i pod spodem.

– Bardzo chętnie! – odparła Rebeka.

– Jak się masz? – spytał.

Odniosła wrażenie, że przejrzał ją na wylot.

– Dobrze – skłamała.

Opowiedziała o kurtce Torego Krekuli i o planowanym zatrzymaniu.

Krister czekał bez słowa. Przyglądał się jej ze współczuciem.

Co za cholernie cierpliwy milczek, pomyślała. Czekaj tatka latka!

Nie zamierzała mu mówić o Hjalmarze i spotkaniu na cmentarzu.

A on nagle się uśmiechnął. Poklepał ją pospiesznie po ramieniu. Jak gdyby nie potrafił powstrzymać rąk.

– No to cześć! Odbiorę ją wieczorem.

Powiedział Tintin, że ma zostać z Rebeką. Potem wyszedł z Royem, wsiadł z nim do samochodu i odjechał.

LAURA KREKULA zwlekała z otwarciem drzwi. Widziała stojących za nimi policjantów. Anna Maria nie mogła się powstrzymać, żeby nie pomachać legitymacją.

W oczach kobiety dostrzegła strach. Tommy i Fred przybrali poważne miny.

Nie jest mi jej żal, pomyślała. Jak można, kurza dupa, być żoną tego faceta?

– Znów tu państwo jesteście? – Laura Krekula bardziej stwierdziła, niż spytała, słabym głosem.

– Szukamy Torego Krekuli – oznajmiła komisarz Mella.

– Tore pracuje. Przecież nie siedzi w domu w środku dnia.

– Czy to nie jego samochód stoi przed domem?

– Tak, ale Tore pojechał z transportem do Luleå i nie wróci wcześniej niż w nocy.

– Możemy się trochę rozejrzeć? Jeden z kierowców w garażu powiedział, że pani mąż jest w domu.

Pani Krekula odsunęła się i wpuściła policjantów do środka.

Pootwierali szafy. Zajrzeli do garażu i pralni. Laura stała w przedpokoju. Po pięciu minutach podziękowali i wynieśli się.

Kiedy odjechali, weszła na piętro. Wyjęła długi, sześciokątny klucz, pasujący do zamka w klapie od strychu. Przekręciła go, opuściła klapę i rozwinęła drabinkę.

Tore Krekula zszedł na dół.

Minął żonę i kilkoma susami zbiegł po schodach na parter.

Laura podążyła za nim. Bez słowa patrzyła, jak mąż wciąga wysokie buty i wkłada kurtkę. Gotowy do wyjścia, wkroczył do kuchni. Posmarował masłem kromkę pieczywa chrupkiego po tej stronie, gdzie otworki są głębsze. Nałożył kilka plasterków kiełbasy falu.

– Żebyś tylko nie próbowała o tym komuś pisać – odezwał się do żony z ustami pełnymi jedzenia. – Żadnych telefonów do matki czy siostry. Zrozumiano?

HJALMAR KREKULA jedzie na nartach przez las. Popołudniowe słońce mocno przygrzewa. Poduszeczki świeżego śniegu zaczynają topnieć na drzewach, z gałęzi skapuje woda. Siedzę wśród perlistych kropel i nie spuszczam z niego oka. Przemieszczam się z drzewa na drzewo. Nieważka jestem na najcieńszych nawet witkach brzozy. Zimą są czarne i rozczochrane mrozem. Teraz wpadają w fiolet. Kolor wiosny. Wdrapuję się niczym ryś na pachnący żywicą pień sosny. Żółto-brązowa kora przywodzi mi na myśl pierniczki Anni. Konary przybrane są grubym wełnianym swetrem, zrobionym przez nią na drutach. Chowam się w nim. Zaczajam się na Hjalmar.

Ostatnio jechał na nartach jakieś dwadzieścia lat temu. Sprzęt, z którego teraz korzysta, jest jeszcze bardziej wiekowy. Stare drewniane deski z wiązaniem Rottefella. Nieosmołowane i nienasmarowane, ślizgają się kiepsko. Od czasu do czasu Hjalmar staje, żeby zdrapać śnieg klejący się do spodów. Zapada się w śniegowej pokrywie, choć przecież trzyma się trasy wyznaczonej śladami skuterów. Nienatłuszczone, popękane buty ze skóry szybko przemakają. Podobnie jak spodnie.

Kijki też grzęzną. Ciężko się je wyciąga z głębokiego śniegu. Na archaicznym talerzyku, przytwierdzonym do kijka rzemieniami, spoczywa trzydziestocentymetrowy cylinder śniegowej masy.

Hjalmar przyznaje, że porusza się żałośnie wolno, ale bez nart nie poruszałby się wcale. A poza tym – jeżeli tego typu narty służyły ojcu i jego kolegom, to dlaczego nie miałyby służyć jemu? Wystarczy pomyśleć o Lapończykach, którzy dawniej ganiali po lasach wzdłuż i wszerz na znacznie gorszym sprzęcie i tylko z jednym kijem.

Od czasu do czasu spogląda w górę. Patrzy na krople wody, drżące lekko na

gałązkach.

Pot spływa mu z czoła i pali oczy.

W końcu dociera do otwartego szałas, który dwadzieścia lat wcześniej zbudował razem z bratem właśnie tutaj, na południe od Ripukkavaary.

Siada w nim, wyjmując z plecaka kanapki i termos z kawą. Słońce grzeje w twarz.

Nagle ogarnia go przemożne zmęczenie. Kładzie kanapki obok siebie.

Wiatr miesza sennie w koronach sosen. Tak jak kopyść Anni w garnku. Gałęzie szumią cicho, kiwając się to w jedną, to w drugą stronę. Nie stawiają oporu. Kołyszą się bezwolnie. Na moment ciszę rozdziera krzyk jakiegoś ptaka. Jak ostrzone o siebie noże. Zaraz potem słychać inne dźwięki. Świergot i ćwierkanie. Gdzieś w oddali dzięcioł stuka w pień drzewa.

Hjalmar kładzie się na boku. Z dachu szałas kapie woda.

Ni stąd, ni zowąd przychodzi mu do głowy jedno zdanie. „A we mnie duch mój omdlewa, serce we mnie zamiera”. Z czego to jest? Z Biblii, leżącej w chatce w Saarisuanto?

Dlaczego człowiek roztrząsa w myślach to, co było? Przecież od dnia, w którym ojciec wepchnął mu głowę do przerębli, minęło pół wieku! Nigdy nie wracał pamięcią do tego zdarzenia, dlaczego teraz nagle miałyby o tym myśleć?

Ciążą mu powieki. Śnieg wzdycha w lesie, zmęczony wiosną. Słońce przypieka. W końcu morzy go sen.

Budzi się z poczuciem czyjejs obecności. Otwiera oczy i najpierw widzi tylko cień, zasłaniający słońce. Czarny i kudłaty.

Momentalnie przytomnieje. Niedźwiedź.

Staje przed nim na tylnych łapach. Teraz Hjalmar dostrzega więcej niż tylko sylwetkę. Nos, futro. Łapy i pazury. Zwierzę przez trzy sekundy stoi nieruchomo, wpatrzone w oczy człowieka.

To już koniec, myśli Krekula.

Kolejne trzy sekundy. Hjalmar zamiera.

Będzie, co ma być, myśli o śmierci.

Bóg spogląda na niego okiem niedźwiedzia.

A niedźwiedź odwraca się, opada na cztery łapy i odchodzi.

Serce Hjalmara bije rytmicznie. To uderzenia życia. To opuszki palców szamana trącające skórę bębna. To krople deszczu, tłukące o blaszany dach domku w Saarisuanto jesienną porą, kiedy w kominku trzaska ogień.

Krew krąży w jego żyłach niczym wiosenna woda, która uwalnia się z lodu, płynie wartko pod śniegiem, sięga wierzchołków drzew, rzuca się ze skał.

Tchnienie przemierza jego płuca, tam i z powrotem. To wiatr, który unosi ku niebu kruka w czasie toków, kręci w górach bicze smagające śniegiem, marszczy delikatnie wieczorną taflę jeziora, a w końcu cichnie, roztaczając wkoło spokój i gładkość.

Panie mój, modli się Hjalmar do Boga z braku kogoś innego, a może czegoś innego, do czego można się zwrócić, kiedy czuje się łaskę, której właśnie dostąpił. Zostań! Nie odchodź!

Wie jednak, że taki stan ducha nie potrwa długo. Siedzi nieruchomo, czekając, aż minie.

Teraz dostrzega, że zniknęły kanapki. To one musiały zwabić niedźwiedzia.

Wraca do domu na nartach, ogarnięty euforią.

Niech się dzieje, co chce, myśli. Jestem wolny. Niedźwiedź mógł mnie zabić. To mógł być koniec.

Postara się odszukać w Biblii te wersy. „Serce we mnie zamiera”.

ANNI JEST TERAZ niemal przezroczysta. Zasnęła na ławie kuchennej. Siedzę obok i obserwuję jej klatkę piersiową. Mięśnie tam w środku pracują z trudem, zmęczone. Brakuje im siły. Oddech jest przyspieszony i płytki. Wiosenne słońce wdziera się przez okno, ogrzewa jej nogi. Nagle Anni otwiera oczy i mam wrażenie, że na mnie patrzy.

– Zrobimy trochę kawy? – pyta.

Wtedy uświadamiam sobie, że ona naprawdę rozmawia ze mną, choć mnie nie widzi. Choć nie ma pewności, że tutaj jestem.

Wstaje powoli. Lewą dłonią podpira się z tyłu, prawą zaś chwyta za białe oparcie mebla. Później obiema rękami przesuwając nogi na skraj ławy. Przewiesza je przez krawędź i opuszcza na podłogę. Stopy w pantoflach, dłoń wsparta o stół. Jej

mozolnym ruchom towarzyszą leciutkie eh-heh-heh, westchnienia bólu i zmęczenia.

Nalewa wody do czajnika, otwiera puszkę z kawą, odmierza kilka łyżek.

– Pomyślałam, że weźmiemy termos i napijemy się na schodach. Słońce przypieka już tak mocno.

Mija wieczność, zanim Anni wyciągnie termos, napełni go kawą, założy kurtkę i wygramoli się na ganek. Że nie wspomnę o tym, jak trudno jej usiąść na schodach. Ale ona się śmieje.

– Mam w kieszeni telefon. Więc jeśli się nie podniosę, to po kogoś zadzwonię. Ty raczej nie będziesz mogła mi pomóc.

Nalewa gorącą kawę do kubka. Pije niespiesznie, rozkoszując się dotykiem słońca na policzkach i nosie. Po raz pierwszy od mojej śmierci myśli z radością, że być może będzie jej dane jeszcze jedno lato. Musi tylko uważać, żeby się nie przewrócić i nie wylądować w szpitalu.

Na podwórzu pojawiają się kruki. Najpierw spacerują wkoło, jakby obchodziły własną posiadłość. Ich czarne pióra połyskują w słońcu. Masywne dzioby zwracają się to tu, to tam. Ptaki nie mówią dużo. Mam wrażenie, że odgrywają teatr. Udadają poważnych jegomości. Powłóczą klinowatymi ogonami jak pawie. Gdybym naprawdę tutaj była, mogłybyśmy pożartować. Siedziałybyśmy na schodach i zastanawiały się, cóż to za ważni panowie. Anni powiedziałyby bez zastanowienia, że oto mamy przed sobą trzech laestadiańskich kaznodziei, którzy przyszli, żeby nas nawrócić. Ja bym optowała za szefem opieki socjalnej, dyrektorem szkoły i sędzią. „No, teraz to już mam przechłapanie”, powiedziałyby potem.

Anni bierze sobie dolewkę. Trzyma kubek w obu dłoniach.

Ja też chcę trzymać w rękach kubek z parującą kawą. Chcę przycupnąć na schodach obok Anni naprawdę, nie na niby. Chcę, żeby Simon zajechał na podwórze. O, jakże on się uśmiechał, kiedy na mnie patrzył! Jakby został obdarowany najcenniejszym prezentem. Wszystko skręca się we mnie z tęsknoty. Moje dłonie nie mogą niczego dotknąć.

Kiedy przed domem zatrzymuje się samochód, jestem niemal pewna, że to Simon. Ale to starszy Krekula. Kruki wzbijają się w górę, przysiadają na drzewach.

Hjalmar wyłącza silnik i wysiada ciężko z auta.

Stoi przed Anni i nie ma pojęcia, jak wyrazić to, co chciałby jej powiedzieć. Chwilowo to nie ma znaczenia. Staruszka mówi bowiem jak nakręcona.

– Siedzę i rozmawiam ze zmarłymi. Chyba trochę mi odbiło. Ale co mam robić? Wkrótce nie będę tu znała żywej duszy.

Nagle milknie. Przypomina sobie ciotkę ojca, która nieustannie narzekała na samotność. Pamięta, jak bardzo męczyły ją wizyty u tej kobiety.

A teraz zaczynam kwękać tak jak ona, myśli. To chyba jakieś czary.

– Jedziesz do Saarisuanto? – pyta, głównie po to, by zmienić temat.

Siostrzeniec potakuje.

– Anni – odzywa się.

Dopiero wtedy kobieta dostrzega osobliwy wyraz jego twarzy.

– Coś się stało? Coś z Isakiem?

Hjalmar zaprzecza bez słów.

– Ale co ci się stało, chłopcze? *Poika, mikä sinulla on?*

Mężczyzna uśmiecha się na myśl, że Anni ciągle nazywa go chłopcem.

Staruszka chwytą w szpony żelazną poręcz i podnosi się z mozołem. Wtedy Hjalmar przerywa milczenie.

– Przepraszam.

Mówi prawie bezgłośnie. Słysząc, z jakim trudem artykułuje właśnie to słowo. Szorstko i chropowato. Jakby miał je zapisane na kartce, jakby zbyt długo meł je w ustach i dlatego wydobywał je teraz potwornie zmięte.

Ostatnio użył go bardzo dawno temu, kiedy dostał lanie od Isaka. W tamtych czasach znaczyło ono: „litości!”.

– Za co? – dopytuje się Anni.

Chociaż przecież wie.

Patrzy na niego i wie. Wie. Wie!

A on rozumie, że ona wie.

– Nie! – Anni krzyczy tak głośno, że kruki na drzewach gwałtownie uderzają skrzydłami.

Nie podrywają się jednak do lotu.

Staruszka wygraża Hjalmarowi szponiastą ręką. Nie, nie potrafi mu przebaczyć.

– Dlaczego? – pyta.

Jej ciało na ganku wydaje się wątłe i kruche. Ale powietrze wokół wibruje mocą. Anni jest wiedźmą, dzierżącą przekleństwo w zaciśniętej dłoni.

Hjalmar wyciąga rękę i wspiera się na niej ciężko o samochód. Drugą przyciska do serca.

– Planowali nurkować w poszukiwaniu starego samolotu – wyjaśnia. – Kiedy ojciec o tym usłyszał ... Właśnie wtedy dostał zawału. Nie powinno się grzebać w przeszłości.

Słyszysz, jak to brzmi. Jak gdyby się bronił. A przecież nie o to chodzi. Tylko że naprawdę nie wie, co ma powiedzieć.

– Tylko ty?! Sam?! – krzyczy Anni.

Hjalmar kręci głową.

– To nieprawda – mówi Anni.

Jej głos niknie, zupełnie bezsilny. Staruszka trzyma się poręczy, żeby nie upaść.

– To nie może być prawda.

Potem wydaje jakiś nieludzki dźwięk. Jakby miała w gardle zwierzę. Z wykrzychaną przez owo zwierzę skargą zwraca się do Hjalmara. Jej spojrzenie płonie. Słowa ociekają pianą wściekłości.

– Wynoś się stąd! Wynoś się stąd, nieszczęśniku! Nie waż mi się tu pokazywać! Słyszysz?

Hjalmar wsiada do samochodu. Wyciąga przed siebie ręce i chowa twarz w dłonie, złożone w miseczkę. Za chwilę odjedzie. Tylko musi się najpierw zebrać w sobie.

Opuszcza podwórze Anni i rusza na północ. Gdy tylko zniknie gula w gardle, zadzwoni na policję. Poprosi o rozmowę z prokuratorką Rebeką Martinsson.

Isak Krekula leży na plecach w swoim pokoju. Ma lodowate stopy. Jest mu zimno. Z kuchni dochodzi ciężkie tykanie zegara. Ten zegar to maszyna śmierci. Najpierw wisiał w domu jego rodziców. Kiedy umarli, zawisł na ścianie u niego i Kerttu. Kiedy on zejdzie z tego świata, Laura zanieś zegar do siebie i razem z Torem – słuchając cykania – będą czekać na swoją kolej.

Isak woła Kerttu. Gdzieżeż się, kurwa, podziewa ta baba?

– Halo! *Tule tänne!*^[11]

W końcu żona przychodzi. Starzec mruczy z niezadowoleniem, gdy przykrywa mu nogi kołdrą.

Przecież wołał ją całą wieczność. Dlaczego nie słyszała? Ogłuchła, głupia, czy co?

– Zrobię kawy – mówi Kerttu i wraca do kuchni.

Isak nie przestaje mleć swoich pretensji, jak młyn. Żona ma przyjść, kiedy mąż woła! Czy ona tego nie rozumie? Przecież on leży tutaj zupełnie bezradny.

– Słyszysz? – woła za nią. – Czy ty w ogóle słuchasz, co ja mówię? Pierdolona dziwko!

Ostatnie słowa wypowiada, zniżając lekko głos. Wcześniej bez skrępowania wykrzykiwał takie obelgi. Płacił za jedzenie na stole i był panem w swoim domu. Ale co ma zrobić teraz, gdy leży jak kłoda? Uzależniony od innych?

Zamyka oczy, lecz nie może zasnąć. Ciągle mu zimno. Woła Kerttu, żeby przyniosła jeszcze jeden koc. Nikt nie przychodzi.

W jego głowie jest sierpień 1943 roku. Pewnego upalnego dnia przyjechał z Kerttu do Luleå. Stoją w centrum miasta, przed niemieckim magazynem wojskowym przy katedrze, i rozmawiają z Williamem Schörnerem, dowódcą do spraw bezpieczeństwa w SS. Na liczne ciężarówki załadowywane są worki z symbolem orła i ciężkie skrzynie, z którymi należy się obchodzić wyjątkowo ostrożnie.

Niemiec jest jak zwykle nienagannie ubrany, ogolony i poprawny. Sprawia wrażenie człowieka, który nie poci się nawet w najgorętszym słońcu. Stacjonujący w Luleå szef magazynu, oberlejtant Walther Zindel, wsuwa dwa palce za kołnierz; jemu z pewnością dokucza spiekota. Isak widział go zaledwie kilka razy, jak unosi ramię w pozdrowieniu hitlerowskim, zawsze w obecności Schörnera.

Po obu mężczyznach widać, że są pod presją.

Wojenne szczęście odwróciło się od Niemców. Wszystko się zmienia. Szwecja przyjmuje coraz więcej Żydów. Wiosną i latem podniosły się głosy protestu przeciw niemieckim pociągom na terytorium Szwecji. Pisarz Vilhelm Moberg napisał w gazecie o tak zwanych transportach przepustkowiczów. Ujawnił, że przez Szwecję przetaczają się nie tylko pociągi z nieuzbrojonymi rekrutami, którzy jadą na

przepustkę lub z niej wracają, ale również pociągi pełne niemieckich żołnierzy z bagnietami i pistoletami. Pod koniec lipca szwedzki rząd wypowiada zawartą z Niemcami umowę dotyczącą tranzytów i Szwedzkie Koleje Państwowe lada moment przestaną brać udział w transporcie wojsk niemieckich. Ludzie nie kryją się z nienawiścią do Hitlera. W Berlinie skazano na śmierć czterech Szwedów oskarżonych o szpiegostwo. W kwietniu został zatopiony szwedzki okręt podwodny Ulven; dochodzą również wieści o ostrzelaniu innej jednostki podwodnej, Draken, przez niemiecki statek handlowy Altkirch. W lipcu przy północno-zachodnim wybrzeżu Jutlandii Niemcy zatapiają dwie szwedzkie łodzie, ginie dwunastu rybaków. Ludzie dostają szału, kiedy Berlin w odpowiedzi na protesty tłumaczy, że szwedzcy rybacy dopuścili się sabotażu, gdyż zniszczyli niemieckie boje świetlne.

Zarówno szef magazynu Zindel, jak i dowódca do spraw bezpieczeństwa Schörner odczuwają chłodniejsze nastawienie mieszkańców Luleå. Ludzie spuszczaają wzrok. Na poczcie, w restauracjach, wszędzie zmienił się nastrój. Coraz rzadziej przychodzą zaproszenia na obiady do zacnych mieszczańskich rodzin. Coraz częściej szwedzka żona Zindla siedzi w domu sama.

W drodze do Luleå Krekula rozważa pomysł, żeby renegecować ceny swoich usług. Teraz gdy szwedzkie koleje wycofują się ze współpracy, konieczność zaopatrywania wojsk w fińskiej Laponii i w północnej Norwegii sprawi, że Niemcy będą całkowicie uzależnieni od transportów samochodowych. Poza tym Isak zaczyna odczuwać niechęć ludzi, którym nie podoba się jego dyspozycyjność wobec Niemców, i uważa, że należy mu się rekompensata.

Wysiadając z ciężarówki przed magazynem, pojmuje od razu, że nie dojdzie do żadnych renegecji. W Luleå pojawił się mianowicie dowódca do spraw bezpieczeństwa William Schörner. Isak nie chciałby mieć z nim do czynienia, ale gdy Schörner jest w mieście, a bywa tu często, przejmuje kierownictwo nad całą działalnością. Niedawno, wręczając mu zapłatę, w ostatniej sekundzie cofnął kopertę z pieniędzmi, właśnie wtedy gdy Isak wysunął po nią dłoń. Szwed stał z wyciągniętą ręką i czuł się jak idiota.

– Isak – odezwał się Niemiec. – Prawdziwie żydowskie imię, *nicht wahr*? Czyżby pan był Żydem?

Isak musiał go zapewnić, że nie jest.

– Rozumie pan chyba, że nie mogę robić interesów z Żydami.

Isak zapewnił raz jeszcze, że nie ma żydowskich korzeni.

Schörner długo mu się wtedy przyglądał w milczeniu.

– No dobrze – powiedział wreszcie i wręczył Krekuli kopertę.

Jak gdyby nie do końca przekonany.

Teraz William Schörner to chodzący dynamit. Każde niemieckie niepowodzenie na froncie, każdy przejaw szwedzkiej pobłażliwości wobec aliantów, wszystko to tworzy w jego wnętrzu pole minowe. Na przykład w ubiegłym tygodniu dowiedział się o trzech polskich okrętach podwodnych stacjonujących w Mariefred i nie mógł zrozumieć, że nikt nie podejmuje żadnych działań, a zwłaszcza rząd niemiecki. Na pozór jest spokojny i jak zwykle flirtuje z Kerttu, ale powietrze wokół niego wibruje od napięcia. Schörner dojrzał do eksplozji. Ba, tęskni za eksplozją!

Szwedzki minister spraw zagranicznych swoje obawy związane z zerwaniem umowy o tranzytach wyraził w następujących słowach: „Ostatni atak zranionej sarny może być potworny”. William Schörner jest taką zranioną sarną.

Kerttu jednak tego nie dostrzega. Isak patrzy ponuro na dziewczynę, gdy ta szczebiocze i świergocze, obsypywana przez Niemca komplementami. Jej kasztanowe loki przysłaniają jedno oko, jak u Rity Hayworth. Ma na sobie błękitną sukienkę w białe groszki, rozkloszowaną i z wysoką talią. Schörner ostrzega Kerttu, żeby się miała na baczności, bo pewnego pięknego dnia ktoś ją po prostu zje.

Schörner patrzy na nią przychylnym okiem. W ostatnich latach oddała mu kilka przysług. Przekazała zasłyszane tu i ówdzie wiadomości. Ponad rok temu niemiecki samolot kurierski z kulomiotami musiał przymusowo lądować gdzieś w lasach, z dala od wybrzeża. Kerttu, będąc kiedyś z Isakiem w Luleå, poszła do fryzjera. Wróciła stamtąd z informacjami o miejscu, w którym samolot zderzył się z ziemią; opowiedziała jej o tym żona właściciela lasu. A właściciel nie powiadomił policji o swoim odkryciu. Może chciał trochę zarobić; zarówno pilot, jak i cała załoga zginęli w trakcie lądowania. Innym razem zdała relację o dziennikarzu, który fotografował wagony kolejowe wyładowane niemiecką bronią. Często ma w zanadrzu tego typu ciekawostki. Duże i małe. Ludzie bowiem chętnie się jej zwierniają. Chcą poczuć na sobie jej zielonobrzazowe oczy. Dobrze im w towarzystwie młodej i pięknej kobiety. Schörner notuje dane. Pisze ołówkiem. Później zamyka notes w czarnej skórzanej

oprawie i chowa go do aktówki. Jeżeli informacje okażą się prawdziwe i przydatne, Kerttu może liczyć na zapłatę. Za wiadomość o samolocie kurierskim dostała tysiąc koron. To więcej, niż jej ojciec widzi w ciągu roku.

Uzbierała nieco gotówki. Nie zmarnotrawiła ani grosza. Żyje na koszt rodziców, więc własne oszczędności pożyczka Isakowi, który inwestuje je w firmę. Niemcy płacą mu bardzo dobrze. Cenią to, że nie zadaje zbędnych pytań i dostarcza towary na czas.

Teraz Schörner bierze młodych Szwedów na bok i pyta, czy Isak mógłby wypożyczyć Kerttu do pewnego zadania.

Dziewczyna udaje obrażoną i pyta, dlaczego pan Schörner nie zwraca się do niej osobiście. Przecież ona nie jest własnością Isaka.

Niemiec na to ze śmiechem, że odważna z niej kobieta, dlatego też on doskonale wie, że odważna kobieta się zgodzi.

Isak potwierdza, że decyzja należy do Kerttu, ale chciałby wiedzieć, na czym miałyby polegać to zadanie.

Schörner opowiada im wtedy o trzech duńskich jeńcach wojennych, którzy zbiegli z niemieckiego statku cumującego w porcie Luleå.

– Chciałbym ich odzyskać – wyjaśnia, puszczając oko.

Z uśmiechem częstuje ich papierosami.

Isak rozumie, że za uśmiechem kryje się powściągany gniew. W ostatnich miesiącach duński ruch oporu bardzo się umocnił i Niemcy mają poważne kłopoty z sabotażem oraz z wszelką antyniemiecką działalnością.

Schörner wie, że na przemoc trzeba reagować przemocą. Oko za oko. Odkąd dwudziesta piąta dywizja pancerna została przerzucona z Norwegii do Francji, niezbędne okazało się zaostrzenie terroru wobec norweskiej ludności cywilnej, by utrzymać ją w szachu.

– Ktoś im udzielił schronienia – mówi dalej. – Przecież tu też działa ruch oporu. Mam na oku pewnego młodzieńca, który jak przypuszczam, wie coś na temat uciekinierów. A ja wiem, że ów młodzieniec ma jedną słabość. Ubóstwia ładne dziewczęta.

Zdradza im swój plan. Obiecuje sowitą zapłatę.

W głowie Isaka tłoczą się obrazy. Widzi, jak Kerttu wraca z wycieczki ze

zmierzwionymi włosami i ze źdźbłami słomy na plecach. To fakt, chodzi o dużo pieniędzy. Kerttu przystaje na propozycję, nawet nie spojrzawszy w jego stronę. A cóż on może zrobić? Nic.

Teraz Isak ma osiemdziesiąt pięć lat. Leży na plecach w łóżku i powtarza to, co mówił do siebie przez całe życie: przecież nie mogłem jej powstrzymać.

Znów ją woła. Krzyczy, że chce mu się pić. Że ciągle mu zimno.

Kerttu pojawia się w drzwiach ze szklanką wody. Kiedy Isak zwraca ku niej wzrok, opróżnia ją jednym haustem.

– Zawsze się tobą brzydziłam – mówi. – Wiesz o tym, co?

Jej słowa zostają bez odpowiedzi, ponieważ w tym momencie rozlega się dzwonek u drzwi. Przed domem stoją policjanci. Ta mała blondynka, komisarz Anna Maria Mella, i dwóch mężczyzn. Kobieta pyta o Torego.

Kerttu Krekula wie, że sprawa jest poważna. Policjanci nie wspominają o nakazie zatrzymania. Nie muszą. Kerttu wpada w furję. Prawdziwą furję.

– Czy wyście oszaleli?! – krzyczy. – Zwariowaliście? Dlaczego nas prześladowacie? Co on takiego zrobił?

Kobieta nie przestaje krzyczeć, jakby ją ktoś nabijał na pal, podczas gdy policjanci wchodzą do środka, żeby się rozejrzeć.

– Mój synek! Mój biedny synek!

Kiedy policjanci odjeżdżają, opada na krzesło przy kuchennym stole, z czołem wspartym na ramieniu. Drugą ręką przykrywa głowę.

Isak woła ją z pokoju obok. O co, kurwa, chodzi? Co to za jedni? Kerttu nie odpowiada.

Opadam na cztery łapy na blat w kuchni. Jak kot stoję oparta na dłoniach i stopach. Chcę to zobaczyć. Cholerna Kerttu. Jesteśmy teraz same. Tylko ona i ja. Idę z nią na tańce. Jest 28 sierpnia 1943 roku.

Na cyplu Gültzauudden, poza miastem, trwa dziś zabawa taneczna. Grają Swingersi. *Solen lyser även på liten stuga, Med dig i mina armar, Ain't Misbehavin'* i inne piękne melodie. Komary i meszki wirują w walcu *Sjösalavalsen*, a druty telefoniczne uginają się pod jaskółkami, które zasiadły w rzędach niczym na

trybunach.

Młodzi mężczyźni mają na sobie nicowane garnitury. Kobiety – przerabiane sukienki i usztywnione celulozą spódnice. Wszyscy wiotcy jak trzcina, w tych czasach pod znakiem rozdzielnictwa i kartek na żywność.

Kerttu czuje się dość podle. Sama na potańcówce. A do tego Schörner nie pozwolił jej włożyć najładniejszej sukienki.

– Nie może się pani za bardzo wyróżniać – powiedział. – Musi pani być zwykłą dziewczyną z... stamtąd, skąd pani pochodzi.

– Piilijärvi – uzupełniła.

– Proszę pamiętać, że nie ma pani żadnego narzeczonego, mieszka u kuzynki w Luleå i szuka pracy.

Kerttu kupuje oranżadę i staje przy estradzie. Dwóch chłopaków podchodzi do niej i zaprasza ją do tańca. Odmawia grzecznie, mówiąc: „Może trochę później”, i dodaje, że czeka na kuzynkę. Czuje się jednocześnie jak gąska podpierająca ściany i jak królowa lodu. Sączy oranżadę bez pośpiechu, nie chce, żeby skończyła się zbyt szybko. Kątem oka dostrzega mężczyznę, na którym tak zależy Niemcowi. Axel Viebke. Widziała go wcześniej na zdjęciu.

W końcu pojawia się sam Schörner. Przyjechał sportowym wandererem, pożyczonym od szefa magazynu. Mali chłopcy, którzy zazwyczaj jak drozdy obsiadają brzozy wokół estrady, teraz oblegają urzekające auto, na benzynę i w ogóle.

Niemiec natychmiast wyławia z grupki przywódcę i wręcza mu pięć koron, prosząc, by nie spuszczał oka z samochodu. Nie chce, żeby ktoś porysował karoserię. Albo żeby jakiś żartowniś wrzucił kostkę cukru do baku.

Później wchodzi niespiesznie na parkiet. Ubrany w mundur. Roztacza aurę skrywanego napięcia.

Kupuje oranżadę, ale nawet nie bierze jej do ust. Podchodzi do Kerttu. Zaprasza ją do tańca.

– Nie, dziękuję – odpowiada głośno kobieta. – Nie tańczę z Niemcami.

Schörner blednie. Z kamienną twarzą strzela obcasami, wraca do samochodu i odjeżdża.

Kerttu rzuca spojrzenie na Axela. Zerka raz jeszcze. Coraz śmieiej. Po chwili

spuszcza wzrok. A potem ponownie spogląda mu prosto w oczy.

Mężczyzna opuszcza kolegów i podchodzi do nieznajomej.

– A z chłopakami z Voullerim pani tańczy? – pyta.

Kerttu się śmieje, szczerzy białe zęby i odpowiada, że owszem, jak najbardziej.

W tańcu wyjaśnia mu, że zatrzymała się w Luleå u kuzynki i że szuka pracy. A kuzynka chyba zapomniała, że miały się tutaj spotkać, bo jeszcze nie przyszła. Co oczywiście nie ma większego znaczenia, ponieważ Kerttu i Axel tańczą ze sobą cały wieczór.

Po zabawie Axel chce odprowadzić Kerttu do domu. Dziewczyna pozwala sobie towarzyszyć tylko kawałek. Idą wzdłuż rzeki. Lada dzień zaczną żółknąć brzozy, wkrótce lato dobiegnie końca. Jest trochę melancholijnie i bardzo romantycznie.

Axel podziwia ją za to, jak utarła nosa niemieckiemu oficerowi, który chciał z nią zatańczyć. A cóż on sobie myślał, zajeżdżając taką bryką? Że niby taki ważny?

– Nienawidzę Niemców – mówi Kerttu.

Później milknie, wpatrując się w rzekę.

Axel pyta ją, o czym myśli. Dziewczyna zastanawia się, czy słyszał o trzech duńskich jeńcach wojennych, którzy zbiegli ze statku w porcie.

– Mam nadzieję, że dadzą sobie radę – dodaje. – No, bo gdzież się mają podziać?

Axel na nią patrzy. Kerttu czuje się, jakby grała w filmie. Jak Ingrid Bergman.

– Dadzą sobie radę – zapewnia mężczyzna, gładząc jej policzek.

– Skąd pan może wiedzieć? – pyta z uśmiechem.

W uśmiechu kryje się odrobina wyniosłości. Jak gdyby Kerttu uważała, że Axel to młodzik, któremu tylko tańce w głowie. Że nic nie rozumie. Choć to przecież ona jest o wiele młodsza.

– Wiem – odpowiada mężczyzna. – Ponieważ to ja ich ukryłem.

Dziewczyna wybucha śmiechem.

– Wszystko pan powie, tylko po to żeby pocałować kobietę?

– Może pani myśleć, co chce. Mówię prawdę.

– No to chcę ich zobaczyć.

Dwa dni później Kerttu siedzi obok Schörnera w samochodzie należącym do Walthera Zindla. Tyłne siedzenia zajmują dwaj wojskowi. Ich broń leży na podłodze.

Jest cudowny, późnoletni dzień. Tu i ówdzie stoją w rzędach stogi i wydzielają woń siana rozgrzanego słońcem. Na łąkach, z których siano już zwieziono, krowy skubią świeżą trawę. Kierowca raz za razem musi zwalniać, ponieważ po drogach porusza się sporo chłopskich zaprzęgów. Jarzębiny uginają się pod ciężarem czerwonych gron. Z lasu wraca ojciec z dwoma córkami. Widać po jego chodzie, że niesiony na plecach pojemnik z jagodami jest bardzo ciężki. Każda dziewczynka ma w ręku niewielkie wiaderko pełne czarnych borówek.

Po jakimś czasie Niemcy i Kerttu wysiadają z auta i ostatni odcinek pokonują pieszo. Ścieżka wiedzie przez las, wzdłuż kilku podmokłych łąk. W końcu docierają do szalasu dla żniwiarzy, należącego do stryja Axela. Domek jest prosty, mały i niepomalowany, ale skąpany w słońcu, prezentuje się pięknie. Lśni niczym srebro na polanie.

William Schörner prosi o ciszę i zbliżając się do chatki, odbezpiecza broń.

Dopiero wtedy Kerttu uświadamia sobie, że Axel może się poczuć zdradzony. Wcześniej nie myślała o tym w ten sposób. Wszystko wydawało się tylko przygodą.

Schörner zbliża się do chatki w towarzystwie dwóch wojskowych. W końcu wchodzi do środka. I bardzo szybko wracają.

– Nikogo tu nie ma! – Schörner nie kryje niezadowolenia.

Spogląda na nią oskarżycielsko.

Kerttu otwiera usta, by powiedzieć coś na swoją obronę. Przecież wczoraj była tutaj z Axelem. Spotkała Duńczyków. Wszyscy bardzo sympatyczni.

Nie zdąży nic wyjaśnić, bo w tej samej chwili z lasu dochodzą jakieś głosy. Śmiech. Coraz bliżej. Niemcy wycofują się błyskawicznie i chowają w zaroślach. Ciągną ze sobą Kerttu, każą jej się położyć na ziemi i milczeć.

Spomiędzy drzew wyłania się czterech mężczyzn. Duńscy uciekinierzy i Axel. Ten ostatni jest taki piękny, z jasnymi lokami i radosnym uśmiechem. Byli na rybach. Axel niesie szczupaka i trzy okonie. Nadział je na wierzbinowe widełki. W drugiej ręce trzyma fajkę. Duńczycy mają brzozowe wędkę.

Kerttu najpierw cieszy się na widok Axela. Po chwili zaś czuje, jak ściska jej się

żołądek.

SONJA W CENTRALI łączy rozmówcę z telefonem komórkowym Rebeki Martinsson.

Rebeka wyszła na spacer z psami. Popołudniowe słońce grzeje. Tintin i Vera zaznajamiają się z podwórzem. Vera grzebie zapamiętałe przy stosie drewna; mokra ziemia i mech fruwią w powietrzu. Jakaś biedna, wystraszona nornica siedzi teraz pod szczapami z walącym serduszkiem, przekonana, że oto nadeszła jej ostatnia chwila. Tintin wpada na pobliską łąkę. Pasące się tam konie sąsiada, przyzwyczajone do psów, nie zaszczycają jej nawet spojrzeniem. Suka znajduje imponujący kopczyk łajna, zjada jedną połowę, a w drugiej zaczyna się tarzać. Rebeka nie interweniuje. Wykąpie obie panie, kiedy wrócą do domu. A później będą schły razem przed kominkiem. Postanawia zadzwonić do Kristera Erikssona i opowiedzieć mu, jak zachowuje się jego śliczna sunia, gdy tylko poczuje, że pana nie ma w pobliżu. Chce powiedzieć żartem, że Tintin najwyraźniej potrzebuje chwili urlopu, żeby po prostu pobyc psem.

Kończy się jednak na zamiarach, ponieważ właśnie dzwoni telefon. Rebecce przemyka przez głowę, że to pewnie Krister, czytający w jej myślach. Ale tym razem to Sonja z centrali. Informuje o nadchodzącej rozmowie i po chwili prokuratorka słyszy odchrząkującego mężczyznę.

– Tak... Dzień dobry. Tu Hjalmar Krekula. Chcę wyznać – mówi.

I zaraz się poprawia:

– To znaczy przyznać się.

– Aha.

Ożeż, kurr... myśli Rebeka. Żadnego magnetofonu, nic!

– To ja ich zabiłem. Wilmę Persson. I Simona Kyrö.

Coś tu nie gra, Rebeka czuje to całą sobą. Słyszy, że mężczyzna znajduje się w samochodzie. Dokąd się wybiera?

Myśli. Szybkie jak pływające żmije. Lisa Stöckel, która wjechała w ciężarówkę. Ojciec Nallego, który się zastrzelił.

– Okej – mówi ze spokojem. – Chcę to nagrać. Może pan przyjechać na komendę?

Odsuwa od siebie telefon i głośno przetyka ślinę. Nie chce, żeby mężczyzna podejrzewał ją o zdenerwowanie czy strach.

– Nie.

– Przyjedziemy więc do pana. Jest pan w domu?

– Nie. Wystarczy to, co powiedziałem. Powiedziałem i teraz pani wie. I już.

Nie, nie, nie! Rebeka nie może pozwolić, żeby Hjalmar odłożył słuchawkę. Widzi przed sobą chłopca z pasemkami łez na twarzy.

– Ale to nie wystarczy – próbuje go przekonać. – Skąd mogę wiedzieć, że pan mówi prawdę? Ludzie dzwonią cały czas i wyznają najprzeróżniejsze winy...

Ale Hjalmar zdążył się rozłączyć.

– Kurwa mać! – Rebeka krzyczy tak głośno, że obie suki stają w miejscu i podnoszą wzrok.

Zrozumiawszy jednak, że nie jest na nie zła, wracają do swoich zajęć. Vera właśnie znalazła szyszkę i kładzie ją przed Tintin. Cofa się kilka kroków, wyciąga łapy, obniża przednią część ciała. No, chodź! – mówi. Pobawimy się trochę. Zobaczymy, czy potrafisz ją zabrać szybciej niż ja. Tintin ziewa demonstracyjnie.

Rebeka próbuje skontaktować się z Anną Marią, ale bez powodzenia.

– Zadzwoń do mnie natychmiast – zostawia wiadomość.

Patrzy na psy. Vera ma ubłocone łapy i brzuch. Tintin jest uperfumowana końskim łajnem na szyi i pod uszami.

– Flejtuchy – mówi. – Gangsterki. I co ja mam, kurde, zrobić?

Wypowiada to i nagle wie. Musi do niego pojechać. Żeby on nie... żeby nie. Psy? Weźmie je ze sobą. Uświnione jak nieboskie stworzenia.

– Jedziemy! – woła do nich.

O, nie! U Hjalmara Krekuli nikt nie otwiera. Rebeka brodzi w mokrym śniegu wokół domu i zagląda w okna. Puka do nich. Dochodzi do wniosku, że gospodarza nie ma w domu. Nie widzi też jego samochodu.

Anni Autio. Może ona coś wie?

Ale u Anni też nikt nie otwiera.

Nad domem krąży stado kruków. Dokoła, dokoła.

Co się z nimi dzieje? – zastanawia się Rebeka.

Drzwi nie są zamknięte na klucz, wchodzi więc do środka.

Anni leży na ławie kuchennej. Ma zamknięte oczy.

– Proszę mi wybaczyć... przepraszam – mówi Rebeka.

Anni podnosi powiekę.

– Ja... Drzwi nie były zamknięte i... Szukam Hjalmara Krekuli. Pani jest jego ciotką, prawda? Wie pani, gdzie się mógł podziać?

– Nie.

Oko się zamyka.

Na jego miejscu pojechałabym do chatki w lesie, myśli Rebeka.

– Czy Hjalmar ma jakiś domek letniskowy?

– Jeśli powiem, gdzie leży chałupa... Mogę narysować mapkę. Jeżeli to zrobię, zostawi mnie pani w spokoju? Nie chcę słyszeć jego imienia. Nie chcę z nikim rozmawiać. Niech mi pani pomoże wstać. Tam na blacie, przy wadze, leżą kartki i długopis.

A jeśli przyjadę za późno? – denerwuje się Rebeka, pędząc jak szalona wzdłuż E10. Skręca w lewo w Kuosanenvägen, w stronę rzeki Kalix. Jeśli się zastrzelił? Jeśli leży w kałuży krwi na podłodze? Jeśli nie ma potylicy? Jeśli nie ma twarzy? Tak też może być. Właśnie tak może być.

Jeszcze raz dzwoni do Anny Marii. Zostawia kolejną wiadomość.

– Jestem w drodze do domku letniskowego Hjalmara Krekuli. Przyznał się do zamordowania Hjörleifura, Wilmy i Simona. Mam złe przeczucia. Nie denerwuj się, spokojnie. Ale zadzwoń. Jeśli będę mogła odebrać, odpowiem.

Potem dzwoni do Kristera.

– Hej! – mężczyzna wita się z Rebeką, zanim ta zdąży cokolwiek powiedzieć.

Jego „hej” jest bardzo miękkie. Intymne i szczęśliwe. Jak „hej”, które nie zdąży wybrzmieć, zanim wsuniesz dłoń pod włosy zakrywające kark ukochanej osoby. Krister zobaczył na wyświetlaczu, kto dzwoni, i wypowiedział je właśnie tak. Jak „hej” na powitanie miłości.

Rebeka czuje się zbita z pantałyku. Ciepły prąd z punktu między żebrami w kierunku kości miednicy.

– Jak idzie mojej dziewczynie? – pyta Krister i dopiero po sekundzie Rebeka uświadamia sobie, że chodzi mu o Tintin.

Odpowiada, że dobrze, i przedstawia swoją teorię: Tintin chciała się uwolnić na moment od roli policjantki, zapragnęła po prostu być psem i pewnie dlatego wytarzała się w końskim łajnie.

– Cała ona! Zuch dziewczyna! – śmieje się Krister, nie kryjąc dumy.

Potem Rebeka mówi mu, dokąd jedzie i dlaczego.

– We wtorek przeszukiwaliśmy jego mieszkanie. Nie wiem, jak to wytłumaczyć...

Krister poważnieje, ale nie odradza jej samotnej wyprawy do Hjalmara Krekuli.

– Patrząc na niego, nagle zobaczyłam kogoś innego – kontynuuje Rebeka. – I poczułam, że... może nie to, że powinnam mu przyjść z pomocą, ale... że w jakiś sposób jesteśmy ze sobą związani. Jakoś tak. Mam więc teraz wybór.

Po omacku i niepewnie ubiera uczucia w słowa, a mimo to ma wrażenie, że tylko się ośmiesza.

– Rozumiem – mówi Krister.

– Nie wierzę w takie rzeczy.

– Nie musisz wcale wierzyć. Rób tylko to, co w danej chwili wydaje ci się właściwe. I nie zapomnij o Tintin!

– Nigdy nie pozwolę, żeby stało jej się coś złego.

– Wiem.

Zapada chwila milczenia. A tak dużo chciałoby się powiedzieć. Wreszcie Krister kończy rozmowę zwykłym:

– No to cześć!

Elewację domku letniskowego Hjalmara stanowią poziome, brązowo bejcowane deski. Drzwi i obramowania okien są pomalowane na niebiesko. Dwustopniowe schodki przed wejściem zbito z kilku impregnowanych kawałków drewna. Sylwetę dachu z blachy falistej wieńczy prawdziwy, murowany komin. Na zboczu opadającym ku rzece rosną dorodne sosny. Stara, czerwonobrunatna szopa na łodzie przechyla się

niepokojąco pod zwałami śniegu. Może przetrzyma jeszcze jedno lato, choć to dosyć wątpliwe. Nad samym brzegiem stoi sauna z charakterystycznym żelaznym kominem. Obok leży wyciągnięty na ląd pomost. Spod topniejącego śniegu widać zaledwie jego część.

Droga za podniesionym szlabanem jest odśnieżona, ale nie dochodzi do samego domku. Samochód Hjalmara stoi przy jej końcu. Ostatni odcinek Rebeka pokonuje pieszo, wzdłuż śladów skutera. Ktoś szedł tędy przed nią, stawiał ciężkie kroki, zapadał się co trzeci, czwarty. To musiał być Krekula.

Vera i Tintin szaleją radośnie dokoła z nosami przy ziemi. Są tu ślady reniferów, które biegły koleinami wyżłobionymi przez skuter, by oszczędzać siły. Pardwy utworzyły w śniegu zabawne pętle, drepcząc między brzożami. W innym miejscu widać tropy łośia. Droga przez las zajmuje prawie kwadrans.

Rebeka puka do drzwi. Ponieważ nikt nie odpowiada, wchodzi do środka.

Domek ma tylko jedną, obszerną izbę. Ale już przy drzwiach zaczyna się coś na kształt kuchni. Na ścianie po lewej stronie wiszą stare szafki kuchenne z zasuwanymi drzwiczkami. Pod nimi zamontowano kuchenkę elektryczną i niezbyt duży blat. Do góry dnem leży na nim pomarańczowa balia, a równoległe do niej – szczotka do zmywania.

Przy niewielkim stole stoją trzy krzesła z oparciem ze szczebelków. Każde z innej parafii, powleczone stanowczo za grubą warstwą farby, ostatnio chabrowej. W głębi izby sofa. Skosmacone kremowe siedziska, z paskami w kolorze nugatu, zieleni i ciemnego brązu, postawiono na sztorc obok mebla, prawdopodobnie po to, żeby nie zwilgotniały i nie pokryły się od spodu pleśnią.

W kominku buzuje ogień. Mimo to w domku ciągle panuje wilgotny chłód.

Hjalmar Krekula siedzi na twardej drewnianej ramie sofy. Nie położył na miejsce ani jednej poduchy. Na głowie ma ocieplaną nylonową czapkę z daszkiem. Nie ściągnął też kurtki.

– Co pani tu robi?

– Nie wiem – odpowiada Rebeka, zatrzymując się w progu. – Na dworze mam dwa psy, właśnie zaczynają rozdrapywać drzwi wejściowe. Mogę je wpuścić do środka? Są utyłane jak diabli.

– Niech je pani wpuści.

Rebeka otwiera drzwi. Vera niemal wywraca stół, kiedy w szalonym pędzie dopada Hjalmara, chcąc się z nim przywitać jako pierwsza. Tintin, zupełnie tym nie przejęta, obwącjuje wokół całe pomieszczenie, by w końcu – ignorując mężczyznę – położyć się na boku przed kominkiem.

Hjalmar odruchowo zaczyna głaskać Verę, co ta przyjmuje za dobrą monetę i bez wahania wskakuje na sofę.

Rebeka kategorycznym tonem przywołuje sukę do porządku i zamierza ją stamtąd przegonić, rezygnuje jednak, widząc przeczący gest Krekuli. Vera dochodzi do wniosku, że oto pora nawiązać stosunki na wyższym poziomie, i gramoli się na kolana siedzącego. Nie ma dużo miejsca, przeszkadza jej ogromny brzuch, ale radzi sobie świetnie i po chwili serdecznie przesuwając językiem po ustach Hjalmara.

– No, no, no! – mężczyzna usiłuje przybrać surowy ton.

Ale jednocześnie wybiera z psiej sierści grudki zlodowaciałego śniegu. Zadowolona suka napiera na Hjalmara całym ciężarem i znów liże mu kąciki ust.

– Przed chwilą zjadła nornicę – oznajmia Rebeka. – Myślę, że powinien pan o tym wiedzieć.

– Ożeż ty!... – odpowiada Krekula ze śmiechem.

– Nie czuję się winna. To nie ja ją wychowałam.

– Nie? Słuchaj, dziewczuszko – zwraca się do Very. – Już wystarczy, słyszysz? No więc kto cię tak wychował?

Rebeka milczy.

Tylko żadnych kłamstw, upomina się w duchu.

– To pies Hjørleifura Arnarsona – mówi w końcu.

Hjalmar kiwa w zamyśleniu głową. Głaszcze uszy Very.

– Nie zauważyłem, że ma psa. Napije się pani kawy?

– Tak, chętnie.

– Może pani nastawić? Ja tu... że tak powiem, czuję się trochę zajęty. Kawa jest w szafce.

Rebeka przygotowuje kawę. Napełnia perkolator wodą i grubo zmielonymi ziarnami. Obok pieca leży otwarta Biblia. Kobieta czyta na głos podkreślony werset.

– „A we mnie duch mój omdlewa, serce we mnie zamiera”. Podoba się panu Księga Psalmów?

– Nie, ale od czasu do czasu do niej zaglądam. Nie mam tu innych książek.

Rebeka bierze Biblię do ręki – niewielką, w czarnej oprawie, ze złocnymi stronami. Przewraca cienkie kartki. Drobnny tekst jest prawie nieczytelny.

– Wiem – mówi Hjalmar, jakby odgadując jej myśli. – Używam szkła powiększającego.

Rebeka czuje, jak dobrze jej z tą książką, tak zgrabnie leżącą w dłoni. Zadziwia ją jakość papieru. Wydana w 1928 roku Biblia nie jest ani odrobinę pożółkła. I tak ładnie pachnie. Kościołem, babcią, inną epoką.

– A pani czytuje?

– Czasami. Nie mam nic przeciwko Biblii. To Kościół...

– I co pani wtedy czyta?

– O, to różnie. Lubię proroków. Mają w sobie swoistą ostrość. Podoba mi się ich język. No i są po prostu ludzcy. Na przykład Jonasz. Przecież on jest potwornie marudny. I trudno na nim polegać. Bóg mówi: idź do Niniwy i nauczaj. A on ucieka dokładnie w przeciwną stronę. W końcu, po trzech dniach w brzuchu ryby, wykonuje zadanie i przepowiada rychły upadek miasta. Mieszkańcy Niniwy odprawiają pokutę, Bóg zmienia zdanie i postanawia ich ocalić. Tylko że wtedy Jonasz złości się jak jasna cholera, bo przecież przepowiedział katastrofę, która nie nadeszła, i jako prorok kompletnie stracił twarz.

– W brzuchu wieloryba.

– Tak, to interesujące, że najpierw musi umrzeć, żeby się zmienić. A później wcale nie jest już tym dobrym, oświeconym człowiekiem na wieki wieków, że się tak wyrażę. To dopiero początek długiej drogi. A pan co czyta?

Otwiera Biblię w miejscu zaznaczonym jedwabną tasiemką.

– Hioba – odpowiada sobie sama i mrużąc oczy, odczytuje zaznaczone wersy. – „O, gdybyś w Szeolu mnie schował, ukrył, aż gniew Twój przeminie...”.

– Tak.

Hjalmar kiwa głową, jak laestadianin w ławce kościelnej.

Udręczony człowiek czyta o udręczonym człowieku, uświadamia sobie Rebeka.

– Myślę, że Bóg jest jak mój ojciec, zły jak diabli – dodaje Krekula, głaszcząc Verę po brzuchu.

Uśmiecha się, jakby chciał podkreślić, że żartuje. Rebeka nie odwzajemnia uśmiechu.

Vera wzdycha z zadowolenia. Tintin wzdycha przeciągle pod kominkiem. Tak powinno wyglądać psie życie.

Rebeka czyta dalej bezgłośnie. „Góra rozpadnie się w gruzy i skała zmieni swe miejsce, woda zniszczy kamienie, fala podmyje glebę; i Ty nadzieję niweczysz w człowieku. Miażdżysz na zawsze”.

Rozgląda się dokoła. Na ścianach obitych poźółką sosnową boazerią wiszą różne ozdoby, trochę bez ładu i składu. Niepodpisany obraz olejny, przedstawiający wiatrak w zatoce morskiej o zachodzie słońca, nóż lapoński i topornie wyciosany czerpak, wypchana, wyblakła wiewiórka na gałęzi, zegar zrobiony z miedzianej patelni; wskazówki są umocowane od spodu. Na parapecie w porcelanowym wazonie stoją sztuczne kwiaty. Jest tam też kilka fotografii.

– Pokażę pani moją tajemnicę – mówi nagle Hjalmar, podnosząc się z sofy. Vera niechętnie zeskakuje na podłogę.

Mężczyzna odsuwa gałgankowy dywanik, podważa kwadratowy kawałek linoleum, podnosi obluzowaną deskę i w końcu wyciąga niewielką paczkę. Trzy książki do matematyki, zawinięte w kraciastą ceratę. I plastikowa teczka. Hjalmar rozkłada wszystko przed Rebeką na niewielkim kuchennym blacie.

Ona odczytuje głośno tytuły: *Analiza wielowymiarowa*, *Discrete Mathematics*, *Mathematics Handbook*.

– To podręczniki uniwersyteckie – wyjaśnia Hjalmar nie bez dumy.

Po chwili dodaje ze złością:

– Nie jestem idiotą, jeśli pani tak myślała. Proszę zajrzeć do teczki i zobaczyć.

– Nic takiego nie myślałam. Dlaczego trzyma je pan pod podłogą?

Hjalmar wertuje książki.

– Ojciec i brat... – mówi ze smutkiem w głosie. – Zresztą matka też. Tę dopiero było, gdyby się dowiedzieli.

Rebeka otwiera teczkę. W środku leży świadectwo maturalne ze Szkoły

Korespondencyjnej Hermoda.

– Przesiadywałem tu, gdy miałem wolne. Właśnie przy tym stole. Uczyłem się i walczyłem... z innymi przedmiotami. Matematyka zawsze była prosta. Rozumiem ją. Z tymi ocenami mogłem starać się na studia, ale...

W jego pamięci lato 1972 roku. Ma dwadzieścia pięć lat. Przez cały lipiec i sierpień rozważa, czy powiedzieć ojcu i Toremu o swoich planach. Rzucić robotę. Zaciągnąć pożyczkę studencką i zacząć się uczyć. Leży bezsennie całymi nocami i próbuje im to wyjaśnić. Czasami obiecuje, że chodzi o chwilową przerwę i że zaraz po studiach znów zacznie pracować w firmie. Czasami mówi, że mogą mu naskoczyć i że wolalby spać pod mostem, niż wrócić. W końcu nie mówi nic.

– ...ale nic z tego nie wyszło – wyznaje prokuratorce.

Rebeka znów bacznie mu się przygląda. Coś go boli. Coś się w nim łamie. Hjalmar musi usiąść. Najbliżej ma do jednego z drewnianych krzeseł przy stole.

Suki natychmiast do niego podbiegają. Liżą go po rękach.

A on płacze. Wylewa się z niego cała gorąca żałość.

– Kurwa... Moje życie. Kurwa mać! Zawsze byłem tłusty i zawsze pracowałem. To była moja jedyna...

Skinieniem głowy wskazuje podręczniki.

Zakrywa usta dłonią, lecz nie potrafi powstrzymać płaczu. Głośne łkanie wstrząsa jego ciałem.

– Ma pani ze sobą magnetofon? – pyta nagle. – To dlatego pani tu przysłała?

– Nie.

Rebeka nie może oderwać oczu od Hjalmara. Niemy świadek jego żalu. Widzi, jak ten żal rozdziera mu piersi. Nie zdobywa się jednak na pocieszający dotyk. Vera kładzie mu łapę na kolanie. Tintin rozciąga się na jego stopach.

W końcu Rebeka ucieka spojrzeniem. Kątem oka dostrzega, jak Krekula wstaje, by schować książki pod podłogą, jej wzrok pada na czarno-białą fotografię. Na ganku stoją kobieta i mężczyzna. Na schodkach siedzi dwóch chłopców. To muszą być bracia Krekulowie i ich rodzice. Isak i... jakżeż ona ma na imię? Kerttu. Rebeka ma

wrażenie, że w tej kobiecie jest coś znajomego. Zastanawia się, czy nie widziała tego zdjęcia u Anni Autio. A może u Johanna Svarvarego? Nie.

Nagle ją rozpoznaje. Widziała ją na zdjęciu w albumie Pantzarego. To ta sama dziewczyna, która stała między nim a jego kolegą Axelem. To musi być ona!

Kerttu.

A później uzmysławia sobie, że zarówno Hjalmar, jak i Tore posiwieli w charakterystyczny sposób, tak jak siwieją osoby rudowłose. Obaj mają bardzo jasną cerę.

Lis, myśli Rebeka. Czy Karl Åke Pantzare nie wspomniał, że Niemcy nazywali informatora Lisem? *Kettu* to po fińsku lis. *Kettu*. Kerttu.

Unoszę się nad Anni, kiedy za pomocą fińskich sanek sunie z mozołem po śniegu do siostry. Kerttu otwiera drzwi po jakichś pięciu minutach. Uchyła je zaledwie.

– Czego chcesz? – pyta bez cienia radości, widząc Anni.

– Czy to ty? – pyta jej siostra.

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj, że nie wiesz! – głos Anni drży z gniewu. – Przyszedł do mnie Hjalmar. Był w drodze do chatki w Saarisuanto. Powiedział, że... To ty ich do tego zmusiłaś, prawda?

– Czyś ty oszalała? Idź ty lepiej do domu i odpocznij.

– A ten twój Tore! Jemu trzeba było złoić skórę wieki temu!

Kerttu usiłuje zamknąć drzwi, ale Anni nie posiada się z gniewu.

– Ty... – mamrocze i wsuwa chudziutkie ramiona w szparę między drzwiami a futryną. Chwyta siostrę za sukienkę i wyciąga na ganek. – Opowiadaj, jak było! – krzyczy, potrząsając nią.

Siedzę na balustradzie i nie mogę powstrzymać się od śmiechu. Właściwie to wcale nie jest śmieszne, ale – Boże ty mój – oglądam prawdziwą walkę kurczaków! Kerttu wyje: „Puść!”, ale już po chwili staruszkom brakuje tchu i nie są w stanie wydobyć z siebie głosu. Zziajane, szarpią się i okładają na tyle, na ile potrafią.

Brawo, Anni! – dopinguję. Dowal jej!

Słyszą mnie tylko kruki, hałasujące na dachu stodoły.

Nie wypuszczając z dłoni sukienki, Anni popycha Kerttu ku żelaznej poręczy. Siostra wymierza jej policzek. Anni zaczyna płakać. Nie z powodu pięknej twarzy, tylko z powodu bolącej duszy. Nienawidzi siostry, a to boli.

– Zdrajczyń! – wybucha. – Diabelskie, diabelskie na...

Nie zdąży powiedzieć więcej, bo Kerttu uderza ją głową, Anni traci równowagę i spada ze schodów.

Z trudem podnosi się na rękach. Płacze głośno z bezsilności i żalu.

– Wynoś się! – syczy zdyszana Kerttu. – Wynoś się stąd, zanim poszczuję cię psami!

Anni podpełza na czworakach do sanek, wspiera się o nie i w końcu staje na nogi. Kuśtykając, popycha sanki przed sobą. Z mozołem opuszcza domostwo siostry i wychodzi na szosę.

Kerttu wraca do środka. W kuchni stoi Tore.

– Słyszałeś?

Syn potakuje.

– Hjalmar oszalał. No i Anni! Wszyscy chyba oszaleli. Twój brat doprowadzi nas do zguby. On w ogóle nie myśli. Nie myśli o tobie i twojej rodzinie. Nie myśli o twoim życiu.

Przerywa na moment i masuje obolałe plecy, które przed chwilą zderzyły się z poręczą.

– Nigdy się o ciebie nie troszczył. Oboje to wiemy.

– Pojechał do Saarisuanto?

Kerttu kiwa głową.

– No, to wezmę wasz skuter i przejadę się tam – mówi Tore.

– Ojciec tego nie przeżyje – odpowiada matka i siada z trudem przy stole.

Kładzie głowę na ramieniu. Jest sierpień 1943 roku. Srebrny szalas dla żniwiarzy. Kerttu leży na brzuchu w lesie. Axel Viebke i trzech duńskich uciekinierów znikają wewnątrz domku. Dowódca do spraw bezpieczeństwa Schörner szepce jej do ucha:

– Proszę tam podejść i ich zawołać.

Kerttu potrząsa przecząco głową.

– Wystarczy tylko, że pani to zrobi, a wszystko pójdzie gładko.

Wówczas Kerttu wstaje, podchodzi do szalasu i woła Axela. Dwa razy wypowiada jego imię.

Axel staje na schodach. Zdziwienie i uśmiech na twarzy. Pojawiają się też Duńczycy.

Wtedy zza drzew wyłaniają się Niemcy. Nie mają na sobie mundurów, ale pistolet w ręce Schörnera i karabiny pozostałych mówią wszystko, co jest do powiedzenia. Łamanym szwedzkim Schörner rozkazuje Axelowi i duńskim uciekinierom, żeby klękali z rękami na karku.

Kerttu spuszcza wzrok. Patrząc w mech, pragnie sprawić wrażenie, że została do tego zmuszona. Nie chce, żeby Axel źle o niej myślał. Schörner nie pozwala jednak na takie oszustwo. Podchodzi do niej i z pistoletem skierowanym w stronę Szweda gładzi jej policzek.

Kerttu nie widzi obrzydzenia w oczach Axela, ale je czuje.

Schörner celuje z pistoletu w głowę mężczyzny. Żąda informacji o grupie Axela.

Axel odpowiada, że nie ma pojęcia, o czym mowa, że on...

Nie zdąży powiedzieć więcej; Schörner przesuwa pistolet i strzela.

Mijają dwie sekundy, pada jeden z Duńczyków. Z ucha Axela leje się krew. Kula przeszła tak blisko. Pozostali Niemcy wymieniają szybkie spojrzenia.

Krótki krzyk Kerttu. I znów cisza. Trzęsą jej się nogi. Spogląda na swe drżące kolana. Na rosnące u stóp świetliki i delikatny dziewięciornik. Po chwili znów słyszy śpiew ptaków i gruchanie gołębi.

Wpatruje się w płonnik, raketnik i chrobotka reniferowego, podczas gdy Schörner kopie Axela w brzuch i zaciąga go pod ścianę szalasu.

Zatrzymuje wzrok na jałowcu i przekwitłych kwiatach dzikiego rozmarynu, podczas gdy jeden z Niemców stawia Axela na nogi, opiera o ścianę, a Schörner wyjmuje nóż i przebija dłoń Szweda, przytwierdzając ją do srebrnej ściany.

– Mów! – rozkazuje.

Axel milczy.

Kerttu widzi jego białą, coraz bielszą twarz. Widzi, jak mężczyzna traci przytomność. A później widzi już tylko krzewinki brusznicy, krzewinki czarnej

jagody, krzewinki bażyny, krzewinki łożyni...

Schörner przeklina, sfrustrowany. Próbuje ocucić Szweda, wyciągając nóż z jego dłoni i bijąc go po twarzy. Bezskutecznie.

Kerttu słyszy trzy strzały. Zaklina rzeczywistość: to nieprawda, to nieprawda! Któryś z Niemców oddala się i wraca po chwili z kanistrem benzyny. Kiedy stamtąd odchodzą, szalas płonie jak uschnięta sosna.

Schörner odwozi Kerttu do Isaka i mówi z uznaniem o jego narzeczonej, że spisała się na medal. Chwyta ją za brodę i zapewnia, że teraz wie, iż może na nią liczyć. I że spotka ją zasłużona nagroda. On sam już wszystkiego dopilnuje. Muszą tylko uzbroić się w cierpliwość.

Isak, zapatrzony w kropki krwi na twarzy niemieckiego dowódcy, upomina dziewczynę kilka razy, żeby wsiadła do szoferki; w końcu pomaga jej jeden z wojskowych.

Nazajutrz „Norrbottenskuriren” zamieszcza notatkę o pożarze, w którym oprócz Axela Viebkego zginęło trzech niezidentyfikowanych mężczyzn. Kerttu zauważa, że akurat tego dnia gazeta wyjątkowo nie pojawia się na stole w biurze Isaka. A on sam niczego nie komentuje. O nic jej nie pyta. Ona też nic nie mówi. Trzeba zapomnieć i iść dalej.

Nigdy nie doczekali się nagrody. Nigdy więcej też nie spotkali Schörnera. We wrześniu dowiadują się od szefa magazynu Zindla, że w kolejnym transporcie lotniczym z Narviku będzie przesyłka dla Kerttu. Samolot ma wylądować w Kurravaarze.

Isak, Johannes Svarvare i trzech chłopaków ze wsi, którzy mają pomóc w przeładunku, czekają cały wieczór i pół nocy. Czekają jednak na próżno. A później sprawa idzie w zapomnienie.

Isak się dowiaduje, że transportowiec zaginął, a Kerttu oczami wyobraźni widzi wrak samolotu gdzieś w lesie. Widzi, jak ktoś go odnajduje i dostrzega aktówkę, tak bardzo podobną do czarnej skórzanej aktówki Schörnera. Leży w niej notes, w którym można przeczytać o wszystkim, w czym ona, lisica, pomogła niemieckiej armii. Co roku w sezonie zbioru jagód Kerttu dręczy chorobliwy niepokój.

– Opowie mi pan? – pyta Rebeka Hjalmara. – Opowie mi pan, jak to się stało?

Rozlała kawę do kubków. Hjalmar postawił swój na niewielkim stoliku przed sofą. Przy jego stopach leży Vera. Tintin zasnęła przed kominkiem. Rebeka stoi oparta o ścianę. Trudno jej się powstrzymać, by nie zerkać na zdjęcie rodziny Krekulów. Chciałaby pożyczyć od Pantzarego fotografię z dziewczyną i Axelem, żeby je porównać. To musi być ona. To z pewnością Kerttu.

– Od czego mam zacząć? Pojechaliśmy tam. Nad jezioro.

– Jacy my?

– Ja...

Waha się przez chwilę, ale nabrawszy powietrza w płuca, mówi:

– Ja, Tore i matka.

Jest dziewiąty października. Hjalmar siedzi w samochodzie brata na tylnym siedzeniu. Kerttu – na przednim. Tore prowadzi. Ich matka była rano u Anni. Pytała o Wilmę. Tak jak to przyjęte, przy okazji. Anni odpowiedziała, że przyszedł po nią Simon i wybrali się na wycieczkę. Na cały dzień. Nie miała pojęcia dokąd. Ale Kerttu wiedziała. Poszła do garażu. Porozmawiała z synami.

– Z pewnością są nad Vittangijärvi. Svarvare radził im, żeby szukali właśnie w tym jeziorze. Musimy tam pojechać.

Tylko tyle im powiedziała. Tore załadował czterokołowiec na przyczepę. Teraz jadą wzdłuż Luonattivägen. Żwir uderza o podwozie samochodu. Tore manewruje zręcznie między wyrwami.

Hjalmar się zastanawia: co my tam, kurde, mamy robić?

Nikt nic nie mówi.

Hjalmar patrzy na Rebeke, szuka słów.

– Proszę zrozumieć – mówi. – To nie tak, jak by się mogło wydawać. Nikt nie powiedział: zabijemy ich. Po prostu tak wyszło.

– Niech pan spróbuje mi to wyjaśnić. I proszę nie zapomnieć o kawie, zanim wystygnie.

Z kieszeni jej płaszczka dochodzi znajoma melodia. Rebeka wyjmuje telefon. Måns.

Kurza dupa!

– Niech pani odbierze – mówi Hjalmar. – Mnie to nie przeszkadza.

– Nie. Przepraszam. Nie powinnam jej była włączać.

Kiedy przebrzmiewa ostatni dźwięk, Rebeka wyłącza telefon.

– Przepraszam – powtarza. – No więc niech pan opowie.

– Nie ma o czym opowiadać. Przyjechaliśmy tam. Matka odcięła linkę. Ja przyniosłem drzwi.

– Te, którymi przykryliście przeręblę?

– Tak.

Jadą czterokołowcem przez las. Wokół jeziora jest niemal boleśnie pięknie. Kiedy wyłączają silnik, żaden dźwięk nie mąci ciszy. Słońce przegląda się w nieskazitelnie gładkim lodzie. Oko zamarznętej wody niczym srebrny klejnot wśród drzew.

A oto przerębla. Z drewnianym krzyżakiem.

Z otworu wydostają się zabawne bąbelki powietrza.

– Daj mi nóż – mówi Kerttu i Tore posłusznie podaje jej finkę, którą ma przytroczoną do pasa.

Do drugiego syna mówi:

– Idź i przynieś stamtąd jakieś drzwi albo coś w tym rodzaju.

Wskazuje głową najbliższe gospodarstwo, które wygląda na zupełnie opuszczone. Hjalmar przygląda się zabudowaniom. Kerttu traci cierpliwość.

– Na pewno znajdziesz jakieś drzwi od wychodka, szopy czy schowka. Pospiesz się!

I Hjalmar rusza ku zagrodzie, zdejmuje z zawiasów drzwi od drewnitni i przynosi je nad jezioro. Matka odcięła już linkę i usunęła krzyżak leżący nad przeręblą.

– Połóż je tutaj – Kerttu wskazuje na otwór w lodzie.

Hjalmar bez słowa wykonuje jej polecenie. A kiedy matka każe mu stanąć na drzwiach, bez szemrania na nich staje.

Światło jest oślepiające. Trudno nie mrużyć oczu. Spod przymkniętych powiek Hjalmar patrzy w niebo. Tore wygwizduje jakąś melodię. Upływa kilka minut. Pod lodem pojawia się ciemna postać. Drapie w drzwi. To tylko ktoś. Nie wiadomo kto. Hjalmar nie myśli o Wilmie i Simonie.

Kerttu odwraca wzrok i milczy. Hjalmar też patrzy w inną stronę. Jedyne Tore nie może oderwać oczu od czarnych desek. Jakby nagle wstąpiło weń życie.

– A co robił Tore? – pyta Rebeka. – Przecież on też tam był.

– Nic – odpowiada Hjalmar. – To ja. To ja...

Postać spod lodu odpywa od drzwi. Tore podąża za nią wzrokiem jak za zdobyczą. Przestaje gwizdać.

– To ona – mówi ściszym głosem. – Taka drobniutka. To musi być ona!

Hjalmar nie chce tego słuchać. To nie ona. To tylko ktoś, ktokolwiek.

Ten ktoś zaczyna wykłuwać dziurę w lodzie. Wierci i drąży nożem.

Tore wygląda na rozbawionego.

– Skubana kocica! – w jego głosie pobrzmiwa podziw. – Trzeba przyznać, że nie brak jej silnej woli.

Stoi obok, wpatrzony w otwór, który cały czas się powiększa. W końcu wysuwa się z niego ręka.

Tore momentalnie ją chwyta.

– A, dzień dobry, dzień dobry! – mówi i parska śmiechem.

Wygina dłoń to w górę, to w dół.

Patrzy wyzywająco na brata. Tym samym spojrzeniem, którym obdarzał go przez całe dzieciństwo i młodość. „Zabroń mi, jeśli potrafisz”, mówią jego oczy. „Upomnij mnie, jeśli masz odwagę”.

Hjalmar milczy. Wyłącza się, tak jak wyłączał się całe życie. Przestaje zwracać na niego uwagę.

Wtem Toremu zostaje w dłoni tylko rękawica do nurkowania. Temu komuś udało się wyzwolić z uchwytu.

– Ja cię pierdołę! – wykrzykuje z uznaniem.

Po chwili widzi, jak ktoś pod lodem oddala się od otworu. Tore biegnie za tym kimś, machając rękawicą.

– Poczekaj! – woła ze śmiechem. – Zapomniałaś czegoś. Halo!

Nieustannie podąża za cieniem poruszającym się pod powierzchnią jeziora.

– Ty dziwko! – krzyczy.

Wzbiera w nim złość. Cały czas nad jej cieniem. Zdyszany. Nie zwykł biegać. Lód jest gładki i śliski, dziewczyna porusza się szybko i zwinnie.

– Ty pierdolona sztokholmska kurwo!

Dziewczyna znów jest pod drzwiami. Drapie w nie. Tłucze.

Po chwili odpływa, Tore biegnie za nią.

Wreszcie nadchodzi koniec. Cień nieruchomieje. Tore też.

– Teraz – dyszy. – Teraz!

Pada na kolana i przyciska twarz do lodu.

– Poszukujemy Torego Krekuli listem gończym – oznajmia Anna Maria kolegom.

Sven Erik Stålnacke, Tommy Rantakyrö i Fred Olsson zebrali się w jej gabinecie.

– Zawiadomcie dyżurnych w Gällivare, Boden, Luleå, Kaliksie i Haparandzie, to na początek. Przefaksujcie numery rejestracyjne wszystkich pojazdów należących do firmy Krekulów oraz tych, które są w posiadaniu rodziny.

Znajomy dźwięk sygnalizuje, że przyszedł SMS. Komisarz Mella wystukuje podany numer i odsłuchuje pocztę głosową.

– O kurwa! – wyrywa się jej.

Koledzy podnoszą pytająco brwi.

– Rebeka pojechała do Piilijärvi, żeby porozmawiać z Hjalmarem Krekulą. Zadzwoił do niej i powiedział, że chce zeznawać.

Wybiera numer Rebeki. Żadnej odpowiedzi.

– Co za cholerna lekkomyślność! – wybucha.

Koledzy milczą. Anna Maria spogląda na Svena Erika. Wie, że myśli teraz o wydarzeniach w Regli. Jeżeli ktoś tu jest lekkomyślny i nierozważny, to właśnie ona.

Ni stąd, ni zowąd komisarz Mellę ogarniają potworne zmęczenie i smutek. Chciałaby stawić czoło nieuchronnemu atakowi Svena Erika, ale czuje się całkowicie bezbronna; brak jej sił, by zacisnąć pięści, podkasać rękawy i trzymać gardę.

Zwolnię się, myśli. Nie chcę tak dłużej. Urodzę jeszcze jedno dziecko.

Mija zaledwie kilka sekund, ale sekund bogatych w zdarzenia. Anna Maria patrzy na Svena Erika. Sven Erik patrzy na nią i w końcu mówi:

– Rzec ma się tak, a nie inaczej. Jedziemy do Piilijärvi.

I nagle cały ten ciężar osuwa się z Anny Marii. Jak śnieg z dachu wiosną.

„Rzec ma się tak, a nie inaczej”. Miał na myśli Regłę.

Hjalmar upija łyk kawy. Trzyma kubek obiema rękami. Vera drapie go łapą w nogę, dopominając się o pieszczoty.

– Nie myślałem wtedy o tym, że to ona – zwierza się Rebecce. – Nie miałem sił, żeby o tym myśleć. Umarła. A ja tam tylko stałem.

– Ale później pan o niej myślał?

– Tak – szepcze. – Dużo.

– Jak znalazła się w rzece?

– Matka powiedziała, że powinniśmy ją przenieść. Nie chciała, żeby ją tam znaleziono. No, wie pani, samolot. Nikt nie mógł się o tym dowiedzieć. Więc wydostaliśmy ją z wody. Czekaliśmy na chłopaka. Tylko że on nigdy nie wypłynął na powierzchnię.

Hjalmar zamyka oczy. Jeszcze raz widzi, jak rozbijają drzwi i wrzucają połamane deski do przerębli.

Ale o plecakach zapomnieliśmy, myśli. Człowiekowi się zdaje, że potrafi zachować zimną krew, a to nieprawda.

Przesuwa dłonią po twarzy i mówi dalej.

– Przewieźliśmy ją terenówką do leśnej drogi. Trzymałem ją w objęciach. To wtedy ogarnęło mnie uczucie, którego nie dało się wytrzymać. Które już nigdy mnie nie opuściło. Gdybym nie trzymał jej wtedy w objęciach... to może... nie wiem, może udałoby mi się zapomnieć. Włożyliśmy ją do ich samochodu, do bagażnika. Usiadłem za kierownicą i pojechałem do Tervaskoski. Tam woda jeszcze nie zamarzała. Benzyny wystarczyło w sam raz. Tore odwiózł matkę do domu. Później przyjechał do mnie. Wrzuciliśmy ciało do bystrzyny. Kluczyk od stacyjki położyliśmy na kole auta.

– Pańska matka – mówi Rebeka do Hjalmara. – Myślę, że w czasie wojny sprzedawała Niemcom informacje.

Hjalmar potwierdza skinieniem głowy.

Możliwe, myśli. Pamięta potańcówkę, na której byli z bratem, mieli po kilkanaście lat. Pamięta chłopaczkę w ich wieku, który z drwiącą miną uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Jego stary był komunistą. Skończyło się oczywiście piekielną bijatyką. Rozproszyli się dopiero wtedy, gdy ktoś krzyknął, że nadjeżdża policja.

Pamięta kwilenie matki za ścianą, kiedy Tore zniknął w lesie. „To jest kara”.

Pamięta Isaka w saunie, przecież nie tak dawno temu. Po tym, jak Johannes Svarvare opowiedział im, że rozmawiał z Wilmą o samolocie. Po zawale ojca. Po zabójstwach.

Atmosfera w domu była mętna i gęsta od tych wszystkich nienazwanych rzeczy, o których nawet nie można było napomknąć. Matkę rwało w stawach. Bardziej niż zwykle. Narzekała głośno, jak ciężko jej zajmować się Isakiem. A przecież wtedy, zimą, był w o wiele lepszym stanie. Któregoś ranka na początku marca nie mógł się podnieść. Lekarze powiedzieli, że w nocy najprawdopodobniej miał kilka niewielkich zawałów. Od tamtej pory nie wstawał z łóżka. Ale zimą miał się lepiej.

– On cuchnie – mówi Kerttu do starszego syna.

Siedzi przy stole w eleganckim płaszczu i butach, z torebką na kolanach. Czeka na Torego i Laurę, którzy mają podwieźć ją do miasta, do lekarza. Tylko wtedy opuszcza wieś. Kiedy ma wizytę u doktora, jak go nazywa.

To chyba nie przypadek, że właśnie teraz dociera do niej nieprzyjemna woń Isaka. Kiedy sama jest wykąpana i pachnąca, kiedy ma na sobie świeżą i niezniszczoną bieliznę.

Isak szwenda się po okolicy. Cały czas na nogach, mimo poważnego zawału jesienią. Kiedy człowiek mieszka w wiosce, od czasu do czasu musi zrobić obchód. Odwiedzić paru kumów, posiedzieć u nich w kuchni, napić się kawy i wymienić uwagi na temat ostatnich wydarzeń. Nie zachodzi do wielu. Na dobrą sprawę pozostał mu tylko Johannes i jeszcze jeden z przeciwka. Z większością mieszkańców nie rozmawia wcale. W ciągu całego życia nazbierało się trochę ludzkiej krzywdy. Niejeden sąsiad zerwał z nim znajomość. Interesy to interesy, mówi Isak. Zawsze ktoś

się może wkurzyć i poczuć, że go oszukano.

– Trudno z nim wytrzymać w chałupie, bo może myślicie, że nie – narzeka Kerttu, włączając do rozmowy nieobecnego Torego.

Mówi stanowczym, bezdźwięcznym tonem.

– Toć zajmę się nim, jasne, dopilnuj tylko, żeby się umył – poleca ostro. – Inaczej dam sobie spokój.

Nadjeżdża samochód. Żona Torego trąbi klaksonem.

Hjalmar wzdycha. Wygląda na to, że będzie musiał kłócić się z Isakiem. I co ma zrobić? Przywiązać go pod prysznicem? Przejechać po nim szczotką ryżową?

Półtorej godziny później Isak zjawia się w domu. Hjalmar czeka na niego w kuchni.

– Rozpaliłem ogień w saunie – mówi. – Posiedzisz trochę ze mną?

Na stole postawił sześć piw.

Isak wcale nie ma ochoty na kąpiel w saunie. Widać po nim, że któryś z sąsiadów poczęstował go czymś mocniejszym niż kawą. Ale widać też, jak łakomie zerka na puszkę z piwem.

Hjalmar nabrał wprawy w obchodzeniu się ze starcem. Nie przynagla. Nie powtarza raz zadanego pytania. Udaje, że towarzystwo ojca jest mu zupełnie obojętne. Ten bowiem absolutnie nie może się domyślić, że syn ma za zadanie go wykąpać. Isak stoi w drzwiach i milczy. Hjalmar bierze piwa i ręcznik, tylko jeden. Przechodzi bez słowa koło ojca. Rusza w kierunku sauny.

Wkłada puszkę do wiaderka ze śniegiem.

Obmywa się i rozsiada w saunie, polewa rozgrzane kamienie. Parująca woda syczy i prycha. Gorąca para dosięga najwyższej ławki i Hjalmara. Parzy mu skórę. Pozwala odpędzić myśl o brzuchu zasłaniającym uda. Cholera jasna, jak przytył.

Myśli o czymś innym. Gołym okiem widać, że gospodarstwo należy do dwojga starców. Dawniej, kiedy się rozpalało w saunie, pachniało sucho sosną, mydłem łojowym i płonącym w kominku ogniem. Teraz parująca woda uwalnia woń kurzu i zarośniętych brudem desek. Dawno nikt ich nie szorował.

Hjalmar prawie zdążył zapomnieć o Isaku, kiedy słyszy trzask zamykanych drzwi. Pochyla się i wyławia puszkę z wiaderka.

Ojciec wchodzi do środka i gramoli się na najwyższą ławkę; dostaje do ręki piwo, wypija je duszkiem, bierze następne.

Coraz go mniej, myśli Hjalmar. Wątle, schorowane ciało, rzadkie, stanowczo za długie włosy, zwiotczała skóra, upstrzona starczymi plamami. Dopiero co pod zakasanyimi rękawami prężyły się muskuły, dopiero co Isak sam podnosił klapę ciężarówki.

Gniew, myśli Hjalmar. Gniew jest w nim równie silny jak wcześniej. To filar trzymający go w pionie. Gniew na mieszkańców wsi, którzy szepczą pomiędzy sobą za jego plecami, skurwiele – połowa z nich byłaby na bezrobociu, gdyby nie jego firma; gniew na urząd skarbowy – pieprzeni krwio pijcy, siedzą i pierdzą w stołki, pojęcia o życiu nie mają; gniew na lokalnych polityków, na spółki ubezpieczeniowe, na dyrektorów, na sztokholmskich bubków, na popołudniówki, na celebrytów – toć to same ćpuny; na bezrobotnych i rencistów – śmierdzące lenie żyjące na koszt innych, bo dupy im się nie chce ruszyć; na całą telewizję, te ich wiadomości, konkursy i reality show – za chuja im nie zapłaci abonamentu; na odpowiedzialnych za stoisko z owocami w sklepie ICA – tę cholerną zgniłą maź, nad którą unosi się chmura muszek; na imigrantów i Cyganów, na inteligentów – nadęte dupki, co chodzą, jakby kij połknęli.

Na Hjalmara. Kiedy Hjalmar skończył trzynaście lat, Isak przestał go bić. Wprawdzie od czasu do czasu zdarzało mu się jeszcze trzasnąć go w gębę albo palnąć w tył głowy, ale już rok później ustały nawet te przejawy agresji.

Gniew zaś nie ustał. Zmieniły się jedynie jego oznaki. Z wiekiem Isak osłabł. Nie potrafi unieść krzesła i huknąć nim o podłogę tak mocno, żeby połamać wszystkie szczebelki oparcia. Nosicielem gniewu staje się jego głos, coraz bardziej zrzędlawy i skrzeczący. Coraz bardziej ordynarne słownictwo. Starzec wygrzebuje słowa spod kupy gnoju. Tarza się w przekleństwach i obscenach jak kundel w ścierwie.

Teraz wylewa się to na Kerttu. Isak musi z siebie wyrzucić wszystko, co się w nim pieni.

– Mówisz, kurwa, że pojechała do doktora? – zaczyna rozmowę.

Hjalmar się hamuje i upija łyk piwa.

– Musi czasem pokazać komuś cycki – mówi dalej ojciec i wlewa w siebie kolejną porcję alkoholu.

Całe szczęście, rozważa w myślach, że są tacy, którym się płaci za oglądanie gołych starych bab, żeby nikt inny nie musiał patrzeć na obwisłe cyce, sflaczałe brzuchy, zasuszone cipy. Jak kobity, to tylko młode, no nie, Hjalle? Oż, kurwa, byłbym zapomniiał. Przecież Hjalle nie ma o tym pojęcia.

– Ty chyba nigdy nie miałeś żadnej kobity, co?

Hjalmar chciałby warknąć: „Przestań!”, ale jest na tyle rozsądny, że milczy.

Isak dostrzega ból syna. Widzi, jak takie gadanie go męczy. O matce i o prawiczku. I o tym, że nigdy nikogo nie miał. Isak oczywiście nie jest do końca pewien, ale potrafi to wywęszyć.

– Nawet po pijaku żadna ci dupy nie dała, co?

Robi mu się lżej, niewątpliwie. Kiedy Isak wyczuwa cierpienie syna, napięcie w nim opada.

Hjalmar spogląda na tłuste fałdy brzucha spływające mu na nogi.

– Ani słowa więcej o matce, jasne? – mówi i chluszcze wodą na kamienie.

Woda skwierczy i syczy.

Isak waha się przez moment, bo Hjalmar zazwyczaj nie protestuje. Nie może się jednak powstrzymać.

– Pewnie myślisz – bełkocze; gorzałka u sąsiada i piwo w saunie nie pozostają bez wpływu na jego mowę – pewnie myślisz, że jest święta?

Oparty o ścianę sauny, puszcza wiatry.

– Jaka tam, kurwa, święta! Gdybyś tylko wiedział... Jesienią czterdziestego trzeciego szwedzka grupa oporu ukrywała duńskich i norweskich partyzantów, fińskich dezertów. A Kerttu, skubana... ona to umiała ludziom rozwiązywać języki. Słodka, młoda, niegroźna, no wiesz. Kiedyś... kilku duńskich jeńców uciekło z przymusowych robót na transportowcu z rudą żelaza. Zwiali, jak parowiec zawinął do portu w Luleå. Było ich trzech. Kerttu poszła na tańce i nakłoniła jednego gościa, żeby jej wszystko wyśpiewał. Wszystko. Pierdolona ciota. Ukrywali się w chatce dla żniwiarzy. Dobrze się to dla nich nie skończyło.

Hjalmar czuje, jak rozpełza się w jego wnętrzu coś nieprzyjemnego. Cóż on opowiada?

Isak odwraca się do syna. Na twarzy ma coś w rodzaju uśmiechu. Wykrzywione,

pólotwarte usta. Przywodzi teraz na myśl gada, odrażającą istotę; coś, co można znaleźć, gdy odwróci się kamień. Pożółkłe starcze zęby wyzierają z paszczy. Wszystkie własne, choć niekompletne i raczej w kiepskim stanie.

– A gdzie się podzieli Simon i Wilma? – pyta ojciec.

Hjalmar wzrusza ramionami.

Isak nie wie. Nikt mu nie powiedział. Choć on się oczywiście domyśla i teraz pyta pod wpływem alkoholu. Ogarnia go wściekłość, bo nie jest już częścią wspólnoty. Został wykluczony. Zaszufadkowany jako starzec. Ten, którego należy chronić. Ten, na którym nie można polegać. Zataja się przed nim fakty. Nie pozwala się mu prowadzić samochodu. Gniew toczy go od środka niczym robak.

– Ona będzie się smażyć w piekle – mówi Isak. – Pewnie myślisz, że ja też. Ale ona wyląduje parę poziomów niżej. Zobaczysz.

Ton jego głosu się zmienia. Starzec zagłębia się w myślach.

– Zobaczysz, zobaczysz – powtarza kilka razy.

W końcu milknie. Wygląda, jakby żałował, że powiedział zbyt wiele.

– E! – mówi poirytowany. – Specjalnie gorąco to tu nie jest. Słabo napaliłeś. Chłód ciągle jeszcze nie wylazł ze ścian.

Ześlizguje się z ławki i znika w sąsiednim pomieszczeniu. Hjalmar słyszy pluskanie wody w balii. Po chwili zatrząskują się drzwi.

– A Hjörleifur Arnarson? – pyta Rebeka. – Jak to z nim było?

– To Tore – odpowiada Hjalmar. – Walnął go polanem. Nie mogliśmy ryzykować, bo może jednak coś widział. Przenieśliśmy go. Przewróciliśmy drabinkę kuchenną. Otworzyliśmy szafkę, włożyliśmy do niej plecak. To miało wyglądać na nieszczęśliwy wypadek.

Zamyka oczy i przypomina sobie, jak brat kazał mu trzymać zakrwawioną głowę Hjörleifura, żeby nie zostawiła śladów na podłodze, kiedy Tore ciągnął go za nogi.

Dzięki ci, Panie, myśli Rebeka. Możemy więc zamknąć Torego. Ślady krwi na jego kurtce i zeznania Hjalmara. To niepodważalne.

– Co pan teraz zamierza zrobić? Chyba nie myśli się pan zastrzelić?

– Nie.

Rebeka zaczyna mówić coraz szybciej.

– Bo jeżeli ma pan taki zamiar... to ja tego nie wytrzymam. Po tym jak Lars Gunnar Vinsa... Byłam tam, kiedy zastrzelił Nallego, a później siebie. Zamknął mnie w piwnicy.

– Wiem. Czytałem o tym. Ale ja nie mam takich planów.

Wpatrzony w kubek z kawą, potrząsa głową.

– Choć nie zaprzeczam, że miałem takie myśli.

Spogląda na Rebeke.

– Poradziła mi pani, żebym pojechał do lasu. Pojechałem. I zdarzyło się tam coś, czego nie potrafię wyjaśnić. Patrzył na mnie niedźwiedź. Podszedł bardzo blisko.

– Oj.

– To było coś większego niż ja. Nie chodzi mi o niedźwiedzia. Nagle po prostu wiedziałem, że muszę się przyznać. Że muszę to z siebie wyrzucić. Te wszystkie kłamstwa.

Rebeka przygląda mu się z powątpiewaniem.

– To dlaczego pan tu przyjechał?

– Pomyślałem, że tutaj poczekam.

– Na co?

– Nie wiem. Na to, co przyjdzie. Na wszystko, co musi się zdarzyć.

Tore Krekula zatrzymuje skuter przy samochodzie brata. Obok stoi jakieś inne auto. Dym unosi się tylko z komina chatki Hjalmara. Któż więc tam jeszcze jest? Tore wysłała do Urzędu Transportu SMS z numerem rejestracyjnym. Natychmiast dostaje odpowiedź. Rebeka Martinsson, Kurravaara. Prokuratorka. To nie ma znaczenia. Zlikwiduje ją. A później Hjalmara.

Śmierć brata musi wyglądać na samobójstwo. Zważywszy na to, jak Hjalmar się teraz miewa, może faktycznie sam sobie strzeli w łeb. Wystarczy tylko lekka perswazja. I jakoś się ułoży. Bo oczywiście to Hjalmar zabił Wilmę i Simona. A jeżeli chodzi o Hjörleifura, to... Hjalmar pożyczył od Torego kurtkę... Nie, to niemożliwe. Jest taki gruby, że za nic w świecie nie wcisnąłby się w jego ubranie. No, więc może tak: Tore stał obok, mieli tylko porozmawiać z Hjörleifurem. I nagle Hjalmar uderzył

go wielką szczapą, zupełnie bez ostrzeżenia. Krew trysnęła i pobrudziła kurtkę. No, teraz to się powinno trzymać kupy. Hjalmar zabija też prokuratorkę, a później odbiera sobie życie. Jeszcze nie wiadomo jak. Trzeba będzie trochę poimprowizować. Ale jakoś to będzie. Jakoś to się ułoży, na pewno.

Pierdolnięty braciszek! Czym on, kurwa, myśli? Przecież w tym otłuszczonym łbie nie ma za grosz rozumu. Jasne, ten to sobie może pozwolić na załamkę, jak go przycisną. Ale on, Tore? Ma rodzinę na głowie. Laurę. Synów, nawet jeśli są już dorośli. Ojca i matkę. W zasadzie odkąd skończył piętnaście lat, prowadzi firmę. Nigdy nie miał choćby tygodnia urlopu. Pracował w poczuciu obowiązku. Harował w poczuciu obowiązku. I po co? Po to, żeby teraz Hjalmar wszystkiego go pozbawił? Niedoczekanie!

Tintin pierwsza słyszy skuter. Podnosi głowę i strzyże uszami. Później szczeka Vera. Odgłos zbliżającego się pojazdu dociera do Rebeki i Hjalmara dopiero po chwili. Mężczyzna wstaje i wygląda przez okno.

– To mój brat – mówi. – Niedobrze.

Rebeka robi krok w przód, nie mając pojęcia, dokąd zmierza. Wyjść przez drzwi? I co dalej?

– Nie zdążysz – ostrzega Hjalmar. – On już tu jest.

Rebeka słyszy, jak gaśnie silnik.

Tore schodzi teraz ze skutera, myśli. Zaraz tu będzie.

Hjalmar odwraca się do Rebeki. Wydobywa z siebie słowa w zawrotnym tempie, jak nigdy wcześniej w życiu.

– Do toalety. Zamknij drzwi. Wskocz przez okno. Biegnij prosto do brzegu i przez rzekę. Trzymaj się śladów skutera. Łód przymarzył, powinien wytrzymać. To twoja jedyna szansa. Spróbuję go zatrzymać. Ale tylko rozmową. Nie mogę podnieść na niego ręki. Nie mogę podnieść ręki na brata.

Rebeka nieporadnie próbuje zamknąć drzwi od środka; musi najpierw podnieść klamkę, żeby w końcu wcisnąć hak w metalowe kółko. Już wie, że okno jest niewielkie, wysoko nad muszlą klozetową. Staje na sedesie i odpina haczyki. Pcha ramę obiema rękami. Otwarte! Wyrzuca na zewnątrz szampony i inne środki czystości

stojące w okiennej wnęce. Chwyta za parapet, podciąga się na rękach i przewiesza przez okno. Przecisnąwszy się przez otwór, z biodrami na parapecie, uświadamia sobie, że znajduje się o wiele wyżej, niż myślała. Teraz pozostaje wypaść tak zgrabnie, żeby nie złamać karku. O, gdyby okno było większe, mogłaby zeskoczyć na nogi.

To nie może się dobrze skończyć, myśli, spadając na głowę.

W tej samej chwili Tore jednym szarpnięciem otwiera drzwi chatki.

– Gdzie ona jest? – pyta Hjalmara.

Hjalmar milczy. Vera staje u jego boku i zaczyna szczekać. Tintin też się podnosi.

– Tam w środku? – Tore wskazuje głową toaletę.

W dwóch susach dopada do klamki, szarpie za nią.

– Wychodź! – krzyczy.

Wali w drzwi tak mocno, że grzechoczą, uderzając o framugę.

– Co ty jej, kurwa, powiedziałaś? – zwraca się do brata. – Gadaj!

– Prawdę.

Hjalmar ciągle siedzi na skraju sofy.

– Prawdę – przedrzeźnia go Tore. – Ty głupi, tłusty dupku!

Z wściekłością kopie w deski. Drzwi ustępują z niesłychaną łatwością. Uderzają dźwięcznie o umywalkę.

Tore zagląda do środka. Pusto. Ale okienko jest otwarte na oścież.

Rebeka wypada bezwładnie. Ląduje na plecach, jak żuczek. Śnieg – mokry i miękki – łagodzi upadek, ale potwornie utrudnia ruchy. Rebeka walczy zajadle, by stanąć na nogi.

W końcu jej się udaje. Głowa na górze, stopy na dole. Tylko że za każdym krokiem zapada się aż po uda. Rzeka, która przed chwilą leżała tuż-tuż, nagle wydaje się strasznie daleko. Rebeka porusza się z mozołem. Co chwila tonie w śniegu. Mięśnie drżą z wysiłku. Słońce grzeje. Pot spływa strugami. Żeby tylko dotarła do śladów skutera! Wtedy po oblodzonych koleinach przebiegnie przez rzekę.

Tore wygląda przez okno. Kieruje wzrok ku rzece. Rebeka Martinsson przedziera się przez śnieg. Wyrzebuje się na zlodowaciałe ślady skutera i rusza przez rzekę. Cóż ona sobie myśli? Że uda się jej uciec?

– Czy lód wytrzyma pod skuterem? – pyta Hjalmara.

– Nie.

Psy są niespokojne. Biegają wokoło. Skomlą.

Tore spogląda nieufnie na brata.

– Kłamiesz.

Wkłada rękawice. Wsiądzie na skuter, skosi babę i będzie po niej. W zasadzie już jest po niej.

Kiedy otwiera drzwi, Tintin wymyka się na dwór.

Rebeka biegnie przez rzekę wzdłuż śladów skutera. Biegnie taśmą błyszczącego lodu wśród sypkiej bieli. Jak cieleń renifera na drżących nogach. Wilk jest blisko. Mięśnie nóg omdlewają, zmęczone brodzeniem w śniegu. Coraz trudniej trzymać się koleiny. Serce kołacze w głowie. Nadludzki wysiłek sprawia, że w ustach wydziela się gorzki smak.

Z oddali dochodzi odgłos silnika. Rebeka się odwraca. Tore na skuterze.

Zabije ją. Pozbawi życia w śniegu, zmiążdży narządy. Z nosa i ust wypłynie krew. Biegnij, biegnij!

Tore zjeżdża zboczem ku brzegowi. Stoi na skuterze. Pod nim warczący motor. Za chwilę ją dogoni. To kwestia sekund.

Rebeka zatrzymuje się i odwraca.

Nie dam rady, myśli. Dzieli ich zaledwie dziesięć metrów. Zamyka oczy.

Myśli o babci. O tym, jak pachniała lekko oborą i dymem z papierosów. Wstawiała bladym świtem, rozpałała ogień w piecu. Robiła Rebecę śniadanie: kanapkę z serem i bawarkę z miodem. Sama piła kawę i paliła skręty. Myśli o swoim tacie. On, babcia i Rebeka siedzą na pięttrze i przebierają brusznice. Każdy ze swoją tacą. Pod każdą z nich złożona gazeta. Dźwięk twardych jagód toczących się po równi pochyłej. Wybierają gałązki, listki, łochynie. Obracają kuleczki brusznicy posuwistym ruchem

dłoni. Rebeka znajduje pająki i inne robaczki, którym trzeba pomóc, które trzeba uratować, wynieść na dwór.

Nagle słyszy odgłos zapadającego się skutera. Dźwięk lodu łamiącego się z potężnym hukiem. Osobliwe brzmienie silnika, który jeszcze przez chwilę pracuje w wodzie, by w końcu ucichnąć. Słyszy krzyk Torego.

Kiedy otwiera oczy, widzi tonące płozy. Jeszcze moment, a po kierowcy i pojeździe nie będzie ani śladu. Lód brzęczy i śpiewa, jak gdyby w wodzie pływały setki kieliszków. Ciemna dziura momentalnie zapełnia się śnieżną bryją i znika z pola widzenia. Lodowa tafla kołysze się niczym monstrualny hamak. Rebece zalewa fala strachu.

Czuje, jak lód ugina się pod jej stopami. Nie pęka, ale ciągle się obniża. Z przerażeniem uświadamia sobie, że stoi w dole, który dość szybko wypełnia się wodą. Woda sięga już kostek. Kolan.

Dostrzega pędzącą ku niej Tintin.

– Uciekaj stąd! – krzyczy Rebeka. – Uważaj! Nie podchodź!

Ale pies nie słucha. Jest coraz bliżej.

Hjalmar widzi przez okno, jak brat znika pod ośnieżonym lodem. Widzi, jak czarny pies przedziera się przez śnieg, jak wdrapuje się na lodowe wybrzuszenie i rusza pędem w kierunku Rebeki.

– Boże mój – szepcze i już wie, że to początek prawdziwej modlitwy.

Rebeka stoi jak przymarznięta do lodu. Krzyczy do psa, usiłując go zawrócić z rzeki. Cały czas zanurza się w wodzie. Jakby stała wewnątrz wielkiej misy.

W końcu lód się załamuje. Hjalmar widzi jeszcze, jak Rebeka macha rękami. Sekundę później już jej nie ma.

Krąże nad rzeką. Razem z trzema krukami. Nieustannie, w koło. Widzę Hjalmara Krekulę, jak wychodzi z domku. Zamyka za sobą drzwi, porządnie, żeby Vera nie uciekła. A później biegnie. Szybko mu to nie idzie. Biegnie świeżym śladem skutera, miękkim i grząskim. Tuż nad brzegiem zapada się po pas w śniegu.

Grzęźnie na dobre. Nie może się wydostać. Walczy, ale na próżno. Jakby był zalany betonem.

– Pani Rebeko! – krzyczy. – Pani Rebeko! Utknąłem w śniegu!

Kraczemy, kruki i ja. Siadamy na drzewach. Przecinamy powietrze głośnym, chrapliwym skrzekiem, zwiastującym nieszczęście.

Lód się zapada. Woda przybiera. Rebeka moknie.

Stoi po kolana w wodzie. Słyszysz, jak pęka skorupa lodowa starych kolein. Po chwili wpada do rzeki.

Zasypują ją masy śniegu i skruszonego lodu. Rebeka szuka po omacku jakiegoś punktu oparcia. Słyszysz wołanie Hjalmara. Słyszysz, że ugrzązł przy brzegu.

Lód jest gruby, z pewnością półmetrowy, ale kruchy i łamliwy. Rebeka pływa w lodowo-śnieżnej zupie. Gdy tylko próbuje chwycić się krawędzi, odrywa kolejną bryłę, która rozsypując się, spada na nią z łoskotem.

Tintin podbiega do przerębli.

Hjalmar nie widzi Rebeki; zręby lodu są wysokie. Nie traci jednak z oczu wilczura.

– Pies! – krzyczy. – Pies jest w drodze do ciebie!

Wtedy Tintin wpada do rzeki. Załamuje się pod nią skraj przerębli.

Hjalmar słyszy kobiecy krzyk. I przekleństwo.

– Cholera jasna!

Suka wyje jak opętana. Przerazona widmem śmierci. Po chwili milknie, próbując przeżyć. Pływa nerwowo, ogarnięta paniką; drapie pazurami w lód, który rozpada się na coraz drobniejsze kawałki.

Rebeka jedną ręką szuka oparcia o kant lodu, a drugą łapie psa za sierść.

Czuje, jak wartki nurt rzeki wciąga jej nogi pod lód. Nie potrafi mu się oprzeć, jest zbyt rwący. Chłód pozbawia ją sił.

Mobilizuje się. Przebierając intensywnie nogami, uczepiona sierści Tintin, drugą ręką podtrzymuje jej zad.

W końcu suce udaje się wdrapać na lód. I lód trzyma.

– Zawołaj ją – krzyczy Rebeka do Hjalmara. – Zawołaj Tintin!

Hjalmar nie zwleka.

– Do nogi! Do nogi, kochana! Zuch dziewczyna! – krzyczy.

Tintin biegnie do niego. Zatacza się z wycieńczenia. Pada u jego boku.

– Masz ją? – pyta Rebeka.

Jej nogi wpływają pod lód. Jakby ktoś nieustannie ciągnął ją za stopy.

– Masz ją?! – woła.

Hjalmar odpowiada z płaczem w głosie:

– Tak, mam! Leży przy mnie.

– Nie wypuszczaj jej!

– Trzymam za obrozę. Nie wypuszczę.

Rebeka nie może dłużej krzyczeć. Musi. Musi spróbować. Musi spróbować przeżyć.

Na próżno wymachuje rękami. Kiedy prąd rzeki wciska jej biodra w krawędź lodu, ona sama niemal leży na plecach. Za chwilę znajdzie się pod taflą. Śnieg zasypuje jej twarz. Odgarniając go, Rebeka uświadamia sobie, jak potwornie jej zimno.

Nie potrafi stawić czoła rzece. Pod krawędzią lodu znajdują się już jej barki. Nurt rzeki wciąga ją nieubłaganie pod powierzchnię.

Wtedy dociera do jej uszu śpiew Hjalmara.

Hjalmar łapie Tintin za obrozę. Trzyma ją w żelaznym uścisku. Czuje, jak zwierzę trzęsie się z zimna.

Jeszcze raz próbuje wydostać się ze śniegu i jeszcze raz bez powodzenia.

Rebeka pyta, czy ma Tintin. Odkrzykuje, że ma.

Uderza go nagła myśl, że jedyne, co teraz ma, to właśnie ten pies. Że pies w każdym razie żyje. Że będzie żył. Tintin skomle. Jakby płakała. Kładzie się w śniegu i kwili.

Wtedy on też zaczyna płakać. Płacze nad Wilmą. Nad Rebeką. Płacze nad Torem i Hjörleifurem. Nad sobą samym. Nad tą górą tłuszczu, unieruchomioną w śniegu jak w imadle.

A potem zaczyna śpiewać.

Pieśń przychodzi do niego zupełnie niespodziewanie. Hjalmar intonuje ją głosem początkowo bolesnym i chropawym, lecz już po chwili coraz silniejszym.

*Tyś jest źródłem hojnej łaski,
Jezu Chryste, Panie mój.
Miłość w sercu Twoim mieszka,
Dobroć wielka to znak Twój.*

Wiele lat minęło, odkąd ostatnio słyszał ten hymn, a przecież pamięta każde słowo.

*Tyś otworzył z perły bramę
I do środka wejść mi dasz.
Tyś krew własną za mnie przelał
I staranie o mnie masz.*

Przedwiosenne słońce rozlewa się po ośnieżonym lodzie. Oprócz Rebeki w przerębli i Hjalmara w śniegu nie ma w pobliżu ani jednego człowieka. Cienie ścielą się niebiesko w koleinach po skuterze. Zalegają w śladach pozostawionych przez tonących ludzi i zwierzęta.

Rebeka leży w wodzie, niemal cała pod lodem. Ponad krawędzią przerębli widzi czubki drzew na skraju lasu po drugiej stronie rzeki. Nie zdołała tam dotrzeć. Świerki mają czarne pnie i wierzchołki pełne szyszek. Brzozy są wątłe i wiotkie. W południowej Szwecji kwitną już delikatne magnolie i wiśnie – cudownie odziane parkowe panienki. Tutejsze brzozy są smukłe, to prawda, ale jakże im daleko do dziewczęcej elegancji! Sękaty, rozczochrane i pochylone niczym fińskie staruszki, stoją na skraju lasu i wyglądają wiosny.

To przecież tak niedaleko, myśli ociężale, wpatrzona w drzewa. Mogłam dobiec. Nie powinnam była stawać. Głupio, że się zatrzymałam.

Hjalmar śpiewa, jakby stracił zmysły. Ale głos ma niczego sobie.

*Cuda, cuda nad cudami
W łasce niezgłębionyś Ty
Panie, wszystko mi wybaczył
Z serca wdzięcznie śpiewam Ci*

Kiedy uderza w refren, można odnieść wrażenie, że kruki mu wtórują. Skrzeczą

i kraczą w koronach drzew.

Potem Rebeke ogarnia panika. Czuje, jak woda zalewa jej usta, nos, twarz.

Sekundę później jest już cała pod lodem. Nierównym i szorstkim od spodu. Przesuwa się bezwolnie z nurtem czarnej rzeki. Obraca się, uderza głową w coś twardego. Lód, a może kamień? Nie ma pojęcia. Wszystko czernieje. Bum, bum!

Anna Maria Mella, Sven Erik Stålnacke, Tommy Rantakyrö i Fred Olsson wysiadają z forda policjantki. Zaparkowała obok samochodów Hjalmara i Rebeki.

– Mam złe przecucie – odzywa się Sven Erik, patrząc na stróżkę dymu wijącą się z komina domku pod lasem.

– Ja też – mówi Anna Maria z powagą.

Ma ze sobą broń. Podobnie jak jej koledzy.

Przejmujący krzyk rozdziera nagle powietrze. Brzmi potwornie w leśnej ciszy. Nie kończący się. Nieludzki.

Policjanci spoglądają po sobie. Nikt z nich nie jest w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Wtem jakiś męski głos woła:

– Cicho! Przestań wrzeszczeć!

Więcej nie słyszą, ponieważ w tej samej chwili puszczają się biegiem wzdłuż starych śladów skutera. Tommy, najmłodszy, biegnie jako pierwszy.

Rebeka sunie pod lodem. Bez powietrza. Na próżno skrobie paznokciami.

Czuje, jak lodowata woda rozsadza jej głowę. Za chwilę rozerwie jej płuca.

Wtem uderza o coś kolanami i plecami, jednocześnie. Utknęła. Utknęła na czworakach. Prąd rzeki zniósł ją na brzeg. Rebeka klęczy na zmrożonych kamieniach, opiera się o nie dłońmi, a nad plecami ma tafłę lodu.

Podciąga nogi do góry; przesunięte stopy są na linii pępka. Z całej siły napiera teraz na lód.

I lód puszcza z trzaskiem. Cienki i kruchy przy samym brzegu. Rebeka wynurza się z niego gwałtownie. Płuca chłoną powietrze. A potem nadchodzi krzyk. Straszliwy, wstrząsający.

Hjalmar przestaje śpiewać w pół słowa. Patrzy przerażony na Rebeke, która niespodzianie wystrzeliła spod lodu jak roślina na wiosnę. I która krzyczy, aż głos jej się łamie.

– Cicho! – nakazuje. – Przestań wrzeszczeć! Chodź tutaj i weź psa.

Tintin leży u jego boku jak nieżywa.

Wtedy Rebeka zaczyna płakać. Szlochając głośno, brodzi po cienkim lodzie, wychodzi na brzeg. Hjalmar zaś wybucha śmiechem. Śmieje się do rozpuku, na całe gardło, do bólu brzucha. Nie śmiał się od lat; no, może kiedyś, gdy pokazali coś zabawnego w telewizji. Teraz aż brakuje mu tchu.

Rebeka idzie do chatki po łopatę. Po drodze wymiotuje dwa razy.

Kiedy Anna Maria Mella i jej koledzy docierają do chatki, dostrzegają Rebeke i Hjalmara nad brzegiem rzeki. Mężczyzna ugrzązł w śniegu, widać tylko jego tułów i głowę. Rebeka usiłuje go odkopać. Jej ubranie jest kompletnie przemoknięte, włosy też. Płaszcz leży na ziemi. Z rany na głowie sączy się krew. Krwawią jej ręce, ale Rebeka jakby tego nie widziała. Kopie w szalonym zapamiętaniu. Hjalmar znów śpiewa.

Wielka moc jest w świętej krwi, krwi.

Bóg przebaczył grzechy mi.

Alleluja!

Śnieg fruwa na wszystkie strony.

Policjanci zbliżają się do nich ostrożnie. Tommy i Fred chowają broń.

– Co tu się stało? – pyta Anna Maria.

Ani Hjalmar, ani Rebeka nie odpowiadają.

Mężczyzna trzyma Tintin za obrozę i nie przestaje śpiewać. Leżąca w śniegu suka również ocieka wodą. Na widok policjantów podnosi łeb i niezdarnie macha ogonem.

– Rebeko – próbuje ponownie Anna Maria. – Rebeko!

Zniecierpliwiona brakiem odpowiedzi, podchodzi w końcu do Martinsson i chwytą za łopatę.

– Musisz wejść do domu... – zaczyna, ale nie zdąży powiedzieć nic więcej.

Rebeka nie pozwala sobie bowiem odebrać narzędzia, uderza nim policjantkę w głowę, a po chwili sama traci równowagę i upada na plecy.

Rebeka Martinsson siedzi w domku letniskowym Hjalmara Krekuli. Ktoś ściągnął z niej ubranie i owinął ją kocem. Zarzucił jej na ramiona kurtkę policyjną. W kominku buzuje ogień. Kobieta dygoce z zimna. Wręcz podskakuje na krześle. Szczeka zębami. Bola ją ręce i dłonie, uda i pośladki. W głowie miele nieustannie jakiś młyn.

Na stole przed nią stoi kubek ciepłej wody.

Obok siedzi Sven Erik Stålnacke. Od czasu do czasu delikatnie przykłada ręcznik do jej poharatanych dłoni, do krwawiącej głowy i twarzy.

– Napij się – zachęca.

Rebeka chce, lecz nie ma odwagi. Czuje, że zaraz zwymiotuje.

– Tintin? – pyta szeptem.

– Krister był tutaj i wziął ją ze sobą.

– W porządku?

– Nic jej nie będzie, zobaczysz. Pij.

Anna Maria wchodzi do środka. W jednej ręce trzyma telefon komórkowy. Drugą przyciska do czoła śniegową kulę.

– Jak tam? – pyta.

– Świetnie – mówi Sven Erik. – Powolutku.

– Mam na linii Månsa – zwraca się do Rebeki. – Możesz rozmawiać? Chcesz?

Rebeka potakuje i wyciąga rękę po telefon, ale ten wypada jej z dłoni. Policjantka podnosi go trzymając przy uchu Rebeki.

– Słucham – chrypi kobieta.

– Próbujesz tylko zwrócić na siebie uwagę – mówi Måns.

– Jasne – odpowiada ze śmiechem, który przechodzi w kaszel. – Jestem zdolna do wszystkiego.

– Teraz poważnie. Mówią, że wpadłaś do przerębli. Że wciągnęło cię pod lód i że się spod niego wydostałaś.

– Tak – mówi chropawym głosem, zmęczonym nieludzkim krzykiem.

I zaraz dodaje:

– Myślę, że wyglądam potwornie.

Po drugiej stronie zalega cisza. Rebeka ma wrażenie, że słyszy, jak Måns płacze.

– Przyjedź tutaj – prosi. – Przyjedź, kochanie, obejmij mnie.

– Przyjadę – Måns odzywa się zdławionym głosem. Odchrząkuje. – Siedzę w taksówce, w drodze na lotnisko.

Rebeka kończy rozmowę.

– Zbieramy się – mówi Anna Maria do Svena Erika. – Trzeba nagrać zeznania Hjalmara Krekuli.

– Gdzie on jest? – pyta Rebeka.

– Siedzi na ganku. Daliśmy mu trochę odpocząć.

– Poczekaj.

Rebeka zsuwa się na podłogę, porusza się na czworakach. Obolała. Szybko jej to nie idzie. Odciąga gałgankowy dywanik. Podnosi kawałek linoleum i obłuzowaną deskę. Wyciąga owinięte w ceratę książki do matematyki i świadectwo maturalne.

– Co to jest? – pyta Anna Maria.

Rebeka nie odpowiada. Rusza ciężkim krokiem do drzwi.

– Co to jest? – policjantka ponawia pytanie, coraz bardziej zirytowana, ale milknie, widząc spojrzenie Svena Erika.

„Pozwól jej”, mówią jego oczy.

Rebeka wychodzi z mozołem na ganek. Mija policjantów stojących obok Hjalmara i kładzie mu na kolanach znajomą paczkę.

– Dziękuję – odpowiada Krekula, uświadamiając sobie, że nie używał tego słowa od wielu, wielu lat. – Dziękuję – powtarza. – To miło z pani strony, naprawdę.

Poklepuje dłonią zawiniątko.

Rebeka zawraca. Tommy ujmuje ją delikatnie pod rękę i prowadzi do środka.

ANNI ZASNEŁA na reprezentacyjnej sofie w pokoju dziennym. Sofa jest pękata, ze

skórzanym obiciem, niespecjalnie piękna. Stanowczo zbyt wielka jak na to pomieszczenie. Przez oparcie przewieszono są białe, szydełkowe serwetki; prawdopodobnie chronią mebel przed zabrudzeniem, gdyby ktoś z siedzących miał nieświeże włosy albo nałożył na nie zbyt dużo pomady.

Przyglądam się jej, siedząc w fotelu. Nie bywałyśmy tutaj, czuję się więc trochę obco. Zazwyczaj siedziałyśmy i rozmawiałyśmy w kuchni. Kiedy żyłam, telewizor stał w małym przedpokoju na piętrze. Z pokoju dziennego przez wszystkie lata korzystano tylko przy wyjątkowych okazjach, takich jak pogrzeby czy chrzciny. Kiedy przychodził z wizytą pastor, podawano tu kawę w odświętnych, porcelanowych filiżankach.

Jest wieczór. Słońce wisi znacznie niżej. Do pokoju wlewa się ciepłe i lekko ospałe światło.

Kiedy umarłam, Anni poprosiła Hjalmara, żeby zniósł telewizor do pokoju dziennego. Teraz często tutaj odpoczywa. Przypuszczam, że nie ma siły na wspinaczkę po schodach. Przykryła nogi wełnianym pledem, który wcześniej służył jedynie za dekorację, elegancko złożony i przewieszony przez podłokietnik. Tak naprawdę Anni ciągle trudno się przemóc, żeby go używać, dlatego też nie rozkłada go całkiem. Podwójnie złożony, leży tylko na nogach. Gdybym mogła, rozpostarłabym go i dokładnie ją nim otuliła. Anni, głuptasku, po co teraz to wszystko oszczędzać?

Rozglądam się dokoła. Wszystko tu takie wymuskane, choć niespecjalnie w jej stylu. Zbieranina najładniejszych rzeczy. Zabejcowany na ciemno regał z książkami. Nie ma ich zbyt wiele, stoją w równych rzędach. Tanie bibeloty, jak ten szklany łąbędź wypełniony czerwoną cieczą, która ma się podnosić w szyi ptaka, gdy nadchodzi wyż baryczny. Albo ręcznie malowany talerzyk z Teneryfy, zapewne prezent od kogoś, bo Anni nigdy tam nie była. Profesjonalne portrety krewnych w odkurzonych ramkach. Jest tu też moje zdjęcie, kiedy byłam dzieckiem. Nie wyglądam zbyt mądrze: świeżo umyte i naelektryzowane włosy, przylizane do czoła. Pamiętam tę sukienkę i jej uwierające szwy. Nieustannie opadające rajstopy. Jak im się udało ubrać mnie w ten zestaw? Musieli mnie chyba najpierw czymś odurzyć.

Anni jest taka niepozorna pod tym swoim sweterkiem i dwoma kardiganami. Zostały tylko skóra i kości. Ale oddycha. Drgają jej powieki. Lekkie dreszcze

wstrząsają kończynami, jak u śpiącego psa. Siny policzek przypomina o bójce z Kerttu.

Siedzę w eleganckim fotelu i usiłuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jej powiedziałam, jak dużo dla mnie znaczy. Chcę jej podziękować za bezwarunkową miłość. Za to, że nigdy się nie narzucała. Pozwalała mi przychodzić i odchodzić jak kocicy, ale zawsze była w domu, gotowa podgrzać zupę albo zrobić parę kanapek, kiedy byłam głodna. Mama twierdziła, że babcia mnie rozpieszcza. To prawda. Rozpieszczała mnie. I chcę jej za to podziękować. Mama była tak diametralnie inna z tymi swoimi emocjami. Dramat, płacz, krzyk i przekleństwa w jednej chwili, w drugiej zaś – błyszczące oczy, głód uczuć i wyrzuty sumienia. „Wybacz mi, kochanie, skarbie ty mój, jesteś największym szczęściem, jakie mnie w życiu spotkało, możesz mi wyba-ba-czyć?” W końcu zamieniłam się w lodowatą nastolatkę. „Podaj mi torebkę do rzygania”, mówiłam tylko, gdy mama po raz kolejny zamieniała się w rozmiękczone, rozmazane i mokre stworzenie, trawione czkawką. Anni powiedziała: „Pewnie, że może tu mieszkać. Jeśli potrzebuje trochę odpocząć od miasta... Może przecież zacząć od tego, że nadrobi matematykę”. Mama myślała, że na wsi oszaleję. „Ja oszalałam”, dodała. Myliła się jednak.

Siedzę w fotelu Anni i uświadamiam sobie, że ją kochałam. Nigdy ode mnie tego nie usłyszała, może dlatego, że jestem uczulona na to słowo; mama szafowała nim beztrudno, ale ona cała jest jak pisklę, które nigdy nie zamyka dzioba. Mimo wszystko powinnam jej była to powiedzieć. Masować stopy, kiedy siedziała na ławie z podniesionymi nogami, próbując je ugniatać. Szczotkować jej włosy. Pomagać wchodzić wieczorami po schodach. Wtedy tego nie rozumiałam. Leżałam na łóżku i słuchałam muzyki.

Teraz muszę jej się przyjrzeć trochę dokładniej. W pokoju panuje półmrok i nie widzę, czy podnosi się jej klatka piersiowa. Czy na pewno słychać oddech?

„Tutaj siedzisz?”, słyszę jakiś głos od strony kuchni i kiedy się odwracam, widzę ją w drzwiach.

Wygląda tak, jak zwykła wyglądać, choć zupełnie inaczej niż Anni leżąca na sofie.

„Nie. – Uśmiecha się, widząc nieme pytanie na mej twarzy. – Teraz tylko śpię. Przeżyję jeszcze szesnaście lat. Ale na ciebie to już chyba pora, prawda?”

„Tak”, odpowiadam bez udziału własnej woli. I naraz stoimy nad brzegiem jeziora.

Lato. Druga strona wcale nie przypomina drugiej strony jeziora Piilijärvi, ale łódka jest ta sama. Stara drewniana łódź Anni, zbudowana przez jej kuzyna wieki temu. Pachnie dziegciem, pluska o nią woda. Słońce mieni się w zmarszczonej tafli jak tysiące błyspek. Komary wyśpiewują monotennie swoje letnie psalmy. Anni odczepia cumę i trzyma ją w ręku, podczas gdy ja wskakuję do środka i wkładam wiosła w dulki. W końcu – odepchnąwszy łódź – też do niej wchodzi.

Wiosłuję. A kiedy tak wiosłuję, widzę Hjalmara.

Stoi w więziennej kaplicy i śpiewa. Razem z siedmioma innymi osadzonymi. Pastor więzienny to łysawy czterdziestolatek. Dość dobrze gra na gitarze i akompaniuje mężczyznom, którzy śpiewają *Wiarę dziecka*, aż echo się rozchodzi. Cieszy się z Hjalmara. Hjalmar jest ogromny i budzi respekt, a ponieważ niektórym więźniom zależy, by żyć z nim w bliskiej komitywie, przychodzą teraz na środowe modlitwy. Pastor może się wykazać dobrymi wynikami działalności i wszyscy są zadowoleni. Bo czy to nie wspaniałe, gdy mężczyźni z kryminalną przeszłością dostają przepustkę, by wziąć udział w niedzielnym nabożeństwie w Kościele zielonoświątkowym? Składają świadectwa o Jezusie w ich życiu. Opowiadają przed zgromadzeniem o swoich nędznych losach, zanim narodzili się na nowo.

Najbardziej zadowolony jest Hjalmar. W celi ma nowe podręczniki do matematyki.

Jego pulchne policzki różowieją. Lubi śpiewać. Z piersi wyrywa mu się radosne:

*Wiaro dziecka, wiaro dziecka małego,
złotym mostem tyś do Królestwa Niebieskiego.*

Czasami mówi żartem, że nigdy nie będzie się ubiegał o prawo łaski.

Wiosłuję. Nad wierzchołkami sosen unoszą się dwa kruki. Krążą nad nami. W koło, w koło. Spoglądam w górę. Patrzą na ich czarne, długie, rozcapierzone lotki, na klinowate ogony. Świszczący dźwięk skrzydeł nad naszymi głowami przybiera na sile i już po chwili ptaki przysiadają na relingu. W tak naturalny sposób, jakby wcześniej zarezerwowały miejsca. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle wyczarowały dwie czarne walizeczki. Ich pióra mieniają się w słońcu jak tęcza; masywne czarne dzioby są odrobinę zakrzywione i ozdobione wąsikami. Z podgardli zwisają długie, nastroszone brody. Jeden z ptaków chwytą gza, który zabłąkał się nad jezioro. A później zaczyna

rozmowę z drugim, odmieniając „r” na różne sposoby. Czasami słyhać tylko: „kruk, kruk, kruk”. Nagle ten drugi zaczyna klapać jak kogut, a pierwszy wybucha śmiechem. Nie wiem, co sądzić o tych ptakach.

Wiosłuję. Zanurzam głęboko pióra wiosel i nie szczędzę sił. Z lubością czuję znów swoje ciało. Pot spływający po plecach. W dłoniach drążki, wygładzone latami użytkowania. Doznania w mięśniach grzbietu i ramion, powtarzające się z każdym ruchem wiosel: natężenie, wysiłek, zmęczenie, wytchnienie.

„Teraz dasz sobie radę sama – mówi Anni i wstaje. – Muszę wracać. One jeszcze kawałek z tobą pojedą”, dodaje, spoglądając na ptaki, które kłapią i chrypią coś w odpowiedzi.

Hokus-pokus i Anni nie ma. Kruki nie spuszczaą ze mnie czarnych, paciorkowatych oczu. Nie pozostaje mi nic innego, jak płynąć dalej.

Słońce grzeje. Kruki milczą z otwartymi dziobami. Czuję w sobie szczęście. Wzbiera we mnie jak oskoła w brzozie.

Naraz ptaki podrywają się z krzykiem. Wznoszą się kilkoma silnymi ruchami skrzydeł, lecą w kierunku, z którego przybyliśmy. Znikają w przestworzach.

Wiosłuję. Jestem silna i niezwyciężona jak rzeka. Wiosłuję. Zapieram się stopami, przeciągam wiosła przez wodę długim ruchem i kolejnym, i następnym.

Dopływam, myślę szczęśliwa. Nareszcie dopływam.

NIEDZIELA, 3 MAJA

KONIEC WEEKENDU. Miękkie światło wieczornego słońca zalewa kuchnię w Kurravaarze.

Måns patrzy na Rebeke. Tęskni za nią szalenie, choć ona siedzi zaledwie półtora metra dalej. Ciemne, proste włosy. Stalowo obramowane tęczęwki. Trzymał ją w objęciach. Kochał się z nią. Delikatnie, cała jest bowiem w siniakach. Ciągłe męczą ją nudności i zawroty głowy po wstrząśnieniu mózgu.

Patrzy na bliznę nad jej wargą. Podoba mu się. Blizna podoba mu się szczególnie. Tak jak szczególnie podoba się to, co brzydkie. Wypełnia go czułość, podobna do tej, którą czuł, kiedy po raz pierwszy trzymał swoją córkę.

– Jak się masz? – pyta, nalewając wina do jej kieliszka.

Rebeka czyta etykietkę. Zbyt ekskluzywne. Pieniądze wydane lekką ręką z jej powodu.

– Dobrze – odpowiada.

Nie czuje nic. Nic nie przychodzi jej do głowy. Jak to jest: leżeć w przerębli? Zostać wciągniętą pod lód? Okropnie, to oczywiste. Ale było, minęło. Rebeka wyczuwa obawę Månsa. Że znów jej się pogorszy. Jego głos jest beztroski, zbyt beztroski.

Między nimi jest coś niewypowiedzianego. Rebeka tak bardzo tęskniła za tym, żeby przyjechał i ją przytulił, ale teraz, kiedy ma go na wyciągnięcie ręki, chowa się za swoim zmęczeniem i siniakami.

Nie może przestać myśleć o jednym. Kiedy zobaczyła Torego na skuterze i była przekonana, że to już koniec, kiedy tonęła pod lodem, ani razu nie pomyślała o Månsie. Myślała o babci i tacie. Ale nie o Månsie. O nim przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy Anna Maria podała jej telefon.

Słysząc samochód wjeżdżający na podwórze. Rebeka podchodzi do okna. Krister

Eriksson. Wysiada z auta i osobliwie pochylony do przodu, podbiega do drzwi wejściowych. Rebeka stuka w szybę, wskazuje na niego i do góry, zaprasza dłonią: wchodzi śmiało.

Po kilkunastu sekundach policjant stoi w drzwiach kuchni na piętrze. Måns podnosi się z krzesła.

– Przepraszam – mówi Krister. – Nie wiedziałem, że... Powinienem był zadzwonić...

– Nie, nie – zapewnia Rebeka.

Przedstawia sobie mężczyzn. Måns wyciąga rękę.

– Chwileczkę – usprawiedliwia się Krister. – Muszę tylko...

Otwiera zamek kurtki.

Za pazuchą ma pieska. Małego, o spłaszczonym pyszczku. Zwierzątko węszy i rusza łapkami we śnie.

– Jeśli go potrzy masz, to będziemy mogli się przywitać – mówi, podając Rebecce szczeniaka.

Śmieje się z jej zachwyconej miny.

Szczeniak się budzi. Ciągle jeszcze ślepy. Jest taki mały, że mieści się w jej dłoniach.

– O Boże! – wzdycha Rebeka.

Jest taki miękki, ciepły i bezradny. Pachnie szczenięciem.

Nadbiega Vera i ociera się o nogi pani.

– Powąchasz następnym razem – tłumaczy jej Rebeka. – To młode Tintin, prawda? – pyta, zerkając na witających się mężczyzn.

Måns prostuje się trochę, wciąga brzuch. Patrzy z ciekawością na twarz Kristera, ale uważa, żeby się nie zagapić.

– Tak – odpowiada policjant. – Urodziły się odrobinę wcześniej, ale wszystko dobrze poszło. Jest twój, jeśli chcesz.

– Chyba nie mówisz tego poważnie. Szczeniak Tintin musi być wart...

– Słyszałem, co zrobiłaś – przerywa jej i zagląda prosto w oczy.

Chrzani jej mężczyznę. Mogą tu być wszyscy faceci całego świata. On chce patrzeć

jej prosto w oczy i patrzy jej prosto w oczy.

Rebeka odwzajemnia spojrzenie.

– Absolutnie nie możesz mieć psa – zwraca się do niej Måns. – Sama przecież powiedziałaś, że nie wiesz, co zrobić z Verą, bo tak dużo pracujesz. A kiedy przeprowadzisz się do mnie do Sztokholmu... W centrum miasta nie powinno się trzymać psów.

Figlarnie, ale stanowczo chwyta ją za kark. To gest skierowany do Kristera: ona jest moja.

Potem pyta go, czy nie napije się lampki wina. Krister odpowiada, że przecież przyjechał samochodem. Rebeka znów spogląda na szczeniaka.

– A jak to się skończyło dla Kerttu Krekuli? – pyta Krister.

– Przesłuchania nic nie dały – mruczy Rebeka z ustami i nosem przy zwierzęciu. – Twierdzi, że razem z Torem próbowała przeszkodzić Hjalmarowi. Wypuściliśmy ją. Nie ma innych dowodów niż zeznanie Hjalmara, a to nie wystarczy do oskarżenia.

Krister zamyka oczy. Wyobraża sobie Kerttu wykluczoną przez mieszkańców wsi. Zdaną jedynie na towarzystwo Isaka.

– Miała szansę – mówi. – Ale skazała się na cięższą karę niż ta, którą mógł jej wymierzyć sąd.

– Muszę wracać – dodaje. – Pożyczyłem go od Tintin tylko na chwilę, a ona czeka w domu z pozostałą trójką.

Jeszcze przez moment jego oczy mogą spoczywać na Rebecce.

– Nie musisz się decydować już teraz. W każdym razie przemyśl to. Wyrośnie z niego wspaniały pies.

– Myślisz, że tego nie rozumiem? Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Dziękuję? – podpowiada Krister, uśmiechając się.

– Dziękuję – mówi Rebeka i jej twarz też rozjaśnia uśmiech.

Oddaje mu szczeniaka. Muskają się rękami, gdy Krister go odbiera. Måns chrząka, zniecierpliwiony.

Krister Eriksson schodzi ostrożnie po schodach. Trzyma się poręczy, nie chce się potknąć z maleństwem za pazuchą.

Wsiada do samochodu. Kładzie otulonego kurtką szczeniaka na miejscu pasażera.

Przekręca kluczyk w stacyjce. Zaciska usta. Spogląda na szczeniaka, który znów zasnął. Myśli o dłoni Månsa na karku Rebeki. Wyobraża sobie, jak teraz się całują tam na górze. Jak Måns mówi: „Ten policjant to chyba jest w tobie lekko zadurzony, co?”.

W domu oddaje malucha Tintin, a ta dokładnie go wylizuje.

Krister głaszcze ją po głowie. Suka leży na boku, młode ssą zapamiętałe. Przez opuszczone żaluzje nie dociera do pokoju jasność wiosennego wieczoru.

– A co ja sobie wyobrażałem? – rozbrzmiewa w mroku pytanie. – Że rzuci mi się na szyję?

Myśli o tym, jak Rebeka leżała w przerębli i uratowała jego psa. Jak sama zniknęła pod lodem. Próbuje sobie wytłumaczyć, że w miłości chodzi o to, żeby dawać, a nie o to, żeby brać. Powinno mu wystarczyć, że jest dawcą. Ale słabo mu to idzie. Chce ją mieć. Chce ją mieć tylko dla siebie.

– Myślę, że ją kocham – mówi do Tintin. – Jak to się, kurde, stało?

PODZIĘKOWANIA AUTORKI

WE WSZYSTKICH moich książkach zmarli ukazują się żywym. O, jakże chciałabym, żeby to życie nie było jedynym, jakie nam dano; mimo że już jedno jest czymś wystarczająco wielkim.

W tej opowieści pojawia się sporo faktów historycznych. Armia niemiecka istotnie miała w czasie drugiej wojny światowej duże magazyny w Luleå. Szwedzkie koleje nie tylko przewoziły niemieckich żołnierzy jadących na przepustki i wracających z przepustek. Szwedzkie firmy przewozowe wynajmowały Niemcom samochody i kierowców, umożliwiając armii niemieckiej transporty na front wschodni. Walther Zindel istniał naprawdę. Wiele niemieckich statków rzeczywiście nigdy nie zostało odnotowanych w kronikach portowych w Luleå.

Ale wykreowany w powieści świat jest przede wszystkim wytworem mojej fantazji. Pisząc, jak zwykle pożyczam pewne zdarzenia, osoby, miejsca, to, co przeżyłam sama, i to, co zasłyszałam. A później mieszam wszystko z wydarzeniami całkowicie fikcyjnymi. Kiedyś faktycznie dwóch chłopców zgubiło się w lasach pod Piilijärvi i jeden z nich wrócił do domu dopiero po siedmiu dniach. Ale nie byli braćmi. I wcale się nie pokłócili. Młodszy nie miał siły iść dalej, więc starszy ruszył po pomoc. Usłyszałam o tym zdarzeniu i w głowie od razu zaczęłam snuć opowieść.

Czytałam oczywiście o wojnach. Między innymi następujące pozycje: *Slaget om Nordkalotten* (Operacja petsamsko-kirkeneska) Larsa Gyllenhaala i Jamesa F. Gebhardta, *Spelaren Christian Günther* (Gracz Christian Günther) Henrika Arnstada, *Svenskarna som stred för Hitler* (Szwedzi, którzy walczyli po stronie Hitlera) oraz *Där järnkorsen växer* (Tam gdzie rosną krzyże żelazne) Bossego Schöna.

Wiele osób mi pomogło i niektóre chciałabym tutaj wymienić. Są to: ordynator Lennart Edström, dzięki któremu zrozumiałam, co dzieje się w duszach ludzi, przekraczających pewne granice. Ordynator Jan Linberg, który służył mi pomocą przy

opisach obrażeń ciał moich zmarłych bohaterów. Docent Marie Allen, która potrafi opowiadać o materiale genetycznym w wodzie w taki sposób, że prawie rozumiem. Prokurator Cecilia Bergman, pławonurek Pelle Hansson, Jan Viinikainen z archiwum miejskiego i interesujący się starymi samolotami Göran Guné. Jeżeli gdzieś powstały jakieś błędy, to z pewnością nie z Państwa winy.

Dziękuję również mojej redaktorce Rachel Åkerstedt i szefowej wydawnictwa Evie Bonnier. Dodajecie mi otuchy i stawiacie mi opór w odpowiednich dawkach i w odpowiednim czasie. Dziękuję wszystkim wspaniałym pracownikom wydawnictwa, którzy w różny sposób mają do czynienia z moimi książkami. Dziękuję pięknym i mądrym agentom z Bonnier Group Agency. Elisabeth Ohlson Wallin i Johnowi Eyre'owi dziękuję za okładkę oryginalnego wydania.

Dziękuję, Mamo, za Twoje wieczne: „Pisz, pisz, bo chcę się dowiedzieć, co dalej. Cały tydzień myślałam o Hjalmarze”. Dziękuję za Twoją cierpliwość, kiedy zniechęcona, zwieszałam głowę. Dziękuję Wam – Tato i Mono – za to, że czytaliście, sprawdzaliście fakty związane z Kiruną i że pomogliście mi z językiem meänkieli oraz tysiącem innych spraw. Składałam również podziękowania na ręce Perry'ego Winberga, Leny Andersson i Thomasa Karlséna Anderssona.

Życie jest kompletnie nieprzewidywalne, acz w gruncie rzeczy całkiem dobre. Dziękuję Tobie, Per. Ta powieść to niemal nasze trzecie dziecko. Chciałabym powiedzieć Ci tysiąc pięknych słów, ale sam wiesz... Dziękuję Tobie, Christer. Za miłość i za to, że wytrzymałeś, kiedy liczyła się książka, książka i tylko książka, a wszystko inne było nieważne.

Przypisy

[1] *Sveriges Meteorologiska och Hydrologiska Institut* – Szwedzki Instytut Meteorologii i Hydrologii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki – przyp. red.).

[2] Palt – sine kluski przyrządzone z mąki i surowych, utartych ziemniaków; najczęściej z mięsnym nadzieniem. Tradycyjna norlandzka potrawa, występująca w wielu odmianach. Często odsmażana na maśle.

[3] Fińskie sanki – rodzaj dwuśladowej hulajnogi na płozach. Zimą powszechny środek lokomocji w północnej Szwecji i Finlandii.

[4] *Älä hora* (fiń.) – przestań bredzić.

[5] *Herren Jumala* (fiń.) – Boże Świąty!

[6] *Statens Kriminaltekniska Laboratorium* – Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne.

[7] *Perkele* – popularne przekleństwo fińskie; właściwie imię boga, władcy ognia niebiańskiego.

[8] „*Norrskensflamman*” (dosł. płomień zorzy polarnej) – gazeta o profilu komunistycznym, powstała w 1906 roku jako organ partii socjaldemokratycznej w prowincji Norrbotten. W ataku terrorystycznym na redakcję w Luleå w 1940 roku zginęło pięć osób.

[9] *Luossavaara-Kiirunavaara Aktiebolag* – szwedzki koncern państwowy zajmujący się wydobywaniem i przetwórstwem rud żelaza.

[\[10\]](#) Nordiska Rikspartiet (Partia Rzeszy Nordyckiej) – szwedzka partia neonazistowska istniejąca w latach 1952–2009.

[\[11\]](#) *Tule tänne!* (fiń.) – Chodź tutaj!